

3 9 1
30
PROF. DR. JAN SAS ZUBRZYCKI

RÓŻANIEC WSPOMNIEŃ RODZINNYCH

LWÓW 1930.

ODBITO W TŁOZNI „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA”
W KRAKOWIE

NAKŁAD WŁASNY.

I.

PODOLSKI RÓD ŚLACHECKI

„Poświęć się sprawie wielkiej
a urośniesz z wypadkami“:

(J. Słowacki: *Horsztyński*).



8107/66

LPT5c

PODOLSKI RÓD ŚLACHECKI

252935
I

D 14.
Kniż. 86, Zabne
23.5.66 75. w





Polska stała na sielskości!
I dziś przyszłość Polski na sile i pięknie wsi
rdzennie z duszą narodową związanéj, aby żyła
dalej ta zgodność i jedność cudowna, jaka przeni-
kała razem kościół polski i dwór polski!...

W Polsce miasta zawsze były niebezpieczne dla sa-
mego ducha naszego ojczystego, bo napływ cudzoziemców
mieszał naszą czystość kryniczną i co najgorsza mącił ją,
brukał. Całe piękno nasze, iście wzniosłe, dotyczy kościoła
modrzewiowego, otoczonego wieńcem lip wiecznie szumią-
cych, ze wszystkimi obrzędami tak uroczu na wsi spojo-
nymi z otoczeniem, z lasami, z polami i z przyrodą całą.
Cała okrasa życia polskiego, mieści się w obrazie dworu,
także modrzewiowego z lipą starożytną na dziedzińcu ogrom-
nym, pomiędzy bramą wjazdową a gankiem czterosłupowym.
Ta lipa to szczątek bożyszczu jeszcze z wiary Światowida.
W cieniu jéj i pod osłoną jéj konarów kwitło uczucie śla-
checkie, wytwarzające pojęcie rodu staroślęchickiego.

Dom ślachecki — ród ślachecki, to jedno.

Chlubą naszą największą to prawda ta, niedająca się
niczém obalić, godność Polski zawsze wyobrażająca, że stan
rodów polskich opierał się wyłącznie o ślactwo, o klej-

not tylko zasłużony i cnotą zapracowany. Stan *lachów*, jako bojowników w imię Boga i w imię Narodu, był szczytem wyniosłym wśród społeczności, nawet pierwotnej. Kto się dorobił godności zasługami i kto stwierdził „dobrem” prawo do téj godności, ten mógł dostać się do grona lachów, ten mógł powiększyć koło lachów, zatem ten *z-lachcił* się, stał się zlachconym, otrzymywał znak rodzinny, herb i dawał początek *rodowi* ślacheckiemu. Ślachcic jest to jednoznacznik rodak, jako ojczyźniak pełen cnót i zasług w imię dobra nie własnego, Broń Boże! tylko koniecznie dobra *narodowego*.

Lach, Laszek, Lech, Leszek to słowa, z którymi się spotykamy w zaraniu najwcześniejszém Dziejów Polski, a zatem nabieramy pewności, iż stan Lachów i Leszków to godność u nas najstarsza i najwyższa, zaszczyt przynosząca tém prawem, które umacniało go do walczenia w obronie *Boga i Ojczyzny*. Uważano, iż kto staje dla zasłony świętości największych w szeregu walczących i strzegących ognia wiecznego przed ołtarzem i ogniska rodzinnego w domu ojczystym, ten już przez to samo jest wywyższony i odznaczony. Prawo obrony świątyni i ziemi rodzinnej było *zaszczytem*. A zaszczyt ów, klejnot, prowadził rody polskie po przez wieki długie — mnogo było rodów i klejnotów. Piekosiński wykazał, że rodów prastarych, herbowych, z Łęchitów, dochowało się w zapiskach blisko 160.

Te właśnie miasta i stolice z zapasami zatargów politycznych i dyplomatycznych, sponiewierały godność *ślachcica*. Wciągnięty do wiru brudów miejskich, nie mógł on właściwie spełniać zadania wedle powołania z Nieba mu narzuconego. Stąd upadki, wybryki, wykolejenia i zdrożno-

ści, celowo wszczepiane jadem nieprzyjacielskim, aby zgubić Polskę...

Polska upadła, bo ślacha już upadła.

Ale... Polska dźwigała się i broniła przed zabójstwem powstaniami, których znaczenie przed światem takie, iżby objawiać ciągle sprzeciw żywotny i przenosić z pokolenia na pokolenie wiarę w nieśmiertelność Ojczyzny!

Tak! Związek jako bractwo strzeleckie pod nazwą jedności Barskiej (Konfederacja Barska), dalej powstanie Kościuszkowskie, potem powstanie listopadowe a na koniec powstanie styczniowe — to razem wołania do życia, bowiem duch boski, nieśmiertelny, w Polsce żyjący, domagał się praw nieśmiertelności przed światem!...

A ponadewszystko... niech się wysilają wrogowie jak chcą i jak mogą, żeby oczernić i zbezcześcić *ślachtę* polską — jednego nie mogą nie uznać, iż stała się ona wzorem *poświęceń* najpiękniejszych i przykładem *offiar*, godnych pamięci...

Powstanie szczególnie z r. 1830—31. ileż ono majątków przeniosło w ręce zaborców naszych?... Jakżeż to było już po szatańsku przemądrze obmyślane, aby z korzeniem wyrwać kwiat ślachestwa z łona ziemi polskiej i wyrzucić to wszystko precz po przez Syberję i ziemie najdalej, aby zamarła pamięć o ślachie polskiej.

Udało się wrogom naszym!...

Praca ich stała a ciągle celem zniszczenia *polskości* cieszyć się może wynikami bardzo dla nich korzystnymi. W pierwszej linii wypadkowej okazuje się, że istotnie *ślachta polska* doczekała się uśmiercenia doszczętnego, głównie dlatego, iż my sami pomagaliśmy nieprzyjaciółom na-

szym i ciągle jeszcze pomagamy. W czasach ostatnich nie naliczylibyśmy, ile zarządzeń, ile nawoływań, ile dążeń i ile poparcia śmiertelnego my sami wydali głównie dla zniszczenia *dworu polskiego* i zgniecenia stanu ślacheckiego, aż do zaniku bez śladu.

Nienawiść do ślachty polskiej dziś nie taka u wrogów, jak właśnie u rodaków. Niéma zastanowienia w obiorze środków, byle oczernić ślachtę najgorzej. Niéma sposobów tak podłych i djabelskich, jak te, którymi posługują się ci nastawiciele, jacy podjudzani za pieniądze, miotają oszczerstwa najniemożliwsze, byle zniesławić ślachtę polską. — Niéma niczego złego i najgorszego, czegoby nie przypisano występkom ślachty polskiej. Niéma nic tak przeciwnego *pol-skości*, wedle pojęć dziś zwyrodniałych, jak chęć brania w obronę ślactwa polskiego!...

W kolorach najczarniejszych i w słowach nienawiści wprost szalonej kryje się zwycięstwo na korzyść polityki sąsiadów naszych, którym chodziło o to, aby zniszczyć najpierw *dwory i ślachtę*, a potem Polska sama się położy, jak dąb stuletni, ciężki i głuchy.

Polacy usłudźni uczynili wiernie to, co chcieli wroowie Ojczyzny nieszczęśliwój. Nikt z nas nie powie już ani słowa dobrego o ślactwie — nawet nie poważy bronić się ślactwu, albowiem rzecz to niebezpieczna iść przeciw prądowi.

Pokolenia nowe wzrastają wśród przekonań, iż Polskę zgubiła ślactwa polska — tylko ślactwa polska!...

* * *

Oczy Polaka dzisiejszego nie mogą dojrzeć niczego innego, tylko brudu i wstrętu, bo zaprawione są one podu-

szczeniem djabelskim, którego się on nauczył w szkole o duchu nienawiści.

A jednak wedle słów Syrokomli «*offiary łańcuch święty*» godny byłby czci najgłębszej u potomnych choćby dlatego, aby nie poniewierano pamięci wbrew prawdzie dziejowej. Nie kłamstwo ma żyć, lecz prawda!...

A tymczasem przeczytajcież wy dzisiejsi, jak to rzuca się nadal ziarno wzgardy dla poniżenia ślachestwa, W »*Tęczy*» (Zeszyt 19 - ty 1928 r. 12. Maja) podano narodowi obraz ślachcica, ze szyderstwem »*Pana na Porębie Murowanej*«, Padlewskiego Skorupki. Czyżby to uwierzył kto, że może zdobyć się syn Ojczyzny swojej na podobne spotwarczenie, jakie schwycono w słowach następujących: »Ślachcic owoczesny nosił przed sobą plugawe brzuch, jak dobosz bęben — wnet też miał wróg zagrać na nim werbel: »*Finis Poloniae!*«

Czytelnik nabiera dopiero przekonania, kim to był ów Skorupka Padlewski, gdy się ze zdań następnych dowiadyuje, iż nie myślał on zgola o niczem, tylko o kartach Gracz i pijanica jechał, aby postawić stawkę ostatnią, albo wygra i siebie uratuje, albo przegra i przepadnie. Droga prowadziła obok kościoła drewnianego, stojącego w lipach olbrzymich. Wewnątrz obraz M. Boskiej Sośniańskiej, słyszący cudami. Ślachcicowi miała do głowy strzelić myśl nagła, aby oddał się pod opiekę Królowej Korony Polskiej. Pojechał — grał i przegrał i stracił wszystko. Wracając wpadł do świątyni w *Sośniance* i w złości „żegadło utopił w sercu na obrazie M. Boskiej, aż krew buchnęła!“

Zgroza! pomyśleć do czego to używał pomocy boskiej ten Skorupka i jakiego doczekał się końca. Zapadł się w zie-

mię z kolasą i z czwórką koni — odtąd strachy po nocach w dworze Porębiańskim. Z kontusza wspaniałego pozostał tylko »*łach dziadowski*«.

Dowiedzcież się rodacy z opowiadki powyższej, jakim to duchem przepojona była szlachta polska. Na domiar złego wzywa Padlewski do uczynków grzesznych opieki Nieba, a gdy nie staje się mu zadość, urąga obrazowi i porywa się na zabójstwo najokropniejsze chyba na świecie, wymierzając cios w serce Panny Najświętszej! Ach! to straszne!

Zaiste, podziwiać można śmiałość słów, aby przedstawić obraz podobny i utrwalić go w pamięci pokoleń. Na ohydę tak nikczemną zdobyć się chyba nikt nie może, tylko właśnie Polak, z namiętną nienawiścią wielką dążący do zobrażenia stanu całego. A postać tego Skorupki służyć ma jako określenie upadku i zwyrodnienia, dotyczącego ogółu. Jeśliby ktoś chciał wedle tego urobić wyobrażenie, musiałby przyznać, iż w ludzkości całej chyba nie było takiego poniżenia człowieka, jak w szlachcie polskiej.

Ach! jednak nie można tak jednostronnie samymi tylko kolorami czarnymi, ze sadzy komina, malować przesadę, która porywała być może jednostki ku przepaściom bezdennym, lecz nie ogarniała całości. Szlachta polska, jak wszystko co ziemskie i na padole płaczu, miała swoje wady i ułomności, ale miała też uniesienia i porywy, o których nam dziś właśnie zapominać nie wolno!...

Ten właśnie *offjary łańcuch święty* żył siłą tęsknoty, tak przepotęźnej, że z miłości ku ziemi rodzinnej szlachcie zrzekał się wszystkiego, byle mógł powiedzieć, że nie stracił ani piędzi. Nie dbał o zaszczyty, nie dążył do orderów,

nie pragnął dostatków i nie zadowalał się obietnicami ża-
dnými, skoro tylko by wiedział, że to dźiać by się mogło
kosztem Ojczyzny lub ziemi rodzinnej.

Przywiązanie ślachcica do wioski swojej własnej stało
się siłą, która podniecała wszystkie marzenia jego i pra-
gnienia. Przepięknie ujął to Syrokomla w utworze p. t.
»*Janko Cmętarńik*«. Słowa tam zamieszczone włożyć można
w usta każdego rodaka prawego, choć dającego się wynarodowić,
byle szukał tylko wygod miejskich i marzył o kamienicy.

»Są insze dusze, głupcy, warjaty,

Co wołą słomę domowej chaty!«

O! tak, bo strzecha dworów i dworków ślacheckich,
jakkolwiek uboga i skromna, kryła w sobie skarby uczuć
i kwiatów serdecznych. Choć ślachcic gonił po świecie od
północy na południe z mieczem w ręku, dla obrony Oj-
czyzny, mimo to »*tęskność mogilna*« zwracała oczy jego
zawsze w strony wsi rodzinnej. Nie zapomniał wśród nieba
skwarnego o Polsce, o Polaku:

»Co swe lepianki, swych borów liście

Kocha ognisćie, kocha wieczyście:

Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty

Za *szyszką sosen* ginie z tęsknoty«.

»Choć w takt rycerski puls jego grzmoce

On o swęj wiosce śni całe noce,

W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania

Wiejski się obraz przed nim odsłania:

Słysz y kościelny dzwonek cichutki,

Słysz y skowronka piosnkę pobudki,

Słyszysz jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszysz strojenie skrzypiec w gospodzie!«...

To właśnie umiłowanie ciszy wioskowej było podłożem dla uślachtenia, czyli uślachtetnienia serca i duszy Polaka. Zdawało się, że od miast długi czas nie poddawał się zepsuciu, które nań uderzyło właśnie wtedy dopiero, kiedy szlachtę wciągnięto przymusem w wir *stolic*, grzmiących rozpusztą wedle kultury zachodniej. Jak długo szlachcic bronił się przed miastem, tak długo był wzorem cnoty i poczciwości.

»Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospodą,
Z wieczornicami i z doświwkami,
Ze swoim niebem, swymi chmurami«...

* * *

Z takiego to rajy *sielskiego* wychodziły na pole pracy narodowej rody szlacheckie, nie tylko nie zarażone zepsuciem miast, ale podniesione duchem, dla którego istniało tylko to *światło przyrodzone*, o którym mówi Rzewuski w Pamiętnikach Soplicy. Było ono promieniami ożywczymi i pocrzepiającymi z całego piękna przyrody, świata, nieba i życia prostego, niewinnego. Jeszcze po wsiach światło nabyte, przyuczone po szkołach z podręczników bezpośrednio wrogich, nie poczęło tak działać, jak po stolicach razem z polityką wstrętną i dyplomacją zgola kłamliwą. Taki Padlewski Skorupka to osobnik całkiem odrębnie wylęgły w mózgu pod działaniem jadu zatrutego. Po ziemi ojczystej Polski, po łąkach dalekich i polach złocistych snuły się obrazy poczciwości przepięknej i serdeczności najtkliwszej, jakby to dalej ród

polski prowadziły te anioły Piasta, o których zapominamy jako o baśni. Dwa anioły: *Prawda* i *Dobro* od kolébki były przewodnikami narodu naszego. Życie pasterskie i rolnicze wykształciło w Polsce zbożność, przenikającą dzieje nasze pierwotne, niepotrzebujące nawet ksiąg pisanych. — Otoczenie przyrodą, w której widziano uduchownienie Woli i Wszechmocności Boskiej, zarazem zbliżenie się do téj przyrody, stworzyło z Prawdy i z Dobra drogą Miłości to *Piękno*, jakie wniknęło w całe życie posagowe przodków wielkich.

Już za Lęcha były odznaczenia klejnotami zwane, jako herby późniejsze. *Ciołek* to prawdopodobnie szczyt jako tarcza obronna najstarsza. Przypomina wiarę w siłę *woła* najpotężniejszego, o porożu wspinałem, z gwiazdką białą na czole, od której uwłosienie cudnie się układa. *Starokoń* to herb przypominający znaczenie konia boga Światowida. Potém *tór* okazały, stwarzający bóstwo »*Thor*«, aż nareście *żubr* z puszczy polskiej, ten, na polowanie którego, jakby obrzędowe, z czasów pogaństwa wybierano się uroczyście i wystawnie. A patrzcie, ile herbów z podkową, która krzyżem równoramiennym przybrana, ile herbów z porożem woła, tóra, żubra, lub jelenia! To wszystko pozostałości z czasów dawno bajecznych dla pamięci dzisiejszój, a jednak rzeczywistych w kolejności okresów rozwojowych. A do tego przyłączcie znaki rodowe ustrojone w słońce, księżyc, gwiazdy i strzały — a przekonacie się, że sięga to istotnie stólec minionych, o jakich słych zaginął. Wiara w słońce i półksiężyc przeszła w obyczaje narodowe i ludowe do dziś wśród nas żyjące a wróżby i jasnowidzenia, odnoszące się do gwiazd na niebie, to przykład, jak życie ludzkie w pierwotności swojój z miłością szukało Nieba wy-

sokiego. Strzała to chyba znak bardzo wymowny dla przypomnienia w chwili każdej i na kroku każdym tego polotu, który z orłem ma związek najsilniejszy. Pióra *orle* przede-, wszystkiem dawały świętość *strzale* polskiej z grotom, wyrobionym w kształt *serca*. Otóż strzała z miłością serca to obraz podnoszenia rąk i ducha i oczów i życia całego ku górze, aby ziemskość była tylko odbiciem dla otrzymania pędu i wzbijania się w górę. Tu znak widomy dla wzniosłości, z jaką Ojczyzna nasza się zrosła. To jest to, co my teraz wedle poglądów obcych nazywamy *idealnością*, w odróżnieniu kierunku przeciwnego, materjalizmem dziś będącego. A zatém słońce, księżyc, gwiazdy i strzała uniesienia podniebnego — to są klejnoty rodowe, którymi niegdyś, przed lat tysiącami, za wierzenia w boga Pioruna i Światowida, chlubnie się namaszczano, iżby dążenia a starania miały cele jasno wytknięte.

Gdyby już nic innego jak tylko ten wół, koń, tóroń i żubr (żąbr), gdyby jeno samo słońce, półksiężyc, gwiazdy i strzała, jużby to wszystko razem powinno być dla nas nauką i wskazówką, jak zapatrywać się na szczątki z przeszłości naszój, arcydalekiej!...

Wszystko z przyrody i z królestw życia ziemskiego stawało się przedmiotami czci i uwielbienia, dzięki potędze owój ducha nieśmiertelnego, który szukał wyrazu zewnętrznego i objawu widocznego dla oka.

Wzór pracowitości ciężkiej wśród obowiązków to *wół* właśnie. Wzór usłużności bezgranicznój drogą poświęcenia to *koń* boga Światowida. Wzór siły potrzebnej dla zachowania życia to *tór* olbrzymi z porożem olbrzymiem. Wzór pokochania stron rodzinnych to *żubr* z puszczy nieprzebytych.

A to wszystko razem znakiem szukania pokoju tam w górze, gdzie słońce i księżyc, gwiazdy i droga mleczna, bo niema na ziemi nigdzie bezpieczeństwa przeciw namiętnościom, jak tylko tam właśnie w przestworzu Nieba, gdzie panuje zgoda i porządek najcudowniejszy. Przodkowie nasi od dawna dobrze to zrozumieli, że niema ratunku innego, jak tylko droga do słońca w ślad za strzałą, która leci jak dzień szczęśliwy.

O! tak, bo tu na ziemi niema wybawienia — ono tylko tam w gwiazdach. Padół płaczu w okowach namiętności może sprowadzić takie tylko właśnie pograżenie pełne zaciemnienia, jakie widzieliśmy w Porębie Murowanej. Nie chodzi o uśmiech szczęścia wedle zmysłów krótkotrwałych — szczęście pewniejsze tam, gdzie duch zwycięża. Siła jego to tak jak pieśń jedna we wnętrzu kościoła polskiego na wsi, smętna a błagalna, łzawa a krwawa. Cierpienia ulatują ku błękitom razem ze smugami kadzidła świętego i ulga pokrzepia lud cały.

Naród Łęchitów i Polanów przeczuwał najwcześniej, skąd spłynie pokój, mir boży. Jeszcze w pogaństwie swoim widział Boga swojego tam na słońcu, księżycu, na gwiazdach i na drodze mlecznej. Tam ukazał się krzyż równoramienny, z czterech stron świata, krzyż sarmacki najwiele wieków przedzi objawiony przed Krzyżem Chrystusa.

W tym tedy krzyżu zestawione znaki rodowe dały herby polskie, najstarsze na ziemi, chociaż nauka nowoczesna, wszystko przypisała niewolniczo duchowi niemieckiemu. Herb *Sas* ma półksiężyc rógami do góry zwrócony, a nad nim strzała z grotem w serce o piórach orlich — to ramię pionowe. W poziom ustawione dwie gwiazdy,

jedna po lewej, druga po prawej, ponad różkami miesiąca, to ramię poziome. Oto krzyż, *mir*, znak pokoju jedynego na ziemi, oto sława narodu polskiego, zanim Objawienie z Wiary Chrystusa wszystkiego tego nie podniosło najwyżej ku Bóstwu Trójcy Przenajświętszej. *toq i aboyx djunetj*
ogw W obęć powikłania pojęć nowoczesnych wychodzi to dziś na przesadę szalenie zacofaną, a jednak prawdą to niezaprzeczoną, że wedle słów św. Tomasza z Akwinu »Człowiek prawy wzbija się *dwoma skrzydłami* nad rzeczy ziemskie«. Ślacheć polski, jako husarz uskrzydłony, szczycił się słusznie *skrzydłem prostoty i skrzydłem czystości*.
jbne Wzbijał się widomie jak orzeł o skrzydłach rozpiętych.
-swr Herb S a s tą strzałą, tym księżycem i temi gwiazdami dobitnie mówi o starodawności z czasów pogańskich, kiedy półksiężyc cudownie jaśniejący w nocy zachwycił Lęchitów i Polan, iż za bóstwo uważać go musieli. Księżyc pod stopami Marii, Matki Bożej, to podnózek uświęcony przeszłością dla stwierdzenia na czem polega zwycięstwo Wiary Chrystusa. Ten księżyc to nie od Turków dopiero wzięty i od Tatarów. Nie! Księżyc po herbach polskich, jak podkowy, to szczegóły ogromnie w głębokiej starożytności naszej tkwiące tak, jak Ciołek lub Starokoń z czasów Lęcha.
abw I *zubr* jako żąbr, żąbrze to znak pierwotnie święty!

Znamy góry, lasy, wsie i potoki mianem *Żubrzca* czyli *Żąbra* po dzień dzisiejszy się cieszące. Na Orawie szczyt *Głowa Żąbrowa* jakichże to czasów zamierzchłych sięga! Zmieniły się ludy, czasy, pojęcia i stosunki, a to brzmienie do góry przykute żyje i trwa pomnikowo, bo głosi prawdę odwieczną. Wieś *Zembrzyce* pod Suchą, w brzmieniu pokaleczona, przypomina stanowczo *Żąbrzyce*

a zatem uroczystości na cześć żąbrzca obchodzone, jak tóronie lub tórzynny — (przekrecone na *trzyżnę?*) — dotyczą ubóstwienia tóronia, tóra, w pisowni obcej tura!... Qbyczaj *combrem* w Krakowie zwany, jest w ustach niemieckich przemianą dostosowaną do języka cudzoziemskiego. Słowo *comber* oznacza czaber, a to ma źródłosłów swój w wyrazie *żąbr!*... Soplicowo Mickiewicza koło Nowogródka jest to *Cząbrowo*, z biegiem czasu do niepoznania poprzekręcane, a pochodzące ze słowa *Żąbrowo*, *Żąbrochowo*, gdzie czczono Żąbra czyli chowano. Rzeka Żubrzyca jest to *Żąbrzyca*, najczęściej z górą téjże saméj nazwy związana. Wieś Żubrza koło Lwowa to Żąbrza, stanowiąca całość z lasem *Żąbrzyckim*. Wszystko to przekonąć nas może najpewniej, jak w czasach zamierzchłych silnie rozkrzewioną była część dla zwierzęcia o siłę największą, z porożem, po nad którym na znak ubóstwienia widział czasem ktoś szczęśliwy wzór krzyża, jaśniejącego, a w promieniach błyszczącego! Jeleń namalowany z głową, ponad którą bije jasność niebiańska z krzyżem pomiędzy rogami bujnymi, to obraz dający się nawiązać w staro dawności do krzyża równoramienne go z wiary Światowida, kiedy bóstwo znaczone siłą największą tóra albo żubra, jako *żąbrzca*. Nieprawdą jest to, jakoby, wedle poglądów dzisiejszych, nazwy miejscowości w *Staro-Lęchji* pochodziły od nazw rodowych. Przeciwnie te ostatnie stawały się wręcz saméj przymiotnikami z własności dla uwiecznienia gniazda ślacheckiego, z którego wyjśćby miały jednostki dla wstawienia i rodu i gniazda. Potocki wyszedł z Potoka, Czartoryski z Czar-tórzyska, Dąbrowski z Dąbrowy, Żmu-

dziński ze Żmójdzina, Olewiński z Olewina (na wschód od Olkusza), a Zubrzycki czyli Żąbrzycki z Żubrzca, który jest przekręceniem *Żąbrzca* (na południu od Chabówki.)

Na Śpiżu i w Orawie nazwy rzek i lasów, gór i wsi, pochodzące od brzmienia Zuber czyli właściwie *Żąbrzc*, są pozostałością czasów bardzo odległych, najpewniej jeszcze pogańskich. Jeżeliby chodziło o udowodnienie starodawności nazwy, to nawet zwyczaj *cząbrem* w Krakowskim mieniony, wcale nie od wójta niemieckiego początek bierze, ale właśnie od bóstwa pod znakiem *żąbrzca*. Nawet Cymbrowie potem Kimrowie to szczep dający się właściwie wytłumaczyć wiarą w potęgę boga o głowie tóra jako żubra czyli żąbrzca, zatem to Żąbrzcowie. Pisowni takiej nie mógł oddać żaden język w świecie.

A zatem w pierwotnej nazwie samej rodu Żąbrzyckich lub Zambrzyckich jest dowód starożytności ogromnie głębokiej, skojarzonej ze wzniosłością ducha, który jest początkiem sławy Sławjan wszystkich a przede wszystkim Łęchitów i Polanów.

Zamczysko Zembrzyce zwane, Zambrzyce w lesie czarnym koło wsi tego brzmienia, głosi prawdę, że stało ono w bógaju, czci bóstwa poświęconego. I góra Zembrzycka nad wsią to góra Żąbrzcowi oddana!... Góra Żąbrzycka.

Tak, to znaczy jasno, że pochodzenie rodu miało związek z wywyższeniem go w pojęciu duchowém, jakby w kapłaństwie, Przodownictwo narodowe dzierżącym. I to, co teraz tu odkrywa się, oznacza najpewniej powołanie ślachty polskiej w kierunku górnośląskości Polski, wedle czego znamieniem wojowników polskich, idących pod chorągwiami

narodowemi w bój święty, to pieśń *Bogarodzicy*. Pieśń ta musiała być znaną jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. — Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa na cześć Matki Boskiej ją przerobiono. Jest wcale prawdopodobne, iż święty Wojciech ją śpiewał. Chodkiewicz pod Chocimem szedł z kołem ślachty na zwycięstwo ze śpiewem Bogarodzicy!

Prowadzą te napomknienia wszystkie do wyniku takiego, że porywy ślachetne ślachcica polskiego dawały się wytłómaczyć nie przypadkowością lub zachcieniem niespodzianem, ale przeciwnie bywały wynikiem obowiązku poważnej w obec Posłannictwa narodowego!

Musimy tutaj to podnieść z całą siłą, że choć byli w czasach zepsucia w Polsce tacy ślacheicy, którzy dopuszczali się bezceństw najgorszych, to mimo to o wiele więcej było jeszcze jednostek z czasów powstań od związku Barskiego aż po powstanie kościuszkowskie, po powstanie listopadowe i powstanie styczniowe, które posłuszne myśli wniebołotnej, zdobywały się na poświęcenia bezprzykładne i na ofjary największe.

Ruch powstańczy w r. 1831 zapalił umysły i godności pełne, więc jak mówiono «Przodem stanęła ślachta». Wszystkie zapęły i porywy, głoszone jako *ideały* powstańcze, znalazły wyraz w wołaniu:

«Za Wiarę i za Ojczyznę!»

Jeżeli wypisywano takie hasła strzeliste po chorągwiach, jeżeli wypełniano niemi nawet drobnostki codzienne, to znaczyło, że żyło istotnie podniesienie *ducha narodowego*.

Samo męczeństwo tych ludzi, najpoczciwiej porwanych drogą miłości przeczystej, świadczy, jak nie szukali niczego dla siebie, bo patrzyli tylko na dzieje pełne klęsk i roz-

czarowań snutych. Mimo to szły na boje krwawe w imię
 najśłodszej myśli narodowej. Powstancy szczególnie z r. 1831
 zdumę sobie powtarzali, że choć zbrodnią to ich było, iż
 byli Polakami, mimo to nie zapierali się Polski. Nazywali
 trzeźwi powstania nasze walką z wiatrakami, a jednak urok mę-
 czeństwa przeobrażał te dowcipy w przykłady najwznioślejsze.
 Już wówczas starano się wmówić w naród ślachecki,
 jakoby wskreszenie Ojczyzny pewnem było tylko na wy-
 nikach czysto matematycznych, a jednak ślacheć szczerą
 i prawą z głębi pól i niw dalekich śpieszył «na *pożytek
 sprawy*» i porzucił dom, rodzinę, majątek i wygodę.
 Jakkolwiek prawda to, że nie zdawał sobie nikt sprawy
 z wysokości i wielkości porywu, podjętego, że niewiadomo
 dlaczego rwno się tak gorączkowo do czynu i sprzeciwu,
 to niezależnie od tego objawiała się w ruchu ogólnym
 wiara w Poślanictwo narodowe, świadomie i żywotnie. Rzecz
 drobna, bo to pióro ze skrzydła orlego na kapeluszu gó-
 rala tatrzańskiego i te pióra orle w naczółkach chełmu
 króla polskiego i te pióra orle po skrzydłach husarzy
 polskich i to pióro orle na kołpaku staropolskim, wszystko
 to oznaki, z głębi wieków podaniami przeniesione, dla wró-
 żenia narodowi przodownictwa.

Ślacheć polski dawał się zaciągnąć w szeregi, aby
 przypominał sobie *boje święte*, dla których ponosił ofiary nie-
 obliczalne.

Wzniosłość cudna a może i pełna cudowności, była
 promieniami z chwil nastroju serdecznego. Takim był pradziad *Żmudziński* po kądzieli. Wieść ro-
 dzinna po dzień dzisiejszy niesie, jak w nocy pewnej a cie-
 mnej wpadł on do dworu głuchowil żałości pogrążonego

i żegnał się ze wszystkimi a babkę naszą Franciszkę Żmudzińską, wówczas dzieckiem będącą, podniósł ze ziemi i na stole postawił. Płakał ten nieustraszony i rozstawał się wśród jęków i poszedł. Poszedł w noc czarną a tajemniczą — echo tylko pocałunków łączyło się we dworze z westchnieniami bólu. Poszedł!... Zginął bez wieści! Życie poświęcił dla odzyskania Polski. Stracił majątek. Stało się sieroctwo pozostało!... Galicja a zwłaszcza Podole w okolicy Zbrucza stało się ogniskiem ruchu powstańczego! Szli ci, których zbrodnią największą było to, że czuli się Polakami, aby ratować promienie ostatnie ideałów świetlanych — szli ci poza Zbrucz i tam przepadali... bez śladu! Niechaj świat dzisiejszy obrzuca błotem i wałami brudem najwstrętniejszym imię ślachcica polskiego — ci, którzy znają dobrze dzieje nasze, muszą przyznać, że nie było na świecie miłości tak gorącej do Ojczyzny, jak w piersiach ślachcica polskiego, który dawał krew i życie, szczęście i majątek w ofierze na ołtarzu ojczyzny! Poszedł ojciec babki naszej Franciszki Żmudzińskiej dobrowolnie i ochotnie. zostawił tylko pamięć łez i pocałunków gorących. Babka często nam to przypominała!... Pozostała sierotą bez opieki i pomocy!...

* * *

Nie było dworu na Podolu, przed którym nie widniałby dziedzińiec ogromny, czasem kilkumorgowy, z lipą lub dębem odwiecznym na środku, aby w linii osiowej ganku pańskiego i tego drzewa pamiątkowego nie uderzała w oczy wspaniała brama wjazdowa! Ozdobą jej zawsze były filary murowane, zwieńczone u góry kulami, z któ-

nych buchał płomień ku górze w kamieniu wyrzeźbiony. Jeżeli to była brama całkiem drewniana, staropolska, wówczas zamiast kul kamiennych umieszczano koniecznie kule drewniane płonące ogniem, z drzewa odciosane. Wszedłszy do kościoła i dziś jeszcze widzisz te same ozdoby — kule płomieniste przy bramach i w oparkaniu i kule z ofiarą serdeczną po ołtarzach pańskich. Widać, że jedna myśl głęboka przenikała życie przodków, aby ono podobnym było na miejscu każdym i w chwili każdej do naczynia duchownego, naczynia wybranego, pełnego miłości duchownej a ofiarniej. Stąd to pochodzi pamięć okrzyku dziadów i naddziadów naszych: *»Za wiarę i ojczyznę!«* Spuścizną przedroga poszła w poniewierkę przez zapomnienie, gdyż postęp nowoczesny nakazał wszystko swojskie podeptać a chwycić to, co wrogi i obce. Dziadek *Karol Zubrzycki* był ślachimem przejętym na wskroś idealizmem rodowym i narodowym. Gospodarował z miłości do ziemi. *»krzywo pisał, ale orał prostok«*, żył na łonie pól i lasów i był rumianym, rośłym, zdrowym a do rozczulenia serdecznym. Majątek po powstaniach poprzednich z czasów Kościuszki i z r. 1831, ocalony jeszcze w części, służył za dziedzinę, wystarczającą nadto dla dobrobytu rodzinnego.

Karol Zubrzycki zaopiekował się sierotą tą, *Franciszką*, która pozostała po *Żmudzińskim*, co za *Zbruczem*, (czyli *Żabrzcem* w brzmieniu pierwotnym) zaginął w niepamięci, bez wieści. Babka nasza po kądzieli, ta *Franciszka Żmudzińska* była córką *Józefa i Brygidy z Dąbrowskich*, z czego wynika, że przez ojca jej *Dąbrowskiego*, linja ta rodowa

była spokrewnioną z Dąbrowskimi, których nazwisko stało się tak głośnie w Europie całej na podstawie mazurka legjonów Dąbrowskiego. *„Marsz! Marsz! Dąbrowski! Z ziemi włoskiej do Polski!”* Pieśń rozlegała się po ziemi nad Dniestrem i Zbruczem głośniej może jak gdzieindziej!... Mazurek kochany! Pod wpływem zapędu i natchnienia, podobnego do owego płomienia, z kuli ku niebu buchającego, poszli w powstanie i ten Józef Żmudziński i ten Karol Zubrzycki, który był towarzyszem broni Wenantego Jełowickiego. Ten ostatni posiadał w czasie owym dobra w Kapuścińcach nad Seretem. Jełowicki wrócił z powstania szczęśliwie i gospodarował dalej w Kapuścińcach. Karol Zubrzycki wrócił, ale majątek złożył na dłoni pełnej poświęcenia w ofierze, celem ratowania Polski. Żmudziński za Zbruczem przepadł i dlatego córka jego Franciszka a babka nasza okiem czujnym śledziła potem przez lata długie każdego wędrowca i pielgrzyma, przypuszczając nieustannie, iż przecie kiedyś ojciec powróci i powita swoich. Każdemu ubogiemu wręczając jałmużnę, wypytywała go o różne okoliczności, ażali nie odkryje się tajemnica jaka! Wszystko daremne. Wieść utonęła jak kamień w wodę! Ta boleść ciężka jak *mgła czarna* ociemniała przez życie całe widnokrąg duszy babki naszej, bo rzeczywiście, czy może być coś okropniejszego, jak zaginięcie ojca w zawierzuchach czasu, aby nic się o nim nigdy już dowiedzieć nie można. Po upadku powstania listopadowego mnóstwo *rozbitków* przedostawało się z za kordonu przez Zbrucz (Zbrącz = Żąbrze) i babka nieustannie czuwała, ażali kiedyś

nie obaczy ojca swojego, powróconego. Niestety!.. życie babki przeszło na wyglądaniu i wypytywaniu — ojciec przepadł bez echa!... Tajemnica głucha pokryła, przed oczyma babki, Podole całe smętkiem załzawionym, który żył potem w całej rodzinie naszej, jako spuścizna ukryta.

Ojca nie mieć, to nieszczęście wielkie — ale o ojcu nic nie wiedzieć, co się z nim dzieje i co się z nim stało, a ciągle podsycać nadzieje widokiem powracających, którzy opowiadali dziwy o więzieniach, męczarniach, prześladowaniach i zesłaniach na Sybir mroźny — to cios, przechodzący okropnością swoją wszystkie tragedje ziemskie. Widzenia jak upiory czasami myśl straszyły, to znów sny ludzkiły wspomnieniami i marzeniami i tak tęsknota za ojcem żywym, a przepadłym przemieniła serce w lutnię rzewnie dźwięczącą.

I wy, upadli mówicie dzisiaj, po przejściu niewoli pełnej sromu, że szlachta polska to stan na świecie najgorszy, niegodny wspominku uczciwego, pełny oczernienia i odrażający występkami!... Wy bowiem macie na oku tylko te okazy najgorsze a najpotworniejsze, jakie z poduszczenia wrogów Polski przeznaczone były dla jej spotwarzenia i zgniecenia. W ogóle widzi się w Polsce, od dawna, jak pełni się i bujnie porasta nienawiść do swojskości, gdyż widocznie chodzi o to, aby życie nasze spełniało tylko to, co chcą nieprzyjacioły Ojczyzny, jakby my najposłuszniejsi tym zaborcom prędzej ze ziemi ustępowali, byle im dogodzić.

Kiedy padają oszczerstwa co raz nędzniejsze na cały stan *szlachectwa* Polski i kiedy miotaniu obelg szatańskich dla podeptania go kończą niema — wtedy jakżeż raną przewielką, stają się obrazy rodzinne, żyjące przykładami

poświęceń podobnych, o których tu wspominamy. Co za biędna ta Polska, która musi przechodzić udręczenia wszelakie i poniżenia najsromotniejsze, byle droga ta otwierała przystęp wszelakim zakusom dla uśmiercenia Narodu.

I to właśnie pomiatanie tych polotów orlich ku niebu i słońcu, to zapominanie ich nie przypadkowe, ale celowe, to odwracanie się od oblicza ojczystego, byle wpadać wiecznie w objęcia cudzoziemczyzny i to obrzucanie błotem i brudem najświętszych ideałów wiary i Ojczyzny — jakież to wynik sromotny niewoli prawie półtorawiecznej, aby rany nasze zatruwać aż do zgnębienia doszczętnego.

A biada temu — który kala gniazdo swoje!

A hańba temu, kto wszystkie zapaly i uniesienia swoje rzuca pod nogi ciemieży, byle uśmiercić Ojca!... byle zgnębić Matkę Ojczyznę własną!...

Latem i zimą, gonią dzieci Ojczyzny téj odepchniętej a wzgardzonej po świecie całym, byle grosz roztrwonić i przywiązać umiłowania najcenniejsze do wszystkich kątów ziemi!... Byle nic nie poznać swego, byle niczego się nie nauczyć swego własnego. Odraza jakaś zaraźliwa odpycha rodaków od pól i lasów rodzimych, aby pędzili na wszystkie strony!... Jest przekonanie i dobrze już urobione, że szukać wytechnienia i leczenia należy tylko za granicą, że tylko na obczyźnie są piękności godne uwielbienia, że tylko tam nauka, gdzie ani szczypty polskości — (zbrodni narodowej) — i, że tylko w połykaniu nowości jak najdziwaczniejszych całe przeznaczenie Polaka! Wyradza się przeto wzór Polaka niesamowity, aby był podobnym do wszystkich i do wszystkiego, tylko broń Boże nie do Polski!...

Odmet wyobrażeń, czerpanych z książek obcych, zakorzenia myśli, pełne obłędu. Król ludów, w ciało zwierzęce ubrany, staje się zatricielem mogił przodków — bo woła: »Ja rodzić ludzi cały świat oduczę!«... »Role wszelkie będą niebawem zasiane solą i piołunem!« (Słowacki — książę Michał Twerski III.)

Tak!... ale przedewszystkiem solą gorzką i piołunem piekącym pokryć ziemię Polski, w rzeczywistości przyrody całej i w dziedzinach myśli a uczucia, aby Polak przede-wszystkiem odwracał się z twarzą skrzywioną od Polski.

Wszystko — tylko nie polskość!

Polskość to zbrodnia i występki!...

A zatem... jak w obec usposobienia tak kierowanego można komuś przypomnąć *piękno* ziemi Podolskiej?

Ile tam czarów i wdzięków, ile obrazów zachwycających i ustroni boskich... a jednak nikt o tém nic nie wie, bo to należy u nas do postępu naprzód idącego, aby stale i zawsze, głośno i wszędzie pjać tylko hymny na cześć zagranicy!

Mimo wszystko zdobywamy się na *odwagę* i kierujemy oczy czytelnika w stronę zakątka, gdzie do dziś dnia stoi zamek *Jazłowiec*!... Pomnik chwały narodowej, godny pamięci i opieki, ginie w ruinie, aby zatracić się i mogiły przodków, rozsiane dookoła w obronie grodu bardzo starożytnego! Duma sławy ojczystej nie wzrusza już pokoleń dzisiejszych, ponieważ te za nauką postępową każą myśleć tylko o zmysłach i o ciele!...

Jazłowiec to perła *Podola*!... Ale o téj perle *Podolskiej* nikt nic nie wie, ponieważ Polska niknie nie dla przyczyny jednej. Tysiące powodów

składają się na wytepienie jęj narodowości i jęj przywiązania do wiary, co my z obca obrzydliwie nazwaliśmy nacjonalizmem i klerykalizmem. Nic coby przypominało świętość Posłannictwa dziejowego i coby Kościół katolicki podniosło!... Zagłada polskości polega na tępieniu rzeczy wielkich i największych aż do małych i najmniejszych, aż do wąsów polskich, aż do warkoczy dziewic naszych...

W obec tego wszystkiego nikt nie wspomni obecnie nawet o podaniu cudowném, żyjącém w Jazłowcu i w okolicy Jazłowca. Był hetman (goć-mień) Jazłowiecki, który z chorągwiami swojemi i husarzami, o podniesionych skrzydłach orlich, podążył daleko z królem Warneńczykiem... i nie wrócił także. A pozostawił dziecię-pacholę, które codziennie rączki wyciągało z płaczem za ojcem, tak że go piastunka utrzymać go na ręku nie mogła. Raz przy zachodzie słońca, ku przepaści słonecznej za ojcem zaginionym tak się pacholę rwało, aż... wypadło... i umarło... u stóp zamku.

»Przepaść słoneczna, której blaski płoną

»W oczach czyniący świętą ducha sprawę!»...

Król Duch Rapsod V. (IV. 1).

Tak! oto w tęg przepaści słonecznej zginął król, śląc Ci, którzy czynią *sprawę ducha świętą*, idą istotnie naprzód z narażeniem wszystkiego, byle dotrzeć do przepaści słonecznej. Wedle opowieści ludu pacholę owo albo o dnia brzasku albo przed słońca zachodem pojawia się czasem na widnokręgu niedaleko zamku Jazłowieckiego i to z rączkami poziomo rozciągniętymi, aby kształt zaznaczał znak krzyża. Mówią, że to dziecko wiecznie się pyta ludzi, ażali wrócił już ślącic Jazłowiecki?...

szaf znowu pytanie ciśnie się pod pióro, dlaczegoż to sponiewierana tak obrzydliwie pamięć ślachestwa polskiego, skoro i ten hetman czyli *goćmień* złożył dowód tak górny »czyniąc sprawę ducha świętą?«. Nic dla siebie a wszystko dla Boga i Ojczyzny. Ród Jazłowieckich i Buczackich wyginał jeden i drugi na posługach w obronie Wiary przed Tatarami i w pilnowaniu straży od słońca wschodu. Poginęli w przepaści słonecznej!... Jak często to się powtarza wyobraźnia ludu dodaje, że obaczyć może owo pacholę jedynie taki człowiek, który jest »biały«, to jest czysty na sumieniu i na sercu. Osiągnąć można szczęście spoglądania na widmo w krzyżu słonecznym najłatwiej w Niedzielę Wielkanocną, kiedy świat cały raduje się po dniu »święcenia«. Jest to oznaka widowania, o ile w duchu polskim tkwiła zasadniczo żądza dążenia ku słońcu piękna niebiańskiego i prawdy najjaśniejszej.

Buczacz i Jazłowiec to dwa grody na Podolu najgłośniejsze dla dwóch zamków najpiękniejszych. Widok ich zagrzewa pierś i podnosi umysł, albowiem nad murami tymi sędziwymi unosi się okrąg świetlany, pełny blasku.

Buczacz to miejsce dzieciństwa ojca naszego Marcelego Zubrzyckiego. Po śmierci dziadka Józefa, który był synem Tadeusza, babka Kunegunda z domu Wiśniewska, przeniósła się do Jazłowca. Pamiętam dobrze, jak ojciec nasz często opowiadał, że z bratem swoim Justynem używał przyjemności saneczkowania, jakie stawało się o tyle przyjemniejszem w samym Jazłowcu, o ile ze wszystkich stron były spadki ku dolinie jaru. Razu pewnego, po śniegu obfitym używali rozkoszy spuszczenia się z góry ku do-

łowi — aż po czasie, kiedy stryj Justyn prowadził sanki, niebacznie wpadły one przez okno, do połowy śniegiem zasypane, na stół krawca, spokojnie zajętego pracą swoją. Powstały krzyki, bo żona krawcowa się przełękała a dzieci pod łóżka się pochowały. Ale... były to czasy dobroci i życzliwości! Łatwo wnet wszyscy pogodzili się, po przeprosinach nastąpiło pożegnanie a gdy Marceli i Justyn wkrótce przed Matką swoją sprawę całą opisali, ta natychmiast zajęła się naprawą okna, aby nie było przykrości żadnej. Krawiec był zadowolony, bo dostał okno nowe w miejsce zbutwiałego i bardzo lichego.

Ród Zubrzyckich z linii dawniej przebywał w Tłómaczu. Po utracie majątku dla Polski Józef Zubrzycki był tam sędzią. Żona jego Kunegunda z Wiśniewskich, była z Litwy. Przyjechała tu z Potocką Adamową, jako panna respektowa w domu Adama Potockiego, właściciela Brzeżan. Tłómacz był wówczas własnością Dzieduszyckich, którzy założyli tu cukrownię. W Tłómaczu umarł dziad Józef na zapalenie płuc.

Jak oddaloną była rodzina Zubrzyckich z Tłómacza od Zubrzyckich z nad Zbrucza (Żąbrca) najlepiej świadczy ta prawda, że wedle słów matki naszój, Wiktorji, babka naszą Franciszka nie znała zrazu ani sędziego, ani żony jego.

Z małżeństwa Józefa i Kunegundy były dzieci: 1.) Marceli, 2.) Roman, 3.) Justyn, 4.) Longina (która wyszła za Feigla i 5.) Józefa (która wyszła za Speisera.)

Po śmierci ojca w Tłómaczu, Kunegunda wyszła za mąż powtórnie za Franciszka Nowakowskiego, który był u dziadka Józefa, jako u mandatarjusza, praktykantem, czyli jak wówczas go zwano aktuarjuszem. Mandatarjusze

byli wtedy opłatni od obywateli — dlatego Kunegunda z 5 dziećmi pozostawszy bez utrzymania żadnego, dla dobra dzieci zmuszoną była szukać oparcia o dochody mandatarjusza, na posadzie którego Nowakowski pozostał. Przez wzgląd na zasługi Józefa, połączywszy się z wdową około r. 1827., dał rzeczywiście podstawę dla dobrobytu tylko w chwili najpierwszej. Zmieniły się stosunki niebawem i przenieśli się dlatego z Tłómacza do *Buczacza*, który kwitnął w czasie owym szkołami, na Podolu najpierwszemi. Brak posady spowodował to, że Kunegunda musiała pomagać sobie utrzymaniem dzieci ślacheckich, licznemu się zjeżdżających. Kunegunda czas długi mieszkała w Buczaczcu.

Z małżeństwa powtórnego były dwie córki: 1). Marja (która wyszła za Marcinkiewicza), i 2). Wiktorja, która przybrała sobie nazwisko Zubrzyckiej. Syn, jako dziecko trzecie, umarł w 7 roku życia. Nowakowski z córką Wiktorją przebywał czas jakiś w Jazłowcu, potem przeniósł się do Baryża, miejsciny lichej koło Buczacza, aż wreszcie osiadł w Uściu Zieloném, gdzie babka Kunegunda umarła na zapalenie płuc w r. 1846. Była ona chlubą rodu Zubrzyckich, jako matrona bardzo ślachtetna, przynosząca zaszczyt ślachie polskiej.

Gdy około r. 1853. zniesiono mandatarjaty czyli *dominia*, wtedy Franciszek Nowakowski dostał się do *Buska* na rachmistrza, do hrabstwa *Mirów*. Kiedy Roman Zubrzycki otrzymał probostwo w Śniatynie, zabrał wnet ojczyma z córkami do siebie na probostwo. Po śmierci ks. dziekana Romana, Marcinkiewiczowie wzięli do siebie Franciszka, który umarł w Śniatynie około r. 1867—1868.

Zasługą najważniejszą Kunegundy to wychowanie dzieci, jakie odegrały potem w życiu Narodu role wcale ważne. Na razie dość wspomnąć, że sam duch Buczacza i duch Jazłowca, żyjący jeszcze w sile podaniowej pokolenia, w pamiątkach domowych, obyczajach a najwięcej w zabytkach *zamków*, sprawił to, że dzieci zwłaszcza z małżeństw pierwszego, Zubrzyckich, wybiły się znacznie.

Ból Sławy i Mir Sławy kwitły na ziemi Podolskiej, zasianej mogiłami, gdzie bohaterowie pod wodzą i Buczaczkich i Jazłowieckich bronili nie tylko ziemi rodów swoich, ale i ziemi Podola arcy-pięknego, ba! piersiami własnymi zasłaniali i Polskę i Europę przed nawałami pogan straszliwych! Ta sława oręża polskiego, niestety! już wtenczas *stracona*, napawała tęsknotą narodową pokolenia całe. W duszy młodzieńca polskiego żyły światy tego »*Króla Ducha*«, którego władztwo Słowacki tak cudnie rozwinął. Jeszcze Bolesław Chrobry chciał odrodzić sławę oręża straconą, stąd bolejąc nad sławą przybrał imię *Bolesława*. Nasze wszystkie 4 powstania: Barskie, Kościuszkowskie, Listopadowe i Styczniowe, nie wynikły z porywczosci chwilowej, lecz były wpływem ducha odwiecznego, walczącego w imię *sławy utraconej*. Na Podolu w czasach zaboru austriackiego szczególnie potężnie tętnił po sercach młodzieży »*Król Duch*« ten, który najjaśniej świadczy, jakie to Posłannictwo było Polsce z Woli Opatrzności przekazane...

A dziś?... co z tego wszystkiego uczyniono?... Oto pod naciskiem gwałtów z pięści wrogów mówią krzykacze nowocześni, jakoby »*nacjonalizm i klerykalizm*«, to bagno zgnilizny polskiej. Coś piekielnego i potwornego w tém przekręcaniu treści pod osłoną słów zczudzoziemczących. Nic

w Polsce Odrodzonej nie jest tak wyszydzone jak sama narodowość polska, nie jest tak potępione jak trzymanie się wiary ojców i arcy-ojców naszych! Z nieświadomości rzeczy własnych, naszych, rodzinnych i swojskich, pod działaniem wpływów djabelskich zagranicy z kulturą osławioną, powstały dążności stale wykazujące zło najgorsze w »nacionalizmie i w klerykalizmie«:

A jednak okrzyk: »za Wiarę i Ojczyznę«, zaraz w powstaniu listopadowém pod chorągwią polską podnoszony, stwierdza to, że »*Król Duch*« Polski żyje tylko wyznaniem Chrystusa i Świętością Polski, Ojczyzny.

Ale to była pierwotnie narodowość zdrowa i jędrna i to była gorliwość wiary niczém nie zamacona.

Snąć czystém było serce stryja Romana, *białym*, być musiało godném zjawiska, aby na widnokręgu Jazłowca okazało mu się chłopię w znak krzyża słonecznego, jeżeli od młodości powziął zamiłowanie do stanu duchownego.

Kiedy w r. 1866 stryj Roman, jako kanonik i dziekan, doktor Teologii i były rektor Seminarjum Duchownego we Lwowie, umarł w Śniatynie na cholere, miasto urządziło mu pogrzeb najwspanialszy a wszystkie stany ubiegały się o godność dźwigania zwłok jego w trumnie, nawet żydzi dobijali się o to także!

Jakżeż szczęśliwym był stryj Roman, kiedy pozyskał taką miłość u ludzi! Matka nasza całe życie wpajała dlatego w nas przekonanie, iż nic nie daje większego zadowolenia, jak ta zdolność zjednywania sobie miłości u ludzi!...

A stryj Justyn, stawszy się zasłużonym w oczach Bema i otrzymawszy od niego godność adjutanta wraz z szablą przepiękną, jakżeż pozostawił potomnym pamiątkę drogą,

gdy szabla owa była w domu stryjanki Leontyny aż do roku 1914. — Niestety! przyszedli moskale do Śniatyna i zarządzili zabór broni od wszystkich. Stryjanka oddała wraz ze strzelbami i pałaszami, bronią a kopjami ułańskimi i szablę od generała Bema, przypuszczając, że wróci to wszystko najpewniej. Szkoda! okropna szkoda!... znikła bez śladu ta szabla stryja Justyna, aby znowu w zapomnieniu powiększyć boleść w obec strat tylu narodowych i rodzinnych!...

Ojciec nasz Marceł, stryj nasz Justyn, o którym dopiero co była wzmianka, a wreszcie i wój Piotr Zubrzycki, (jako brat rodzony matki naszej Wiktorji), wszyscy trzej brali żywy udział w ruchach narodowych we Lwowie r. 1846. Można sobie wyobrazić, o ile silniejszym był wtedy *duch polski* we Lwowie, kiedy zapal narodowy ogarniał jeszcze nawet wychowanków seminarjum grecko-katolickiego, którzy nosili rogatywki niebieskie (konfederatki). Dopiero hr. *Stadion* stał się głośnym »wynałazcą Rusinów«. Przed rokiem 1848 Lwów cały jednomyślnie gorzał miłością najczystsza w obec Polski i po powstaniu listopadowym nieustannie się burzył.

Cały rok 1846 to dzieje straszne. Ze strony jednej płomienie rozmiłowania w obec Ojczyzny natle ofiar bezgranicznych — ze strony drugiej zatruwanie ducha siłą wrogów, aby rzucić chłopów na szlachtę polską. Jakżeż dobrze cios ten był wymierzony. Rzeź w dworze polskim stała się przykładem zamięszania.

Były to czasy, kiedy wzniosłość uczucia narodowego wrzała całą potęgą zapadu najślachetniejszego i dlatego żyły porywy, których ani rząd ani ogół, przepełniony cudzoziemcami, pojąć nie umiał. Walka pomiędzy samowładzą

(absolutyzmem) a wolnością złotą, bezwiednie przebijająca się z tła dziejów, pobudzała prąd ducha do czynów, mających ciągle oznaczać *sprzeciw* Polsce. Gorącość pragnień właściwie bezustannie podtrzymywała nadzieję powstania, jako krzyku, któryby się domagał uwzględnienia, choć wszystko było oparte o niedostateczność przygotowania i przysposobienia. Rząd austriacki spodziewał się powstania i lękał się jego, ale nie zdołał inaczej zabezpieczyć się, jak tylko zatruciem rodaka przeciw rodakowi, znieprawdzeniem brata przeciw bratu. Rzeź chłopska w Galicji to plama najpotworniejsza na Austrii, hańba w obec ludzkości, a grzech w obec Boga. Kiedy wychodźca *Dębiński* prosił Franciszka Smolki we Lwowie o objęcie dowództwa nad powstaniem już przygotowanym, przyrzekając postawienie 60.000 chłopów, wtedy Smolka dobrze już wiedział o działaniu Metternicha i odrzekł: »chłopi pójdą przeciw powstaniu«.

I tak się stało!

Nastaly dnie pełne sromu, przemieniające naród na plemię Kainowe. Całkiem prosto okazało się, że zapal ogarzał coraz większe kręgi, porywając synów urzędników niemieckich i tworząc bohaterów takich jak Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. Pierwszego stracono 31 lipca 1847 r. Wiele młodzieży akademickiej skazano na więzienia, które się zapełniły po brzegi. Najniebezpieczniejszych rząd księcia Metternicha powysłał aż do Kufsteinu (Okówżtynu) i Spielberga (Grajgóry).

Ojciec mój Marcei i stryj Justyn odsiedzieli srodze Kufstein razem z Alexandrem *Orłowskim*, właścicielem dóbr Lisowce, nad Seretem, niedaleko Tłustego!... Była to kara,

która oczywiście złamać musiała przyszłość całą i zwichnąć życie n łode!...

Kufstein i Spielberg!... Cóż to za złowieszcze słowa, raniące serce Polaka. Ale... dziś wszystko pokryto zapomnieniem, dlatego rodak nowoczesny nie wie nawet, co oznaczają te wyrazy obydwa. Wszystko przepadło!

Kufstein, miasteczko graniczne, wdzięcznie rozłożone wśród gór wysokich i okolicy uroczej, miejsce słynące wyściskami porywającemi, równocześnie jak smętne pamięcią tego zamku, który nosił nazwę dawną: *Geroldseck*. Wieża główna, jako stołpień zamkowy, nazwana wówczas wieżą cesarską (*Kaiserturm*), ileż mieściła więźniów Polaków, Włochów i Francuzów!...

Szczęście to wielkie, że »wiosna ludów« sprowadziła darowanie win i wyswobodzenie, stąd wynikło, że otwarto bramy więzienia, jednego z najokropniejszych, Kufsteinu. Gdyby nie ta okoliczność Bóg wie, jakimi męczarniami dalszemu opłaciłby ojciec życie tam swoje!

Sam Kufstein siedlisko jadu i nienawiści zagnieżdżone w miejscu, gdzie musiał być dawny zamek starostawjański, o którym świadczy nazwa przekręcona z brzmieniem pierwotnego, Oków-ż-tyń, przypomina bezwarunkowo, iż był tu *tyń* z czasów zamierzchłych. Niemcy, jak zawsze, przekręcają wszystko na swoje, uczynili z *tyń* *stein* a Oków zamienili na *Kuf*. Kufstein stał się widmem zgrozy i strachu...

Tuż obok Kufsteinu jest miejsce »*Schwoich*« równie nie po niemiecku brzmiące.

W rodzinie naszej przez czas długi ciągnęła się nie wspomnienia, pełna męczeństwa, bo ojciec i stryj stali się ofiarami na ołtarzu Ojczyzny, wprawdzie z dumą poświę-

cenia, ale z ranami wykołajenia. Tak ślacheć polski wyrzekał się wszystkiego w obec Polski, tracił mienie, zdrowie, pracę i przyszłość — a za to za podszeptem wrogów duch zatruty obrzuca ślachtę oszczerstwami najczarniejszemi, aby z całego stanu ślacheckiego uczynić widmo postrachu.

I Polacy wierzą w to święcie!...

90 I Polacy miotają potwarze na ślachtę narodową gorsze, aniżeli samby wróg wymyślił!...

To za to, że poszła ona w Sybir i gniła po lochach Kufsteinu za miłość ojczystą!...

Ale... przyszło uwolnienie na zasadzie wyswobodzenia ludów. Konstytucja upoiła wszystkich radością najszczęśliwszą, która domagała się objawu zewnętrznego. Samo ustanowienie polskiej *gwardji* narodowej stało się źródłem zajść rozlicznych pomiędzy osobnikami straży narodowej a wojskiem austriackiem. Ojciec mój jako *ułan* gwardji konnej, w stroju bajecznie kolorowym o barwach narodowych, w kołpaku o czterech rogach ponad orłem polskim — był czynnym razem z wójem Piotrem Zubrzyckim. Stryj Justyn był wtedy na Węgrzech pod Bemem.

Od marca 1848 r. do 1 listopada tego roku trwały porywy i uniesienia, które oceniać należy jako natchnienia młodzieńcze, pełne ognia i miłości. Wróg oczywiście zrozumieć tego nie mógł i nie chciał wcale. Stąd dzień 1-go listopada jako groźny i krwawy. Bombardowanie Grodu Lwiego wzniciło pożary teatru, wszechnicy, techniki i ratusza. Z zamku Wysokiego i z Góry Wronowskiej padały kule armatnie i siały ruinę.

Legjon akademicki i gwardja narodowa broniły się barykadami. Najsilniejsza barykada była właśnie koło kościoła

OO. Trynitarzy w ulicy Krakowskiej, gdzie Akademicy się bronili przed rozjářtrzeniem ȳoldactwa. Wystrzały armatnie grzmiały raz po raz!...

Jakkolwiek śmiali się nieprzyjaciele, ȳe nasi za broń mieli drągi lub kosę sznurkami przywiązaną do drzewca, mimo to w dziejach *Lwowa* dzień 1 listopada 1848 jest dniem chwały, poniewaȳ górą myśl polska zajaśniała, choć przyniesiono nas i pastwiono się nad polskością.

Po bombardowaniu Lwowa nastąpiło zawieszenie stanu oblężenia, kary wydalania i uwięzienia. Młodzieȳ ślachecka padła znowu ofiarą — nie miała moȳności kończenia nauki. Tak to poświęcano ciągle wszystko Ojczyźnie.

Za to pokolenia dzisiejsze miotają obelgi na ślachtę polską i dokładają sił wszelakich, aby ją wytępić doszczętnie. Gnębiecie i deptanie od swoich gorsze, aniȳeli od wrogów. Biedna to męczennica ta Polska!

Dowodem najlepszym wynarodowienia naszego, celem ujednolajnienia nas z resztą Europy, to stałe owo wyśmiewanie gorzkie wszystkiego, co tylko stanowiło różnicę naszą i uchodziło za naszą właściwość plemienną.

Do określeń szczerze polskich w imię dobra i praworządności naleȳały przymiotniki nieodłącznie do nazwy rodu naleȳące. *Urodzenie* było znakiem domu dobrze do ȳycia społecznego przysposobionego. »*Urodzony Jan Dęboróg*« jakȳe to silnie znamionuje cnotliwość rodziny, ojca, matki, dziada, naddziada i t. d. A co się u nas nie naśmiano z tych przydatków, które początkowo naleȳały do ȳycia codziennego. Jak zaczęli wrogowie natrząsać się z mowy potocznej, przepełnionej zwrotami »*urodzenia*«, tak dla przy-

podobania się kulturze zachodniej wyrzuciliśmy te przymioty, het za płoty, a za to mamy dziś rozwody, rozwodników, rozwodnice i rozpustnice, aby dzieci najbiedniejsze pojęcia już nie miały, czém to była siła dawna »urodzenia dobrego?«...

msio *Ślachetnie urodzony* musiał być wołany dawniej, bo bez tego przyozdobienia nie pojmowano w ogóle stanu ślacheckiego.

Cóż to za piękne i szczytne były zwyczaje nasze, gdy stan każdy w Polsce miał swoje przywileje, ba! nie dla zapewnienia korzyści i pieniędzy, lecz dla przypomnienia służby w narodzie. *Stan kmiecy* miał prawo do miana: *Zacnie pracowity!*... *Stan mieszczański* gorliwie upominał się o zaszczyt w łączeniu nazwiska koniecznie z przymiotnikiem: »*ślawetnie urodzony*«. Do niedawna jeszcze zapowiedzi po kościołach miasteczek naszych musiały uwzględniać przydatki: *ślawetnie urodzony* i *ślawetnie urodzona*. Gdy razu pewnego ksiądz proboszcz dla postępu opuścił te znamiona, *stan mieszczański* poskarżył się z uszczuplenia praw przed arcybiskupem, ale nic to już nie pomogło, albowiem nam Polakom zawsze i wszędzie więcej chodzi o naśladowanie obczyzny jak zachowanie »*siebie samego*«. *Ślachetnie urodzony* to przywilej ślachty, zapewniający każdego, iż w rodzie danym nie było wykroczeń żadnych przeciw porządkowi, gwoili zabezpieczenia ślachetności drogą cnót narodowych i zasług bratnich. Ostatecznie przydomek: »*urodzenia wielkiego*« albo wysokiego to właściwość stanu najwyższego wielmożów, czyli z obca mówiąc arystokracji.

Właściwe powtarzanie »*dobrze urodzony*« oznaczało ład społeczny, zapewniony prawami dobrobytu nie tyle cie-

lesnego, ile właśnie duchowego, serdecznego, pocziwego i bratniego. Powtarzano bez uprzykrzenia: dobrze, zacie urodzony. »*Mniejszym kasztelanom tytuł Urodzony pozwalają*«, oto zwrot stary, mówiący o szczeblach rozmaitych, nieodzownie potrzebnych w układzie warstw ludzi. Jeżeli był kasztelan mniejszy, był i kasztelan większy, a ten ostatni mógł się zwać ślachećnie urodzonym lub wysoce urodzonym! Jeżeli wieśniakowi polskiemu dodawano: »*zacie pracowity*« albo nawet »*ślachećnie pracowity*«, czyż mogło być coś piękniejszego w oznaczeniu wartości każdego stanu naszego? Wszystkie cztery stany: włościański, mieszczański, ślachećki i wielkopański (wielmożów, arystokratów) miały prawa jedne i te same współpracy dla Dobra Polski!... Oto wzniosłość!

Ślachećnienie narodu drogą kroczenia ku »*Dobremu*« to zakon arcy-stary! Naród zabezpieczał się, aby każdy potomek pochodził z krwi czysto *polskiej*. Przestrzegano tego w imię *praw do powołania wojennego*, aby rycerstwo było godnością najwyższą!

»*Ślacheć orłowy*« to ślacheć dla orła narodowego żyjący i pracujący! Wszystko dla *orła*.

Bolesław Chrobry słynął z tego, że żołnierzy i z rodu prostego ślacheć, zaćm podnosił do zaszczytu wyslachećnienia. Ślachećstwo to ozdoba najpićkniejsza, bo podwaliną jej cnota i zasługa! Jak ta cnota była cenioną, dowodzi przysłowie: »*lepsz a cnota bez ślachećstwa, niż ślachećstwo bez cnoty*«. Życie musiało być przygotowaniem do zaszczytów cnotliwych, stąd ślachećność, zacność urodzenia. Jak wysoce to podnoszono, przekonujemy się, z nazwy starodawniej: »*Sakrament przenajślachećniejszy!*«...

tóroni z rogami złożonymi, kołędnicę powystrajani, szczeraki i na czele ich wszystkich *kołunij ułan polski*! Cóż to za radość była, szczególnie chłopaków, kiedy po prześpiewaniu kołęd mnogich nagle cichło się uczyniło a na przód wystąpił ten *ułan* w kołpaku, którego cdenko czworokątne górą ustrojone było czterema łańcuszkami złożonymi, w cztery półkola zwisającymi po nad głową. Na ramionach 2. naramienniki z koła wychodzące. Rabaty czerwone «*hułana*» guzikami złotymi błyszczące, jakże nas zachwycały. Spodnie w pasy czerwone bokami przystrojone. W ręce prawej szablą z pochwy dobyta i przy ramieniu prawym do góry ostrzem zwrócona. W rękę lewą dzida *hułańska* z chorągiewką trójkolorową. Kroczył *hułan* naprzód w ruchu tańca poważnego, obracał się w prawo i znowu miarowo szedł ku *tóroniowi*, dalej w prawo zwrot i tak wiele razy. A chodząc tak uroczyście, podzwaniał ostrogami i śpiewał, ach jak pięknie śpiewał. Szkoda to wielka, że nie przechowała się nigdzie w pamięci ani jedna zwrotka tej śpiewki *hułana* polskiego, jako *królika* wojennego. Daremne starania — zagięła wieść tak prędko, że tam na Podolu, nie można już dopytać się, czyli nie pamięta kto, co opiewał ten wiarus ślachetnie urodzony i ślachetnie pracujący! Przepadło wszystko w zapomnieniu i to dowód, jak rychło zacierają się wszelakie znamiona nasze, czysto swojskie, rodzime! Szkoda, nie do odżałowania! *gdzieś ob pie. wzmiasz iżob*
Taka to «*ułanja polska*» żyła jeszcze po kołędach i szopkach naszych. Z dumą okrzyk podnoszone wtedy: »po *ułańsku*« czyli jak wymawiano: »po *hułańsku*!« ... I ta kopja *ułańska* i ta włócznia ośmiolokciowa i ta dzida czyli spisa i ta *łanca* jako pika, to wszystko zbroja nasza staro-

świecka, sięgająca czasów aż Chrystusowych, kiedy to żołnierz rzymski wziął od hułana starolechickiego uzbrojenie, z koniem związane. Bok Chrystusa włócznią przebity! Ta włócznia była znaną jeszcze przed Tatarami i Turkami. Niestety! nauka polska szuka dziś rozwiązania, wedle którego nie Tatarzy i Mongołowie od nas, ale my od nich wszystko pobrali!

»*Ułanja polska*« oznaczała znowu stan porucznikowski, koniecznie rozwijający się wśród szlachty ślachećnie urodzonej. Trzeba było wykazać się listem urodzenia *dobrego* po mieczu i po kądzieli aż do stopnia czwartego!

»*Ułanja polska*« pociągnęła za Bemem do Węgier i Siedmiogrodu. Ojciec nasz opowiadał często, w kole przyjaciół i znajomych, jak życie obozowe prowadził razem z koniem, na szyji którego głowę do snu układał, a koń-towarzysz najpocześniejszy, koń-przyjaciel leżał noc całą i nie ruszył się, dopóki porucznik głowy nie podniósł!... Cudne to były obrazy gawędzenia hułańskiego!... Nie spisywaliśmy opowieści, bo się wiecznie odkładało do chwili sposobnej — dziś znowu to przepadło!...

»*Ułanja polska* miała swoje dzieje własne. Władysław Bełzą dał narodowi na pamiątkę książkę pod napisem: »*Wiarusy*«. (Lwów 1909).

Otóż do takich to wiarusów należał ojciec mój od młodości garnący się do służby wojskowej, ślachećnie urodzony, czyli *nobilis* z dziada i naddziadów, po mieczu rycerskim i po kądzieli, zacnej a cnotliwej. Młodszy brat jego *Justyn* był również wiarusem, hułanem.

I po tém wszystkiém czasy niniejsze przyszły do tego, że na podwalinach zobrzydzenia przeszłości i oczernienia

przodków, zdobyto się na zakaz używania herbu! Nie wolno przypomnąć stanu »*ślachetnie urodzonego*!« bo tak nakazuje kultura zachodnia, aby wszystko, co było *polskiem*, naszym, zanikło i przepadło!...

Smętne to nad wyraz!...

Wedle papieru, przechowanego w rodzinie, mamy ślad pewny, że Marceli Zubrzycki, wprowadzie bez herbu wymieniony, ale w języku niemieckim u wroga wyróżniony jako *Marzel v. Zubrzycki*, wstąpił dobrowolnie do ułanów austriackich i służył w półku cesarza Ferdynanda. Na prośbę matki jego Commando Generalne we Lwowie pismem z 14 grudnia 1844 r. zezwoliło na uwolnienie go ze służby. Ten »*Uhlanen — Regiment*« nie był czém inném, jak tylko przystosowaném wojskiem ułanów polskich, których strój przypomina dziś jeszcze strój ludowy, jako narodowy w okolicach Rzeszowa i Tyczyna. Należało to do *tonu dobrego* w duchu narodowym zgłaszać się do służby ułańskiej, jeżeli nie można było inaczej, to choćby przynajmniej w wojsku austriackiem.

Niebawem *gwardja narodowa* jako *wojska wyborowe*, ściągnęło kwiat młodzieży, w żyłach której drgała krew, żadna czynów. Stąd udział hulanów polskich w działaniach generała Bema!

Mamy pamiątkę miłą z czasów owych, oto *lampas* czerwony ze spodni ułańskich ojca naszego, z czasów, pamiętnych ruchawką, która kazała młodzi polskiej szukać nadziei wyzwolenia Polski po krajach obcych. Z wypraw do Węgier i do Siedmiogrodu szczątek to ostatni, będący świadkiem zuchów śmiałych i rzutów dziarskich...

Z tym paskiem czerwonym, zdobiącym niegdyś bokami zielone spodnie ułańskie, wiążą się wspomnienia bardzo ważne na tle dziejowém! Oto garść ich tu zapiszemy.

Nasamprzód wtrącimy uwagę, dotyczącą słowa *lampas*. Każdy Polak przysięgnie, że to wyraz obcy. A tymczasem pochodzi on właśnie z brzmienia czysto starolechickiego: *galon-pas*. Był to pas na *galę* — to znaczy na uroczystość galową, a zatem z *częcią orła narodowego* związaną. Widzimy, jak z czasem skutkiem braku rozumienia istotnego, słowa poprzekręcane nie do poznania, służą nieświadomym do twierdzenia niesłusznego, jakoby my, Polacy, koniecznie zawsze i wszędzie żyli kosztem cudzym. *Galon-pas* i cały strój ułański jest wykwitem poczucia ściśle narodowego, albowiem kołpak księcia Józefa Poniatowskiego oznacza koło na skroniach łączące się wyżej z czwartakiem a zarazem z czterema rogami, w *mir* założonymi, z rogatywką. Jest to zespolenie pierwiastków czysto polskich.

Jakże to boleśnie przychodzi czytać słowa puste, wedle których Polska nie nie dzierży własnego: »Polska wyszła z kultury łacińskiej, wyrosła na kulturze germańskiej, wzniosła się na kulturze włoskiej!«. * Oto wynik nauki szkolnej, ośchłej a przepisami skrępowanej. Same ogólniki, niczém nie udowodnione i same pozory, narzucone względami polityki.

Zdawać się przeto może, że ojciec Marceli Sas Zubrzycki wyszedł tak właśnie przygotowany ze szkół niemieckich, austrijackich.

* Kaźm. Tetmajer: O żołnierzu polskim 1795—1915. Oświęcim 1915. Nakł. Nacz. Komit. Narod. str. 17.

Wprawdzie mamy pod ręką ilość sporą świadectw z gimnazjum w Stanisławowie i widzimy, że są pisane w języku niemieckim, lecz nie oznacza to bynajmniej, aby ten duch gwałtów teutońskich miał podnosić Polskę. Świadectwo, potwierdzające uczęszczanie do grammatyki (Schüler der ersten Grammatikal—Klasse) w r. 1829 w Stanisławowie, potem świadectwa II, III i IV klasy z lat 1830, 1831 i 1832, podpisane przez Piątkowskiego Dyrektora gimnazjum, mogą wprawdzie one rzucać podejrzenie, jakoby to rzeczywiście dopiero przez Niemców Polska *wyrosta (!)* — jednak w istocie rzeczy gnębienie ducha narodowego pobudzało tylko potęgę rodzimą, zupełnie inną od niemieckiej. Dzielność ducha wrzała i kipiała mimo tego, że młodzieńcy uczyli się tylko po niemiecku!...

Nie wyrosła polskość ze szkoły niemieckiej, wcale nie!... wyrosła w piersi narodowej z miłości, tlejącej pomimo przygaszania. A ta miłość szła z krwi i z pokoleń, ona żyła w rodzie całym, którego jednym z najpiękniejszych kwiatów, to taki Szymon Włostowski, który walczył pod Napoleonem na polach od Hiszpanji aż po Moskwę!...

Ozdobiony zaszczytnie »Krzyżem *Virtuti Militari*« a także »krzyżem kawalerskim legji honorowej«, (obydwie oznaki owe są w rodzinie) — był on jednym z tych bohaterów, którzy na świat cały głośne zwycięstwo odnieśli pod *Sammo-Sierg*!... Brał udział czynny pod Lipskiem, Laon, Soissons i Chartres!... Włostowski Szymon blisko spokrewniony z Marcelim Zubrzyckim, wyszedł z ducha Związku Barskiego (Konfederacji Barskiej) i był uczestnikiem legjonów Dąbrowskiego, który dał nam mazurek Wybickiego Józefa »Jeszcze Polska

nie zginęła!« — A Dąbrowskiego Henryka żołnierze nosili także lampasy i naramienniki (epolety) w kształcie kół złotem promieniejących, z napisem jakby w słońcu: *owt »Ludzie wolni są braćmi!«*

Czy to wszystko jest dowodem, że Polska wyrosła na kulturze germańskiej? ... O! nie! przenigdy! ... Legiony to tradycja płynąca w żyłach narodu po legionach Sobieskiego! A legiony rzymskie z orłami to wojsko z *łechów* złożone: *łech-jan!* czyli *lech-jon!* Rzym tylko brał i czerpał, zwyciężał i ujarzmił — Rzym nie dawał, bo żył tylko łupami świata! ...

Zatém ślacheć Marcełi Sas Zubrzycki miał w rodzie i w krwi zdrowej wiele, bardzo wiele zarodków polskości wzmoczonej! ...

Takich jak Włostowski dzielnych było w rodzie naszym bardzo wielu, tylko nieznanych i nie szukających rozgłosu, bo u nas w ogóle w Polsce *»sławomir i mirosława«* nie dążyły nigdy do rozbrzmiewania czczego. Sława w mirze i mir w sławie polegały na istocie uczynku dobrego, tém wartościowszego, im bardziej tajemnicą pokrytego. Stąd to pochodzi, że u nas nic z przeszłości nie związane z nazwiskami mistrzów i dlatego tak bardzo łatwo drogą przypuszczeń, zgoda dowolnych, wprowadzać u nas wpływy niemieckie, włoskie, rzymskie, greckie i t. d. i t. d.

Żył przeto w rodzie naszym miłość do uczynności i to w znaczeniu poświęceń najwyższych w obec Ojczyzny.

Przedsięwziął Marcełi kroki gwoli uwolnienia się z wojska austriackiego, tu we Lwowie w r. 1844, bo... *ułaństwo polskie* budziło się w przewidzeniu jakby seniem. Dusza ojca rozbudzała się choć wcześniej, ale żywo, ponieważ

podlegała oddziaływaniom ducha, ciągle wrącego i pulsującego. Był w Stanisławowie półkownik, powstaniec z roku 1831, Wąsowicz. Ten umiał działać na młodzież, którą zachęcał do kroków rozmaitych. Już się rozlegały echa legionów na Węgrzech zawiązanych. Opowieści potajemnie rozszérszane uczyły w narodzie krzewić zapał zdrowy a owocny. Jakies powstanie nowe miało nastąpić — przez Węgry. To był powód, dla którego matka ojca, Kunegunda, starała się u wojskowości austriackiej o wypuszczenie go z wojska w r. 1844.

Jako *ułan polski*, w stroju przypominającym mundur legionów Dąbrowskiego, czuł się Marceli żywym, działał rzeczywiście w duchu powstańca *Wąsowicza*, rzucał się tu i ówdzie, zawsze czynny i wesoły. Z tego to stroju pozostała pamiątka, ten lampas *czzerwony*! Słyszał ojciec z tego, że mazura najpiękniej tańczył a nasza babka po ojcu, to znać ta Kunegunda, matka Marcelego, często to miała opowiadać, jak znanym był on z osobliwego zapraszania panienek do tańca, mianowicie zawsze tylko *na klęczkach*. Jak to w ogólności tętnił w narodzie naszym wówczas duch podniosłości! Jakie ten taniec miał znaczenie inne, skoro do pary zapraszał ułan polski »*Anioła*« jakby z prośbą o modlitwę na kolanach!... Polki, owe Podolanki, wtedy uchodziły za piękności najgłośniejsze wdziękiem i zdrowiem, skromnością i siłą duchową, to też *klękać* można było przed niemi, jak przed Nazarenkami w Galileji, o których wieść głosi, że były najcudniejsze i z ich to grona wyszła N. Panna Marja. Szczęśliwy to był jeszcze naród, kiedy szczyć się mógł niewinnością Polek i ich anielstwem takim, że można było słusznie *klękać* przed niemi, jak przed obrazem serdeczności i miłości Ojczyzny.

-uślr Ale porwały ojca hasła narodowe i popędził na Węgry. W roku 1845 mieszkała babka Kunegunda w Bohorodczanach, koło Stanisławowa, gdzie gospodarowała na posiadłości małej po ojcu swoim a mąż powtórny, Franciszek Nowakowski był wtedy w Ujściu Zieloném. Nocy pewnej pukał ktoś do okien dworku. Poprzedzono się — białogłowy same zaczęły się kręcić i wołały: kto to?... Myślano, że to już znowu jakaś sprawka tajemnicza śledztwa i dochodzeń.

-um — To ja ułan polski — z Węgier! —
-sif W domu w Bohorodczanach były przy matce tylko trzy córki młodsze: Józefa, Marja i Wiktorja. Stryj Roman jako ksiądz był już wtedy prefektem w Seminarjum we Lwowie. Stryj Justyn, jako brat młodszy ojca Marcelego, miał posadę w Majdanie, w Stanisławowskiém, we wsi Teofila Wiśniewskiego i był tam sędzią. Longina była już zamężną, za Feiglem.

-śl Ojciec wtedy pozostał czas jakiś przy matce i odpoczywał po trudzie podróży dalekiej z Węgier, skąd zdaje się przyjechał pieszo. Wnet pomagał dziewierzowi (szwagrowi) Feigłowi, który był wtedy w Błudnikach, koło Stanisławowa. Niebawem udał się do Justyna, do Majdanu, gdzie przygotowywał się do egzaminu na sędziego. Równocześnie atoli nie przestawał pracować w kierunku raz obranym, a to *narodowym*. Między ludem działał bez ustanku i brał udział ciągle w sprawach bardzo ważnych. Rozwijały się przygotowania jakieś do powstania 1846 r. — W tych celach niejednokrotnie odbywał jakieś podróże nawet pieszo. Nic atoli o tém nie mawiał, bo wiedział, że tajemnice były konieczne. Wystrzegał się odkrywania kroków w spełnianiu

zadań mu powierzonych, nawet w kole najbliższém i ściśle domowém niczego nie dotykał ze spraw wyższych.

W styczniu 1846 roku przyjechał ojciec nasz, Marceli, do Karola Zubrzyckiego, do dziadka naszego po matce, który w czasie tym dzierżawił majątek w *Torskiém*, koło Zaleszczyk. Już miało powstanie wybuchnąć zaraz w lutym. Zatem wyteżano kroki — krzątano się ruchliwie.

Aż po kilkunastu dniach pobytu ojca u Karola, nocy pewnej napadli żołnierze austriaccy na dworek w *Torskiém*, z bronią najeżoną i ze światłem. Dom cały osaczyli — wpadli do pokoju babki i matki naszej Wiktorji, która wtedy miała lat szesnaście. Ojciec Marceli nocował po stronie przeciwnej domu, w pracowni dziadka, razem z Brylińskim, dozorcą gospodarstwa. Komisarz *Pawlikowski* kazał porwać ojca i Brylińskiego. Osadzili ich na brykę pod strażą żołnierzy i zawieźli do Zaleszczyk, do więzienia. Około czasu tego pochwycono zbrojnie Kaliksta Orłowskiego, właściciela Lisowiec nad Seretem a towarzysza i przyjaciela ojca naszego i uwięziono go również w Zaleszczykach. Porwano Apolinarego Stokowskiego, Cichockiego, Dumanowskiego, Chrzanowskiego i wielu, wielu innych. Bryliński pozostawił żonę z 6-giem dziećmi i dlatego z rozpacz podciął sobie gardło brzytwą w więzieniu, bo jako ślachcic zagrodowy nie mógł przenieść hańby śledczej a bał się także może, ażali nie zmuszą go do odkrycia prawdy. Chrzanowski tak samo, nie mogąc zdradzić nikogo i nie chcąc narażać sprawy narodowej, choć go nawet uwolniono na razie z więzienia, odebrał sobie niebawem życie. Miał wieś w okolicy.

Ojciec przesiedział w zamknięciu od lutego do końca maja i przetrwał wszystkie upokorzenia i niebezpieczeństwa,

a jakkolwiek go wypuszczono potem, to nałożono na nim i uczestnikach areszt domowy, aby bez paszportu nie mógł się ani na milę oddalić. Matka moja, jako parna, odwiedzała ojca mego w więzieniu kilka razy, bo to należało do obowiązków każdej Polki dobrej, aby okazać współczucie i udział w sprawie. Odwiedziny były zawsze w towarzystwie żołnierzy i w obecności urzędników, dlatego właściwie o niczem rozmawiać nie było można. Jako obwiniony srodze, siedział ojciec *osobno* zamknięty. Opowiadał nam później często, jak to rząd austriacki budzić chciał trwogę i z umysłu kazał przed oknami więziennemi obciosywać drzewo i przycinać belki, aby równocześnie »gadano« głośno, że to będą szubienice.

Ale... *moc ducha* przetrwała to wszystko i ojciec wyszedł cało, niezłamany, nie sądzony!...! Wydostawszy się z kaźni pomagał cokolwiek dziadkowi w gospodarstwie — nawet inżynierowi pewnemu w Torskiem był pomocą przy pomiarach. Musiał jednak niebawem odjechać do Justyna, ponieważ go śledzono ciągle i żądano, aby nigdzie długo nie przebywał. U Justyna w Stanisławowskiem praktykował dalej, gdyż przygotowywał się do egzaminu na mandatarjusza. Znowu odjechał i był pomocnikiem u Feigla, dziewczera.

Do Torskiego pisywał ciągle, bo w pamięci mu pozostał dworek miły i uczynność Wiktorji, téj Polki, która pocieszała ojca pólślowami w więzieniu. —

Czasy były już groźne — albowiem na górze hycłowskiej we Lwowie, celem pohańbienia narodu, powieszono Wiśniowskiego Teofila i Kapuścińskiego Józefa, aby okazać przed światem całym, iż miłość najczystsza ku Polsce to czyn najgorszy, godny sponiewierania tylko ręką oprawcy!...

Na początku zaś roku 1847 wyprowadził się dziad Karol z Torskiego do Pokropiwny, w okolicy Tarnopola. Tu wziął znowu majątek w dzierżawę (2 mile od Tarnopola).

Wtedy to wybrali się dwaj przyjaciele, ojciec mój i Maurycy Niementowski do domu Karolostwa Zubrzyckich, do Pokropiwny. Ojciec miał pomóc w staraniu się o rękę córki Wiktorji Niementowskiemu, który prosił ojca mojego o pośrednictwo. Oświadczył się rzeczywiście... ale dostał kosza! Ten Maurycy ożenił się potem z baronówną Sondenis.

Prześladowania ze strony rządu były tak dokuczliwe, że ojciec nareście nie mógł nigdzie przesiadywać dłużej nad 24 godzin. Bawił więc ustawicznie jako gość przelotny to u Justyna, to u Feigla, to dalej u Niementowskiego, to u innych znajomych — aż w końcu pojechał do Lwowa celem złożenia egzaminu, lecz go nawet do niego nie przepuszczono, zapewne dla pokarania.

Tymczasem dziadek Karol, ojciec matki Wiktorji, wziął wtenczas dzierżawę w Żeldcu. Jest to wieś 2 mile od Żółkwi, należąca za Austrię do »cyrkułu« złoczowskiego. Stąd posłał dziadzio konie do Lwowa, aby ojciec Marcelli razem ze stryjem Romanem przyjechali do Żelдца. Nic innego ojcu nie pozostawało, jak oddać się gospodarstwu, aby być pomocą dziadkom. Nie długo to wszakże trwało, albowiem switały na widnokręgu narodowym widoki nowe. Przyjechał ojciec do Żelдца z końcem maja a podobno przy końcu czerwca wstąpił już do *Gwardji Narodowej*.

Najpierw był w Kamionce Strumiłowej i tu rozpoczął życie nowe i tu odbywał ćwiczenia. Potem pojechał do Lwowa i tam wstąpił do ułanów w stopniu porucznika,

a to pod pólkownikiem Wybranowskim. Miał strój ułana granatowy z wyłogami białymi. Nagle rozeszła się wiadomość, że do Lwowa przyjedzie generał *Dwernicki*, ponieważ zezwolono na powrót wychodźcom wszystkim. Było to w lecie. Matka nasza, zawsze żywo udział biorąca w każdym ruchu narodowym, ze Żelca umyślnie przyjechała do Lwowa i widziała uroczystości. Gdy lud witał Dwernickiego w uniesieniu, ten z radości płakał wśród rozrzewnienia.

Niebawem między gwardją a wojskiem austriackiem powstały zatargi i z początkiem listopada 1848 nastąpiła bombardacja Lwowa. Ojciec ze swoim wojskiem stał wtedy na Żółkiewskim a pólkownik Wybranowski oczekiwał wyjaśnienia położenia w rynku, pod bokiern ratusza. Ojciec opowiadał, że gdy austriacy zaczęli już strzelać z Zamku Wysokiego, nie wiedział co począć właściwie, bo nie mógł dostać rozkazów żadnych. Przebrał się zatem za mieszczanina w czamare zieloną szewca i udając pijanego szedł Krakowskiem wykrzykując po drodze: »to psiakrew Polaki, znów berewerje wyrabiają«... Wyzywając tak na gwardzistów, mógł wojsko austriackie znieczulić i tak udało mu się dostać do rynku przez ulicę Krakowską, aż do samego Wybranowskiego. Ojciec chciał wystąpić czynnie, lecz Wybranowski tymczasem rozpoczął już układy z hrabią Stadionem, namiestnikiem ówczesnym Galicji, tym łotrem, który kość najpierwszą niezgody między Polakami a Rusinami wzniesił. Komenderującym wówczas był Hammerstein.

Złożono broń i mundury! Podczas bombardowania tego słyhać było dni owych strzały aż do Żelca. W dwórze dziadków powstała obawa

ponieważ w gwardji służył i ojciec Marceli i wój Piotr, brat rodzony matki Wiktorji, zatém syn dziadków po kądzieli. (Stryj Justyn w tym czasie służył pod Bemem, jako porucznik i rozkazo-biorca w Siedmiogrodzie i na Węgrzech). Dziadzió z ciekawości i niepokoju wysłał czémprędzej sługę swego zaufanego a ulubionego «*Demka*», aby się napewno dowiedział, co téż dzieje się z naszymi? Demka jednak nie wpuszczono do miasta zaraz, aż dopiero po dwóch dniach, po bombardacji. Wróciwszy do domu opowiadał, że widział paniczów zdrowych, ale »panicze nasi nie mają już czapek pięknych z różami!« Zaraz bowiem po ogłoszeniu konstytucji nosił naród cały róże trójkolorowe jako kokardy. Kobiety stroiły się w trzy róże: białą, czerwoną i niebieską, a mężczyźni ubierali jedną różę o trzech kolorach. Czapki to były kołpaki ułańskie w gwardji i rogatywki czyli konfederatki. Demko pocziwy ze łzami w oczach przyniósł wieści, że już tak prędko zabroniono noszenia czapek z różami, że zrzucano mundury i odłożono pałasze.

W dworze w Żelńcu już domyślono się wszystkiego. Wszyscy posmęcili się bardzo, gdyż rozumiano na pewno, jak zaszło coś bardzo złego, kiedy gwardję narodową zniesiono. I rzeczywiście posypały się znowu i znowu uwięzienia liczne. Wielu uprowadzono z miasta, wielu zabrano do wojska. To téż w kilka dni potém posłał dziadzió bryczkę do Lwowa. Ojciec i wój Piotr przyjechali niebawem do Żelńca. Stryj Roman przybył dopiero w parę tygodni, bo seminarjum zamknęli skutkiem zatargów między gwardzistami a wojskiem austrijackim. Nastal czas bardzo smutny!

Wszystkie te przejścia ostatnie, dawniejsze i zaraz następne, najbliższe, wyczerpały wnet już tak bardzo siły ojca, że po prostu stracił otuchę do życia i wszystkiego. Borykania się z przeciwnościami, wszystkie niepowodzenia mniejsze i większe, włóczęga wojskowa i wojenna pod Bemem, prześladowania i więzienia bądź w kraju, bądź daleko w Kufsteinie i Grajgórze (Spielberg), wykołajenia pod względem obowiązków i pracy społecznej, to wszystko razem przy niebezpieczeństwie położenia osobistego i narodowego spowodowało u ojca stan chwilami bliski rozpacz. Popadał w przeczulenia i smutek przygniatający, jakby choroba się zbliżała, melancholją zwana. Zamykał się w pokoju na uboczu, nie chciał się z nikim widzieć, nic nie mówił i niczem poważnie zająć się nie mógł. Jeszcze raz miał zamiar jechać do Węgier, aby połączyć się z wojskiem Bema... ale siostra krewna — owa Wiktorja, matka nasza, córka Karola Zubrzyckiego, odwiodła go od tego. Został więc ojciec w *Żelazcu* i uspokoiwszy się nieco oddał gospodarstwu dziadka.

Wspominaliśmy już wyżej, jak Niemiec-Austryjak umiał w czasie owym szanować to co naród polski dzierzył z przeszłości i choć gnębił go i uciskał w sposób nieludzki, jednak nie odmawiał mu praw idących z własności rodu, lecz przeciwnie dobrowolnie je podtrzymywał. Otóż papier ten z r. 1844, mocą którego wojskowość zaborcza zwalniała Marcelego Zubrzyckiego ze służby w półku ułanów, jest dlatego tak bardzo ważny, ponieważ zachowano tu godność jego przez dodatek »von«. A więc Marceli »von« Zubrzycki, »Ritter von« było to dziedzictwo, idące z wie-

ków, mocą którego przyznawano mu w papierach łacińskich tytuł: »*nobilis*«. Zatem był Nobilis Thadaeus Zúbrzycki, który miał dwóch synów, Nobilis Josephus oraz Nobilis Carolus. Żona tego Józefa jest nazwana »Generosa Cunegundia, *de domo* Wiśniewska«. Tak więc była jeszcze godność rodowa, »*generosus*«, żyjąca w pełni blasku mimo wszystkich upadków i nieszczęść, jakie naród przechodził. Dlaczego to tak było?... Albowiem płynęła w duchu polskim siła niespożyta, stwierdzająca wyraźnie, znamie nasze główne, wedle którego powiedzieć było można: *Polska to naród ducha!* Jak święty Franciszek dążył do tego, aby człowiek ciała stał się człowiekiem ducha, tak w rzedzie narodów naród nasz odgrywał zaprawdę rolę *narodu duchowego*, albowiem dzielnością jego to przewaga zawsze wartości duchowej i wszędzie na miejscu najpierwszym, górnolotność myśli, strzelającej wysoko — w niebo.

Małopolska cała szczególnie celowała w tym kierunku. Jest w Krakowie brama kamienicy stariej w rogu Rynku głównego (wielkiego), prowadząca dziś do lekamni Gralewskiego od ulicy Sławkowskiej. W obramieniu tej bramy nad półkolem sklepienia jest w polu lewem tarcza słoneczna z promieniami, a w polu prawem półksiężyc w otoczeniu gwiazd. W pośrodku na zworniku czyli kluczu łuku żywo uwydatnia się głowa lwa z paszczką otwartą. Mało kto uwagę na ten zabytek zwraca. Tysiące przechodni nie kierują oczów w te strony i nie rozumieją wcale znaczenia polotu, jaki z pomnika sztuki jaśnieje zawsze jednakowo. Każdy dziś pędzi obok gorączkowo, zajęty tylko samym sobą, każdy staje się doskonałym obrazem nowoczesnym, jako człowieka ciała i zmysłu, a nikt, dosłownie nikt nie

pojmuje, czémże żył do niedawna Polak, jako człowiek ducha i serca!

Otóż brama wspomniana jędrnie to objaśnia. Ze siłą i w a, zatem siłą największą na ziemi, siłą mięśni i dłoni, krwi i kości, dzierżyć nam te bogactwa, które są tu przedstawione pod postacią słońca i księżyca z gwiazdami. Tak! tak! było istotnie Posłannictwo Narodowe, nasze, aby podtrzymać wyżyny w dążeniach ku doskonałości. Naród upadał, słał się nisko, lecz mimo to kroczył ku szczytom, bo dążył od wieków i po przez wieki do prawdy i dobra, do miłości i piękna w życiu!...

Nobili, ślachtetnie urodzony, oznacza kogoś właściwie najlepiej przygotowanego do kroczenia po drodze ku słońcu i ku gwiazdom. *Słońce* w sztuce zakopańskiej nie co innego nam przypomina tylko wzniosłość rzeczywistą, pełną prawdy życiowej, uczynną i sumienną a nie wedle mędrkowania z dociekań zwanych filozofją rozumu oschłego.

Dobrze urodzony i sławetny, to były przymiotniki koniecznie przynależące do imienia osobnika i nazwiska rodu, tak niezbędne, że opuszczenie ich, dajmy na to z kazalnicy, przy ogłaszaniu zapowiedzi, uważano za krzywdę jedną z najdotkliwszych i obelgę niczém nagrodzić się nie dającą. Upominał się do niedawna każdy o zachowanie praw z dawna nabytych i czułym był na każde uchybienie najmniejsze! Bo w piersi żarzył się jasno ogień zapalów ślachtetnych i biło źródło natchnień w niebo tryskających. Nikt nie tylko nie bał się kierunków takich, ale każdy przeciwnie bezwiednie a mimowolnie objawiał potęgę trzymania w dłoni wzniosłości »idealizmu«.

Postęp nowoczesny wtrącił to wszystko do błota a ścieku, bowiem uznaje tylko *materjalizm*. W linii najpierwszej wyśmiano Polaka i przeszłość jego całą, bo u nas zawsze najłatwiej o naigrawanie i wyszydzenie. *«Dobrze urodzony»* dla kroczenia ku wyżynom stał się znakiem poniżenia i urągania, bardzo nawet przykrego! Dążenia razem *«z kulturą zachodnią»*, narzucające nam na szyję, na nogi, na ręce i na piersi pęta prawdy aż nadto trzeźwój, sprawiły i sprawiają dalej, że Polska przeinaczyła się nie do poznania i przeinacza dalej aż do zaniku doświadczonego! Nic nie pozostanie wedle widzenia słońca i gwiazd, z dzielnością *«lwa sarmackiego»* — a wszystko obróci się na najgorsze dla poniżenia człowieka i narodu.

Tak się stało ze ślacheństwem i z herbami!...

Do tego stopnia obalamucenie nasze nowinkami *«naprzód»* przyszło, że w narodzie polskim niema już hańby większej jak przyznanie się do ślachty i zawołanie herbu. Powszechnie ustalono już przekonanie, jako ślachta naród zgubiła, bo nic gorszego na ziemi po nad stan ślachecki! Precz z herbami, pustkę i próżność głoszącemi! Znieść to wszystko, zaprzepaścić, aby śladu najmniejszego już nie było!... Zakazać z góry mocą władzy, aby nie przypominał nikt herbu!... — A jednak to, co żyło w godności nazywania *«von»* lub *«de»* jako *«nobilis»*, szczytający się *«de domo»* — to wszystko w rodzie naszym było obrazowo chwycone w treści znaku pod nazwą *«Sas»*. Zdawaćby się mogło komuś, jak u nas zawsze, że to wszystko znowu tylko niemieckie, lecz nie! Zapominajmy o wzmiance Długosza, który wyraźnie mówi, jak za czasów jego w Saksonji, około Lipska i Drez-

na lud po polsku mówił. Przed zniemczeniem i Saksonja była sławiańska, polską! O dawności herbu »Sas« mówią gwiazdy na tarczy widniejące i półksiężyc rogaty, końcami do góry podniesiony. Strzała po nad rogalem umieszczona strzela w niebo! Takie to przekazanie mieści się dla pokoleń na tym oto »szczycie rodowym«, abyśmy wiedzieli, iż jak na bramie krakowskiej, wyżej opisaniej, tak i na herbie Sas są znaki *zawołania* ku wyżynom i ku górnolotności. A w klejnocie nad hełmem pióropusz z piór pawich, o *serduszkach* tęczowo malowanych, cóż to za ponęta cudowna, co to za świetność blasku, iżby się głosiła prawda świętości cnót domowych i zasług narodowych, drogą ku gwiazdom i księżycu, słońcem oświetlonego! A strzała i gwiazdy i księżyc na niebie — na tle błękitu! »

Herb Sas musi pochodzić ze stannicy runicznej i to nie skandynawskiej ale naszej własnej, rodzimiej i polskiej z tych jeszcze czasów, kiedy wiara pogańska Światowida wprowadzała cześć gwiazd i księżycą, Święto-różyca! »

Jeżeli na zworniku kamiennym kościoła w *Stopnicy* widzimy półksiężyc podobny z krzyżem na półksiężycu spoczywającym, zamiast strzały, to znak ten bynajmniej nie określa pochodzenia herbu dopiero z czasów zaprowadzenia u nas chrześcijaństwa! nie! — Księżyc z krzyżem, podkowa z krzyżem, to znaki z czasów *Światowida*, bo cześć boga świata widziała cztery świata strony! Z tych czterech stron świata pochodzi *mir*, jako znak boski pokoju i sławy! »

Zatém znaki herbu »Sas« opierają się o runy bardzo a bardzo dawne, jeszcze przedchrześcijańskie! Od tamtych to wieków płynie źródło wzniosłości i wieje polot nie-

biański, który przepelniał piersi rodów i ożywiał serca pokoleń.

Takie to usposobienia w duszy, kiełkowały wtedy, kiedy Marceli Sas Zubrzycki, złamany a jednak prostujący się do pracy dla Ojczyzny, zrozpaczony, a przecie szukający otuchy dla przyszłości, osiadł na gospodarstwie w Żelcdu u Karola Zubrzyckiego!...

Wedle zawołania herbu »Sas« myśli i uczucia uniosły się w błękity modre, gdzie gwiazdy nadziei otaczają westchnienia strzeliste, aby na podobieństwo ciszy i błogości księżycy wypogodzonego znaleźć zadowolenie w pracy życia całego. Jak krakowiak po dzień dzisiejszy zdoła rogatywkę swoją świetnością piór pawich, tak chełm rycerski w klejnocie nad tarczą herbową jaśniał blaskiem kolorów wychodzących ze serc tęczy niebieskiej; iżby pióra te pawie oznaczały wspaniałość i okrasę nagrody za męki wśród spełniania cnót mnogich i zasług przemożnych!

Tak! Marceli i Wiktorja znaleźli się na jednej drodze ku tym krainom ideałów, wśród których żyła Polska od przedwieków dziejów bajecznych aż do jej upadku. Ci aniołowie dwaj, którzy w gościnę świętą przyszli do Piasta, także każą nam wierzyć w anielstwo dążności aż ku wieczności, drogą świetlaną. A droga ta to nie z dobrobytu i przesytu wśród wygod największych, lecz to droga, którą wiodą aniołowie o skrzydłach śnieżnobiałych.

Tak Marceli i Wiktorja rozważać poczęli nad położeniem smutném, bliskim rozpacz. Kto jak kto, ale Wiktorja siłą największą wspierała ojca! *Mocą ducha!*

Jakaż to była różnica pomiędzy czasami tamtymi a dzisiejszymi!... Naród dawniej żywy a uwięziony przemocą

i niewolą, niczego nie dzierżył w ręku a wszystko posiadał w duszy — naród dziś wyswobodzony i wolnością kochaną nagrodzony ma teraz wszystko w dłoniach własnych a w duszy z polskości niczego nie zachował.

To też z bogactwa nieprzebranego uczuć i miłości wzniosłej czerpali przodkowie siły najzdrowsze.

Pewnego wieczora siedziała matka z ojcem w spokoju na ganku czterostupowym, skąd roztaczał się widok przepiękny na wieś i na okolicę, na cerkiew i na szkołkę niedokończoną, próżno stojącą więcej jak lat 20, bez dachu nawet. Gdy ojciec, jak zwykle po tych przejściach, rozpoczął znowu przerażać się położeniem beznadziejnym, wtedy matka pokazując mu ową szkołkę biedną, opuszczoną rzekła:

»Patrz oto! mój drogi! Kiedy już orężem działać nie możesz i nie wolno nam w żaden sposób wojenny pomóc sobie — rzuć się na pole pracy dla ludu osieroconego. Patrz! szkołka 20 lat próżno stoi, bo nikt nie ma odwagi podjąć się pracy około oświaty!... Poświęć się zatem, równe a może i większe dla narodu położysz zasługi!«...

Trudno było zrazu ojcu pogodzić się z tą myślą!... Ale... były to czasy, których my dzisiejsi zgoła pojąć nie umiemy. Żyły i tętniły gorąco w sercach te wszystkie podniety duchowe i narodowe, jakich obecnie nie znamy. Jeszcze wówczas może mniej w słowach określano dążności Powołania Niebieskiego, za to więcej czynnie starano się krok każdy zaznaczyć, jakby kierował się on rzeczywiście do gwiazdy błękitnej bławatków polskich króla Szczęty (Balladyna). W pieśniach, płynących z piersi rozplomienionych, pełno krążyło wołania modlitewnego:

»O Boże Ojców biegniem do twój sieni,
Powróć już wolność na *Sarmacką* ziemię...«
(K. Brodziński).

Pieśni stawały się modlitwami o Ojczyznę świętą. Proszono o oręż jasny albo o grób! W roku 1832 wedle słów Beranżera rzucano hasła, by *wyższość* *duszy* skronię uwieczniała. Do Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej nócono:

»Dopomóż wrogów powypędzać z kraju,
Wojskiem Anielskiem z Niebios nam zesłaniem...«
(Modlitwa do Opiekunki Polaków).

Wedle słów S. Gołczyńskiego Orzeł nasz piękny oczy wzięł od błyskawicy, w chmur posłaniu na Krywaniu a skrzydła opatrzył wiatrami. Prowadził orzeł taki srebrnopióry naród cały wyżyną górną wzniesioną ponad poziomy zwyczajne, co się objawiało przedewszystkiem duchem *Powstania*.

Bliżej się zastanowiwszy, musimy przyznać, że istota sama »*Powstania*«, zrodzona w Polsce właśnie wtedy, kiedy już zbliżały się dni ostatnie przed Rozbiorami wydała owoce o wiele piękniejsze i ważniejsze, jak się to nam wydaje. *Powstanie* z czią przed dziejami i przed światem, *Powstanie* w gotowości bronięcia Boga i Kościoła, *Powstanie* serca dla ratowania wszystkich ideałów najcenniejszych — wręście *Powstanie* sumienia dla sprzeciwu w obec Boga i ludzi, choć bojownik szedł bosi i strzelbinę miał dróci-kiem przewiazaną na zamku — oto! Wyższość prawdziwa Ducha i Duszy w Polsce. (Bar na Podolu).

Dziś tego nikt już nie pojmuje, bo poginęły szczątki ostatnie polskości właściwej a pozostały ogólniki — zbliżające nas do zachodu! Piosnki najgłupsze i najnieskrom-

niejsze weszły teraz w modę i sądzą niektórzy, jakby w czasach, kiedy się woła *»Nóżki na stół«* lub *»co masz pod koszulką«* mogły pojąć wielkości i świętości Polski Powstańczej.

woła *Powstaniec* polski to właściwie ten sam *ułań, pan*, o którym obozy śpiewały po zwycięstwie pod Wawrem.

»Nie masz Pana nad Ułana!«

Bo wiedzieć trzeba i pamiętać o tem należy, że Państwo a Ułaństwo to jedność z tych czasów, kiedy obrona rozumiana tylko w Imię Boga a władza świecka to właściwie władza Boska poruczona na ziemi!

W obec tego wszystkiego jaśnieje przed nami w czasach owych *»wiosny ludów«*, po roku 1848, tu na Podolu, obraz wyjątkowo podniosły, albowiem sławne już wtedy były ruchy Podolskie, jako najpiękniejsze i najobfitsze snopy Podolskie.

Gdzie jak gdzie, ale tu na Podolu nad Zbruczem tętniły najgłośniej trąby bojowe z okrzykiem: *»Idźmy, gdzie Ojczyzna wzywa!«* Znaną nam pieśń powstańcza pod tem zawołaniem, w której głośno to światu podawano, że

»Lud do wysokich przeznaczeń wezwany

Woli ostatecznie ginąć

I w pamięci tylko słynąć;

Niż podle dźwigać kajdany!«

Stąd to wziął się *ułań polski* w szopce polskiej — stąd to razem on objawia z *ukraińcem*, jako kozakiem, w szopce krakowskiej myśl przewodnią żywotności rdzennie polskiej, obok Twardowskiego, kroczącego za mędrkami Wschodu! Tak!...

Ojciec i matka, w dniu owym na ganku czterosłupowym w *Żelcu* siedzący, nie byli obrazem rozbitków, przeznaczonych na zatracenie. Nie! choć przejścia, łamiące pozornie, wszystko w niwecz obracały, mimo to zarzewia, w duszy i sercu płonące, okazywały pogodę widnokregu, na którym zwłaszcza Podolanie widzieli przyszłość cudowną. I to podnieść się godzi ze siłą właściwą, że Polska żyła wówczas w sumieniu jeszcze najpotężniej, choć wrogowie wymazali już ją całkiem z Europy!...

Żeldec, wioszczyzna biedneńka, na uboczu skryta, jakżeż wystarczała cichością swoją i czystością dla rozkwitu miłości ojczyźnej, największym płomieniem strzelającej, na podobieństwo tych kul przy dramach polskich, o których mówiliśmy. Jeżeli siostra moja Wanda pamięta to i często powtarza, że stryj nasz Roman Zubrzycki, kanonik i dziekan śniatyński, spowiadał przed śmiercią Wiśniowskiego Teofila i Kapuścińskiego Józefa, to nie co innego to oznacza, jak tę prawdę, że z duchem męczenników owych jednoczył się duch rodu Zubrzyckich wszystkich. Okoliczność owa tém godniejsza wzmianki w tém miejscu, o ile wiemy, że i Wiśniowski pochodził z Jazłowca, gdzie przecie bawili i Marcei i Roman i Justyn Zubrzyccy, jak to już opisaliśmy.

Zapał i górnowzniosłość Wiśniowskiego z Jazłowca jednoczy się również z ogniskiem piękna, żyjącego po dzień dzisiejszy w uścich ludu podolskiego, który pragnie ciągle w słońca blasku widzieć pacholę Jazłowieckie z rączkami rozkrzyżowanemi nad widnokregiem. Podole owo przypomina się nam tak samo, gdy słyszymy pieśń powstańczą: »Nie masz Pana nad Ułana«, bo pod Wawrem przecież odznaczył się Chłopicki Grzegorz Józef, również z Podola

rodem. Chłopicki w Krzeszowicach trzyma Potockiego Adama do chrztu starym obyczajem polskim na dwóch szablach, ponieważ zwyczaj to był przede wszystkim *podolski*, gwoli poświęcenia syna na obrońcę polskości. A czynił tak Chłopicki, o którym pieśń głosi, że to Kościuszki *naśladowca prawy!*... Kościuszkę zowie pieśń ta sama *Ozdobą ziemi Sarmackiej* — a więc i Chłopicki ozdobą Sarmacji a także i Podola.

Otóż duch taki i świat poglądów tak wygórowanych unosił się nad Polską w okresach powstań wszystkich, które aczkolwiek kończyły się zawsze klęskami w znaczeniu politycznym i dla oka ziemskiego znaczyć mogły »przegrane« odnośnie do ciała — jednakowoż zawsze i wszędzie w Polsce podtrzymywały żywotność rzec można nieziemską. Nietylko podtrzymywały, ale ją wzmacniały i potęgowały. Ludzie mimo wszystko nie upadali, lecz się dźwigali i podnosili z sobą hasła odwieczne.

Jak już wspominaliśmy, brak wszystkiego, dosłownie wszystkiego w znaczeniu dzierżenia widomego, pobudzał moce najdzielniejsze dla uniesienia duchowego a serdecznego. Nic w rękach, a świat cały w duszy.

Dziś mamy wszystko w rękach — a pustka, nicość, zawiść uśmiercająca i nieprzyjaźń polskości w piersiach!!!

Oto męczeństwo Polski.

* * *

Pod wpływem rozmowy na ganku dworu w Żelźcu ojciec Marceli rozmyślał ciągle nad położeniem, ponieważ nie mógł się pogodzić z prawdą, jakoby on, wojak, żołnierz, *ułan polski* i gwardzista narodowy, musiał się już wyrzec wszystkiego a przerzucić na pole, do którego bądź co bądź

nie odczuwał powołania. Tak się atoli składało, że życie wiejskie a gospodarskie nie nastroczało większej przyjemności nad używanie sieliskości, po umęczeniu dnia całego zawsze o godzinie szarć na ganku, już po przedzwonieniu na »*Anioł Pański*«. Tutaj w kółeczku rodzinnćm codzićn prawie poruszano sprawć jednć i tć samć. Matka dobrze umiała zachćcać i przygotowywać, wićc tćż i uspokajała mówiąc tak: »Dobrze wiesz, jak Opatrzność Boska łaskawć jest dla nas, wszćk gdyby nie otwarcie bram wićźni Kufszteinu i Spielbergu, mógłbyś być z Orłowskim Kalikstem po dzień dzisiejszy w murach piwnic zamkowych, tam w oddali i ani myśleć byś nie mógł o dalszych pracach narodowych!... Dzićkujmy Bogu, żeś wolny — a godźmy się z Wolć Nieba«.

Ojcieć cićgle się zżywał jeszcze. Rada Wiktorji, siostry a krewnćj i dobrćj stawala się coraz miłszć, bo serca dwojga młodych lgnęły widocznie ku sobie — lecz obawa przed pracć, nie tyle dla niego żmudnć ile obcć, bez przygotowania, cićgle nie dopuszczała, aby zapaść mogło postanowienie jakie.

Ale... powoli, powoli rozważania wspólne przecie osiągnęły skutek taki, że za wolć arcybiskupa Baranieckiego, we Lwowie, okazała się rzeczywiscie nadzieja otrzymania posady. Szkoły siłć tradycji należały w czasie owym cićgle jeszcze do władzy duchownćj, która oczywiście, nie tyle urzćdując na podstawie przepisów, ile krzewiąc prawdć świętć, starała się o wyposaźenie szkoły w duchu polskim i katolickim. Jakkolwiek ojcieć Marceli nie mógł się jeszcze wykazać żadnćm przygotowaniem do zawodu nauczycielskiego, mimo to władza jako nadzór konsystorjalny zgodził

się na objęcie stanowiska nauczyciela pod warunkiem, aby ojciec do lat kilku złożył egzamin przepisany.

I cóż ojciec miał począć?... Kończyć wszechnicy nie mógł właśnie po tych przejściach politycznych, które go do Kufsztenu zapchały — nauki przerwane, zamiłowanie do ułaństwa polskiego stłumione a gospodarstwa po konfiskatach licznych w rodzie całym sprowadzone do dzierżawy na posiadłościach obcych, nie przedstawiały widoków pewnych a dobrych. Duch urzędniczy^{ri} austrijacki występujący przeciw ślachie, dążący już wtedy do wytępienia jej drogą rzezi osławionej⁴³ — zmuszał niestety wielu do tego, że przerzucać się musieli z pola rolnictwa na pracę wedle porządku nowego.

Ojciec i matka, już jako narzeczeni tam w Żelǳcu, pogodzili się wzajemnie z myślą o przyszłości na tle wychowywania i kształcenia pokoleń. A gdy raz już to okazało się mniej może do prawdy podobnym ile koniecznym, wnet przejęła dwie istoty nowa do życia ochota, która wlała w piersi radość i uspokojenie. Za pomocą hrabiny Aleksandry Krasickiej, która była wówczas właścicielką Żelǳca, nastąpiło pobranie pary młodej. Zapowiedzi wyszły w czerwcu 1850 r. w Kamionce Strumiłowej. Ślub i wesele odbyły się we Lwowie dnia 22 lutego 1851 r. W kościele św. Mikołaja we Lwowie stanęła para młoda^{ri} na kobiercu dla zamiany pierścionków.

Niebawem w czerwcu 1851. dziadek Karol i ojciec wyjechali ze Żelǳca a osiedlili się^{ri} w Stółsku we wsi należącej do hr. Skarbka, gdzie dziadek objął znowu dzierżawę. Starania o posadę nauczyciela tymczasowo powoli się składały. Ojciec pomagał dziadkowi w gospodarstwie w Stółsku

przez trzy lata. Znowu nieszczęścia i niepowodzenia zmusiły dziadka do przeniesienia się na dzierżawę wioski »*Kiernica*« w Stryjskiem, gdzie rok przesiedzieli. Warunki coraz gorsze i nieprzychylniejsze spowodowały straty olbrzymie na dzierżawie i téj nowéj w *Kiernicy*, więc przeprowadzono się do *Mikołajowa*, gdzie ojciec Marceli otrzymał zajęcie przy zarządzie Skarbu hr. Skarbki w Drohowyżu a matka Wiktorja z zamiłowaniem oddawała się udzielaniu nauk dziewczątkom z miasteczka i okolicy. Ojciec z Mikołajowa pieszo chodził codziennie do Drohowyża, a Skarb wtedy był pod kuratelą rządu. W czasie owym nastąpiło rozstrzygnięcie co do posady nauczyciela. Ojciec otrzymał miejsce w *Tłustém*, w mieścinie podupadłej nad rzeczką Dębną, którą austriacy przemienili sromotnie, zawsze samogłoski nosowe polskie na *u* obracając.

Na wiosnę 1854 r. objął już ojciec Marceli stanowisko nauczyciela w *Tłustém* i otworzył zaraz szkołę w maju. Matka Wiktorja z dziećmi przyjechała dopiero we Wrześniu 1854 r. Siostra Wanda urodziła się w Stólsku, brat Józef także. W sposób taki ustaliło się powoli życie rodziców, którzy w *Tłustém* 26 lat spędzili na jedném miejscu, a to od r. 1854 do r. 1880.

Tłuste po bokach obydwóch gościńca założone, w polowie między Zaleszczykami a Czortkowém, jako miejsce rodzinne nasze, w życiu dalszém odegrało rolę wielce ważną.

Pracował ojciec z poświęceniem największém 26 lat w warunkach najnieudateczniejszych, jakie tylko wyobrazić sobie można, w zakątku przepelnionym żywiołem wrogim i pod rządem najbardziej wrogim. W izbie jednéj

mieściła się szkoła cała, mająca jedynie kilkadziesiąt tablic ściennych za środek naukowy dla uczenia abecadła. Ponadto nic, zgola nic.

Praca nauczycielska bez właściwego przygotowania, bez pomocy, bez środków i przepisów urzędowania, a jednak jak owocna i dobra! Dlaczego?... bo była wynikiem umiłowania serdecznego, jakie ongi stokroć większą posiadało wartość, jak obecnie nowoczesne ślęczenia nieskończone, wśród bezduszości urzędowania. Tysiące rozporządzeń i setki tysięcy przepisów, a wszystko w odniesieniu do pedagogiki, higieny, psychologii i logiki na to tylko, aby ze sieczki pełnej otrębów jałowych wynikały programy czysto niemieckie, wymierzone doskonale dla zabicia duszy polskiej.

Ojciec w *Tłustém* pracował w szkole a matka w domu, kształćąc dzieci z domów ślacheckich okolicznych, wedle myśli zbożnych i narodowych, starczących znakomicie za wszystkie ustawy i paragrafy. — Nie ustawali oboje w pracy powstańczej, ciągle tętniącej pokryjomo. — Nie! — dom rodziców w *Tłustém* ożywił się niebawem bardzo, zakwitła w nim gościnność daleko i szeroko znana. Miłość u ludzi była skarbem jego największym a szacunek ogólny stawał się nagrodą nieocenioną.

Życie rodziny całej układało się wedle treści mnogich pieśni powstańczych.

«*Żyj Podole drogie nasze!*

Tobie nasza krew!

Tobie myśli i pałasze

I serc tęskny śpiew!»

(Maurycy Gosławski).

A napomknąć się godzi w tém miejscu, iż to Podole rzeczywiście było przesiąknięte krwią przodków od czasów niepamiętnych, dlatego jako ziemia droga, było na ustach ciągle w pieśni i w gawędach.

Po prawdzie Polska dzisiejsza niéma pojęcia, jak serdecznie od czasów najdawniejszych Podole spojęne było z Rzeczpospolitą. Są tacy, którzy pod działaniem ostatnich prądów za pośrednictwem polityki pruskiej i marek niemieckich, przysięgliby, że Podole to kraj całkiem nie polski. Powoli przyzwyczajają nas do zapomnienia nawet nazwy: *Podole*. A jednak, szkoda to wielka i krzywda jeszcze większa, ponieważ urodzajność ziemi czarnej przeważnie zasiloną bywała potokami krwi polskiej i kośćmi bojowników, którzy tu życie w ofierze miłośnej składali.

Matka nasza Wiktorja powróciła w te strony, dobrze jej znane, albowiem młodość swoją najpierwszą spędziła tuż opodal Tłustego w *Kapuścińcach*, wiosce nad Seretem, w wądole podolskim, malowniczo wśród gajów i sadów zabudowanėj. Miejsce ciche, ustronne, jest znane w dziejach naszych dla potyczki Stanisława Lanckorońskiego, hetmana (goć-mień) polnego, koronnego, z Tatarami we wieku XVII. Jako syn Jana Lanckorońskiego, podchorążego podolskiego, wstąpił się życiem całém na usługach dla obrony Podola — pod Kamieńcem, Ostropolem, Zbarażem i Kraśnem. Odznaczył się szczególnie pod Martynowem w r. 1624., aż w znaném starostwie Martynowskiém czyli Marcinkowskiém na Podolu Kijowskiém. I to się u nas powiada, że Lanckorona to wyraz niemiecki, zatém Lanckoroński to ród jakiś z Niemców niby pochodzić mający. Żyłka przeinaczania dąży do wykazania, jakoby Lanckorona pochodziła od sło-

wa »*Landskrone*«. Ród z herbem opartym o piątnicę, która składa się z dwóch orłów złotych i dwóch głów lwich, także złotych, w krzyż ułożonych, z lwem wspiętym w pośrodku, ród od lancy ułańskiej w rękę dzierzonej głośny, zasłużony w bojach dla ochrony Podola, taki ród musiał pochodzić z krwi czysto ślacheckiej i polskiej. A korona z lanc ułańskich czyli pik, z chorągiewkami jako proporcami, była to ozdoba rycerska jedna z najzaszczytniejszych w dziejach Polski, walczącej w obronie świętości. Wstyd to wielki, iż my Polacy tak łatwo poddajemy się wpływowi wrogim, aby tylko dla drobnostki ledwo pozornej utwierdzić w kłamstwo i zachłanność zaborców, którzy wmawiają w nas, że Lanckorona to Landskrone! ...

Ci bohaterowie nasi walczyli i bili się aż do upadłego o koronie z lanc polskich, ułańskich po nad głową, bowiem Podole to kraj najdroższy dla pamiątek narodowych i najurodzajniejszy, mlekiem i miodem rzeczywiście płynący!... Tu Lanckoroński pod Kapuścińcami obronił ziemię i rodaków przed dzikością Tatarów, goniących po Ojczyźnie naszej raz po raz, aby nasycić się bogactwami Polski i zgniebić ducha narodowego. Mimo nieszczęść tylu przeciwnie wzmacniał się ten duch, choć ludzie tu na Podolu żyli w trwodze beznadziejnej, bo były im »łzy za chleb we dnie i w nocy«. Kapuścińce cudnie w jarze podolskim rozłożone w okół, rozsiadły się przewdzięcznie ze sadami kwitnącymi, otoczyły jakby wieńcem dwór niby pałac wielki i park okazały o drzewach sędziwych, całe gospodarstwo topolami wysokimi w linje rządowe ujęte, z gromadą lip, strzegących dziedziniec pański. Tu dziadek nasz Karol Zubrzycki, urodzony w Chocimirzu, niedaleko Hostowa,

syn Tadeusza i Marcjanny z Wiśniewskich, osiadł po przejściach tak bardzo burzliwych, które poprzedzały rok 1831 i jakie po nim snatąpiły. Uczniem jeszcze będąc w szkołach Stanisławowa udał się z towarzyszem swoim Józefem Baranieckim »za kordoh« zapewne w celach powstańczych i tam, na Podolu rosyjskiem i na Ukrainie, działając w duchu narodowym, wpadł w ręce Moskali. Sledzieli w więzieniu najpierw w Kijowie, potem w Kamieńcu Podolskim. Około roku 1825 powrócił do Galicji zapomniany całkiem i uważany za nieboszczyka, bo rozeszła się pogłoska, jakoby zginął. Oparł się właśnie o dwór Kapuściński, gdzie siedział na ciobrach ogromnych *Kęplisz* niejaki. Ten zaopiekował się dziadkiem tak serdecznie, że oddał mu gospodarstwo i polubił go nadzwyczajnie. *Kęplisz* ożenił się niebawem z panną Jełowicką, z którą do dworu w Kapuścińcach weszła Franciszka, babka nasza, jako towarzyszka jej młodości. W sposób taki *Kapuścińce* same stały się miejscem ważnem dla linji po kądzieli rodziny naszej i dlatego wypada dokładniej nieco omówić dzieje Karola Zubrzyckiego. Urodził się on w r. 1803 w Chocimirzu, miasteczku koło Tłomacza, niedaleko Stanisławowa. Ojcem jego był Tadeusz siedzący w Hostowie (Gościowie) na ojcowiznie, matką Marcjanna z Wiśniewskich, żona druga po śmierci Rozalji, małżonki jego pierwszej. W papierach brzmi: »Nobilis Thadaeus Zubrzycki, Rozalja uxor primo voto, Marianna uxor secundo voto. Nobilis Carolus filius Thadaei«. Tę to Tadeusza w r. 1781 ojciec jego Paweł Zubrzycki wysłał do Tarnawki w województwie Lubelskiem. Papier ten ciekawy brzmi:

»Ja niży na podpisie wyrażony Daję ten Dokument Synowi memu *Tadeuszowi*, Któren jedzie do wsi Tarnawki, Która jest w Województwie Lubelskiem Do krewnych, gdzie ma się dowiedzieć o fortunie naszej, w Jakim Porcie zostaje y kto się nią opiekuje, która to fortuna Trojaka jest: po Ojcu jedna Zubrzyckim a druga, Po Matce Tuligłówszczyzna a trzecia Kобрzyńszczyzna. Do której wszyscy Sukcesorowie. Zubrzyccy należą y za metrykami, które się mają znajdować w Targowisku ojców, Dziadów y Pradziadów naszych. Któremu Dla lepszey wiary Imiona Rodziców i krewny Piszę. Ojcu memu imię było Jan, matce imię było Marjanna z domu Tuligłowska, których było sióstr trzy. Jedna była matka moja, Druga była za Niewierskim, trzecia była za Aleksandrem Bolesztto. Nas było u naszych rodziców troje. Bratu starszemu imię było Błażej, mnie imię Paweł, Siostrze imię było Anna. Stryjowi memu imię było Józef, miał za sobą Katarzynę (nieczytelne). Że więc wyż wspomniony Fortunę Pozwalam Synowi memu w Pewne ręce Puścić y na to Się moją własną Ręką Podpisuję.

Datt w Hostowie. D. 1. listopada Roku 1781. Paweł Zubrzycki«.

Okazuje się z tego papieru bardzo ważnego, że ród nasz pochodzić może właściwie aż z Lubelskiego, mianowicie z *Tarnawki* i z *Tuligłówszczyzny*, która wiąże się z Kобрzyńszczyzną (Kobrzyniem) i Targowiskiem.

Dziadek Karol poznawszy w *Kapuścińcach* na dworze Kępcicza Franciszkę ze Żmudzińskich (córkę Alexandra i Brygidy) — pobrał ją za żonę a to w r. 1828, mając lat 25. Dnia 23 Marca 1829 przysła na świat w Kapuścińcach Wiktorja Giertruda, matka nasza, ochrzczona 24 kwietnia

1830 r. przy udziale ojca chrzestnego Wenantego Jełowickiego i matki chrzestnej Marii Jastrzębskiej (Nobilis). Wedle opowiadań i ślub Karola z Franciszką i chrzest ten miały się odbyć w kaplicy na smętarni w *Tłustém*, bo prawdopodobnie tam kościoła parafjalnego wtedy jeszcze nie było. Ten Kęplisz ożenił się w wieku późnym z panną Jełowicką. Wedle zwyczajów starych wychowanie narodowe polegało na *szkole życiowej* wprost, aby młodzież brała nauki bezpośrednio z towarzystwa i społeczności, zaprawiając się od dzieciństwa do usług wzajemnych. Tak Franciszka Żmudzińska znalazła się jako towarzysza córki Jełowickich i zamieszkała we dworze, jakby w pałacu Kapuścińskim. Ile wychowanie takie pokoleń w stosunkach ludzkich, codziennych i wśród uroczystości domowych, kościelnych, rodowych i narodowych, przynosiło korzyści, łatwo pojąć, gdy weźmie się na uwagę bujność całego życia naszego, pełnego serdeczności i dobroci, gościnności i zacności. O! była to szkoła nieporównanie lepsza od szkoły czysto książkowej, jaka dzisiaj idzie za porządkiem cudzoziemskim. Młodzieniec i dziewczica na dworze szlachty zamożnej nabierali ogłędę i nią przesiąkali na wskrós tak, że wytworność życia z warstw wyższych splaywała koniecznie na warstwy niższe. Dwór w Kapuścińcach właśnie dlatego, że stał na uboczu dalekiem, przechował w obyczajach i zwyczajach ogromnie wiele siły starodawności i z powodu tego oddziałał nadzwyczajnie korzystnie na młodego Karola Zubrzyckiego i młodą Franciszkę Żmudzińską. Pobrawszy się stworzyli nowe ognisko rodzinne, jaśniejące wzorem cnót domowych i miłości najślachtetniejszej. Stąd matka nasza Wiktorja Giertruda wyniosła skarby nieocenione w duszy i w sercu.

Od lat najmłodszych wsluchiwała się w pieśni tajemnicze lipy, która koroną swoją ogromną jakby osłaniała dworek z ganeczkiem, obok dworu Kapuścińskiego. A sławne były topole rzędami się ciągnące po drogach ku Kapuścińcom i topole okalające dziedziniec olbrzymi. W szumie liści i gałęzi tych topoli niebotycznych grały jakieś czasy bajeczne, raz okraszone świetnością uroczystości, drugi raz zaprawione nieszczęściami najokropniejszymi w obec napadów tatarskich. Te rozgwary konarów odwiecznych po lipach i te opowieści topoli pięknie utrzymanych uczyły ludzi daleko więcej, jak książki dzisiejsze złém nasyczone. Ginę raz po raz lipy staropolskie i znikają doszczętnie okazałe aleje topolowe, niegdyś należące do znamion dworu polskiego, a tak zmienia się krajobraz nasz rodzimy nie do poznania. Już dziś prawie nigdzie topól naszych nie widać! Kiedy zbliżając się w Karyntji do Ossjaku, gdzie życie zakończył król Bolesław II. Szczodry albo Śmiały, zdała w oczy nasze uderzą szeregi *topól* strzelistych, wtedy porusza nami ból ogromny na wspomnienie, iż one tam w oddali, po nad wodami jeziora, mówią głośno wołaniem z naszych stron ojczystych!... Te topole, dookoła kościoła niegdyś klasztornego, gdzie w pokucie tak wzniosłej opłakiwał życie swoje król-wygnaniec, jakżeż one rzewnie naprowadzają ku pamięci strony polskie, do niedawna pełne takich drzew, jak obeliski żywe w niebo patrzące.

Topole kochane, strzeliste, jak iglice lub słupy żywe były do połowy wieku XIX na Wawelu u stóp zamku były koło rądla bramy Florjańskiej.

Jakżeż to szkoda wielka, że tak się już zatracił krajobraz polski!...

.

Wiktorja od dzieciństwa swojego napawała piersi swoje rzewnością, która przenikała ślachtetnością całe jój życie późniejsze, bo... w Polsce cierpienia są nieodzowne wśród obowiązków narodowych. — Ale hymny, z korony lipy spływające ku padołowi płaczu i pieśni, z wyżyn rzędów topolowych głoszące uzacnienia w imię Boga Wysokiego, to były nauki najlepsze w domu dziadka Karola!...

Opowieści takie działały na wyobraźnię, jak pas lity Polaka, wedle Słowackiego. Blaski naprawdę *tęczowe* okazywały świat drugi nad ziemią, do którego przodkowie nasi stale dążyli. Dziś tego świata drugiego nikt w Polsce już nie widzi. Przekształca się też życie nasze doszczętnie, a narodowość przepada!...

Po latach kilku rodzice Wiktorji przeprowadzili się do *Czarnokoniec*, majątności marszałka Szumlańskiego. Mieszkali tam we dworze murowanym, ogromnym, który otoczony był ogrodem cienistym a przepięknym, zawsze stanowiącym ozdobę każdego majątku polskiego. I tu w ciągu dalszym lipy omszałe i tu także topole jak drogowskazy, palcami niebo pokazujące. Najpiękniejszą atoli ozdobą w Czarnokońcach to był staw duży, w którym przeglądały się drzewa starożytne, a po którym majestatycznie pływały łabędzie białe. Píše matka w pamiętniku swoim: »lubiłam się przypatrywać im z okien dużych, w których dniami całymi przesiadywałam. Z okien tych widziałam granicę rosyjską, którą stanowiła rzeka *Zbrucz*. Przez tę granicę przechodziło mnóstwo biednych żołnierzy polskich rozsypanych po wypadkach nieszczęsnych w 31. roku. W domu rodziców moich znajdowali przytułek i przyjęcie gościnne«.

Gdy babka Brygida, jak już wspominaliśmy, była z domu *Dąbrowska*, łatwo zrozumieć, jakimi to uczuciami i pojęciami przesiąknięty był cały dom Karola Zubrzyckiego, w którym pewnie mazurek legionów bardziej był umiłowany, jak gdzieindziej.

Wedle zapisków matki naszej Wiktorji, babka Brygida Dąbrowska urodziła się w Wasilkowcach na Podolu. Była to wieś stanowiąca majątek Dąbrowskich. Przechowały się w pamięci rodziny naszej koleje smętne tych Dąbrowskich z Wasilkowic. On, wmięszany w działania powstańcze, był srodze prześladowany a nawet więziony ostro. Gospodarstwo upadało, bo i koszta i ofjary były na porządku dziennym. Prababka sama musiała często z domu wyjeżdżać dla ratowania męża prześladowanego za kroki narodowe a podróże w czasach owych, bez kolei jeszcze, pochłaniały czasu ogromnie wiele. Gdy razu pewnego nie mogła nic pomódz drogą otwartą, za poradą pewnej damy wysokiej zdobyła się na to, aby kosztowne bardzo podarki wręczyć jakiejś tam jenerałowej a żonie urzędnika austryjackiego. Były to zegareczki szczerozłote z rubinami, wielce cenne, stanowiące niezawodnie nasze pamiątki rodzinne. Poszły i one w łapy wrogów naszych, aby nas pozbawiać wszystkiego, a wzmacniać nieprzyjaciół. Starania celem wyswobodzenia Dąbrowskiego szły bardzo powoli i trwały niezmiernie długo. Majątek Wasilkowce chylił się do upadku, aż przepadł. Już za pamięci matki naszej Wiktorji dobra ścigane podatkami i nakazami musiały przejść w ręce obce.

Ta więc Dąbrowska była matką Brygidy, która wyszła za Aleksandra Żmudzińskiego, pochodzącego z Krakowskiego. Córką ich była Franciszka urodzona około r. 1812 w Sło-

bódce, wsi w obwodzie Czortkowskim, którą dzierżawili z początkiem wieku XIX. Ojciec ten Aleksander Żmudziński, jak już wspominaliśmy, zginął w zawieruchach wojennych, bez śladu! Boleść to krwawa!

W takich to czasach, aczkolwiek wielce nieszczęśliwych, przecie bogatych w prace silnie narodowe, wychowywała się nad Zbruczem matka nasza Wiktorja Giertruda. Czarnokońce Małe i Czarnokońce Wielkie, koło Husiatyna, 1½ mili od tego miasta, w nazwach samych przechowały znamię polskości, bowiem zestawienie dwóch wartości, jednej małej, drugiej wielkiej, to pozostałość z czasów dawno Sarmackich. A trzeba wiedzieć, że Czarnokońce musiały powstać pod wezwaniem Czarnoboga. W czasach pogańskich musiało tu być rozwinięte życie wiedzy i sztuki, jakie my dziś kulturą zowiemy, wszak pełno tu zabytków przypominających aż sztukę Miceńską. Czarnokońce Wielkie słyną prócz tego rozległością swoją, bo zauważmy tutaj, że jest to jedna z największych wsi na Podolu, biegnąca we *dwa końce* założenia t. zw. »*wzdłużnicy*«, co ciągnęła się pierwotnie wzdłuż drogi jednej. Wiemy dobrze, iż taka budowa wsi jest czysto polska, która była albo wzdłużna, albo okolna. Pierwsza zwała się *wzdłużnicą* o dwóch końcach, druga zwała się *okrąglicą*, którą Niemcy przezwali Rundling. — Otóż te dwa końce wielkie były w czasach Światowida oddane bogowi Czarnemu, stąd nazwa *Czarnokońce*. Chowano tu konie wspaniałe, stąd stadnina *Czarnokoniecka* miała rozgłos niemały. Dziadek nasz, Karol Zubrzycki był miłośnikiem zawołanym koni i był znawcą na tém polu.

Wszystko to atoli łączyło się teraz z dziejami bardzo smutnemi, na które dniem i nocą patrzyła Wiktorja Gier-

truda, jako dziecko. Nietylko o uszy jęj obijały się opowiadania o przejściach wielce nieszczęśliwych pradziadka Dąbrowskiego, ale nadto oczyma żywemi patrzyła na rozbitki przesuwające się przez dwór czyli pałac w Czarnokońcach po roku 1831—32. Miała wtedy 7 lub 8 lat, a zatem urodzona w roku 1829. bawić mogła w Czarnokońcach około r. 1836 lub 1837. Wszystkie te cierpienia pradziadka i prababki Dąbrowskich o tyle żywiej a goręcej dotyczyły Wiktorji-Giertrudy, ile że matka tej ostatniej i Brygida jako jęj babka razem bawiły na dworze hrabiny *Golijewskiej*, która mieszkała w *Mielnicy*, koło Skąły w sąsiedztwie Dąbrowskich. Ta Golijewska głównie pomagała prababce w staraniach o uwolnienie pradziadka Dąbrowskiego.

W środowisku takim, wśród cierpień takich, czy stawały się chlebem powszednim we dnie i w nocy, zwłaszcza, gdy równocześnie z upadaniem narodu szerzyła się za działaniem wrogów ta wzgarda i to urąganie, jakie stały się poniżeniem polskośći. Jeżeli żyło wówczas przekonanie w Polsce, że przechodzi Ojczyzna nasza drogę krzyżową, to istotnie często przypominać się jęj mogły zwroty w psalmach Dawidowych zamieszczone. Żali się psalmista na urągania nieprzyjaciół, na wzgardę upokarzającą, skarży się na deptanie pobożnych i uczciwych przez tych, którzy złość umiłowali i na poniżenie przez tych, którzy brali górę nad prześladowanymi niewinnymi.

Sprawa Polski i powstania jęj rozgrywały się przed młodością matki naszej Wiktorji ze siłą *piękną*, osłonecznionego opowiadaniem wprost ze życia, oraz przepełnionego boleścią szyderstwa wrogiego. Razem składało się to na potęgę bardzo ślachećną, która wywarła wpływ swój prze-

możny na życie całe Wiktorji - Giertrudy, matki naszój. Zamiłowanie do życia pełnego treści oraz do ofiar i wytrwałości, wpośród cierpień potwarzania nieustannego ze strony zaborców, sprawiło, że w piersiach téj Polki przeznacnej znalazły miejsce nasienia najcnotliwsze i najzbawienniejsze.

Do uczuć, z mocą nadzwyczajną rozwiniętych na polu narodowém, przyłączyła się pobożność serdeczna, głęboko w sercu zakorzeniona. Ta ostatnia znalazła źródło w wychowaniu prababki Brygidy w domu hr. *Golijewskich*, pod bokiem siostry hrabiego, która jako świątobliwa była nawet Dominikanką, lecz nie przebywała w klasztorze, ale żyła we dworze w *Mielnicy* wedle reguły zakonnój. Ona to, była nauczycielką babki naszój Franciszki, sierotki biednej, o której wyżej wspominaliśmy. Matka nasza zapamiętała to, iż Dominikanka pozornie umarłszy, zapadła w stan uśpienia czyli letargu i tak leżała 10 dni na katafalku. Przez czas cały czuwano wśród pieśni nad ciałem, aż nareście w nocy obudziła się w przytomności dwóch dworzan. Żyła potem jeszcze czas jakiś, ale wreszcie umarła na prawdę.

Zasady wszczepione oddziaływaniem owéj Dominikanki w sierotę Franciszkę, przeszły w pokolenie i dlatego po matce naszój Wiktorji - Giertrudzie żyją one w rodzinie naszój, jako spuścizna droga, głęboko zakorzeniona w sercach naszych i w sumieniu Rodu całego.

Wedle psalmu dom nasz mógł szczerze powtarzać:

»*Gotowe serce moje*

Gotowe serce moje!«

To co żyło w rodzinie naszój i co wydało owoce, to było kwiatem z nasienia bardzo zacnego!

Były to przecie te same czasy, kiedy wedle podania Żeromskiego ktoś spisał pamiętniczek drogocenny z wojny 1831 roku. W Przedwiośniu czytamy, iż ktoś bezimienny podawał opisy Józefa Dwernickiego, gdy się wyprawiał na Beresteczko i Radziwiłłów. Jaki wtedy żył tam na Podolu nastrój, świadczy ta okoliczność, że zgłaszało się w owym czasie, z tego właśnie zakątka ziemi Tłusteckiej wiele ślachty polskiej do powstania i wedle słów Żeromskiego »poparli je całym majątkiem swoim«. — I ten Kalikst Grzegorz (dwojga imion wedle obyczaju polskiego) Baryka, dziedzic Sołowijówki a dziad Seweryna Baryki, bohater »Przedwiośnia«, był w liczbie Polaków na Rusi, na której w czasie owym nikomu się nie śniło o czemś nie-polskiem. Niestety! generał Dwernicki musiał pod *Lulińcami* przejść granicę na stronę Galicji i powstanie nieudale ściągnęło męczeństwa nowe. Majątki zagrabywano, dwory palono, podejrzanych uwożono i nakładano opłaty karne. I Sołowijówka skonfiskowana i dom rodzinny Baryków spalony — a Kalikst Baryka musiał uchodzić »w ciemną głębinę biedy popowstańkowej«.

Otóż to taka głęбина nędzy z miłości świętej ku Ojczyźnie pochłonęła ojca babki naszej Franciszki, jak to już pisaliśmy. Cały ród Zubrzyckich po kądzieli i po mieczu stracił wiele wśród ruchu owego, za porwaniem ducha osobą generała Dwernickiego.

Nietylko Sołowijówka u Żeromskiego była ośrodkiem życia narodowego, bo całe Podole (to na Rusi) stało się rzeczywiście »mytem rodzinnym, klechdą, podawaną w coraz to innej postaci o czemś dalekiem, sławnem, dostojnem, przegrobnem«. I to nie która inna ustrój, była taką tylko tą

koło Zbrucza, ta koło Jagielnicy, Zaleszczyk, Czortkowa i Tłustego. Do ludzi tych czasów z połowy wieku XIX można żywcem, dziś szczególnie, przystosować słowa Żeromskiego, »że wierzyli w jakąś wyższość swoją, która ich w dumę wzbijała«. (Przedślowie do Przedwiośnia).

Sama postać generała Józefa Dwernickiego przeleciała jak zjawą biało-dobra po nad ziemią podolską i w sercach mieszkańców pozostawiła jakby powiew orzeźwiający. Ci ludzie, którzy przeżyli rok 1846 i 1848 i szli ku przyszłości z nadzieją tém gorętszą im mniej określoną, nieśli w pierśiach żagwie święte Posłannictwa Narodowego.

Nazwiska Dąbrowskiego i Dwernickiego krążyły z ust do ust, częstokroć osłonięte szeptem lęklwym, zawsze wszakże bardzo podniecające.

Z powodów takich ani ojciec Marceli, ani matka Wiktoria nie tylko nie wzdrygali się teraz przed urządzeniem gniazda rodzinnego w mieścinie zakopanój między jarami podolskimi, w Tłustém przy gościńcu Czortkowsko-Zaleszczyckim, lecz przeciwnie z ochotą najmiłszą co rychlej osiedli tam, gdzie w stronach niedalekich żyło tak wiele wspomnień z ich młodości wspólnej. Od Tłustego niedaleko do Torskiego, niedaleko do Czerwonogrodu malowniczo wdzięcznego, niedaleko do Jazłowca, a nawet nie bardzo daleko do Hostowa, gniazda Zubrzyckich, (koło Otynji w Stanisławowskiém).

Uniosła się niebawem w duchu tęcza siedmiobarwna po nad mieściną Tłustego, dla nas szczególnie, którzy wyszliśmy z domku rodzinnego, małego, jednak nader ożywionego.

Za przewodem Dąbrowskiego i Dwernickiego życie tamtejsze obrało sobie kierunek po gościńcu czterech cnót zasadniczych: *Prawdy i Dobra — Piękna i Miłości!*

sw. Ci, którzy dotychczas wszystko stracili, jakby za różdżką czarodziejską wszystko znowu w duszy odzyskali i ponieśli naprzód ku przyszłości, wedle obowiązku po bożemu przyrodzonego. Nic nie zmarniało mimo nieszczęść rozmaitych i niedostatku, niekiedy ogromnie doskwierającego. Wszystko kwitło szczęśliwie!

Bodźcem najgłówniejszym to modlitwa na wierze niewzruszonej oparta. Jój to zawdzięcza rodzina nasza ocalenie nazwiska, herbu, godności i sławy. Nić złota dumy ślacheckiej i ślachtetnej prostowała kroki rodu całego, że nie tylko on nieupadł, ale podniósł się raczej *mocą ducha*! Głos *wyższości* podtrzymywał pokolenia!... Wytrwały one zawsze.

I Bogu wszyscy my, z gniazda *Żąbrzycy* wypielegnowani, dziękować chcemy nieskończenie, że nie zatraciliśmy jeszcze klejnotów wszystkich z przeszłości, ażeby się upodobnić najściślej do postępu nowoczesnego. Nie! rozumieć pragniemy jak wiele siły narodowej zasadza się na wytrwałości rodów poszczególnych. Bogu chwała, że ród Żąbrzyckich, Zubrzyckich, nie zaniedbał dotychczas niczego, aby wiecznie stać pod sztandarem dziejowym i nie dać się sprowadzić na manowce.

Z tego to zakątka, z téj ziemi łez i mogił, wyszedł Cezary Baryka, bohater Przedwiośnia... lecz jakże odmienną poszedł on ścieżką za ręką tych przywódców, którzy się szczycili tém, iż byli strasznie w Marksie czytani. Poniżenie idei narodowości uczyniło Polskę »zburzyszczem«!... (str. 338 i 340).

Są osobniki, którym niestety za ideał starczy nadzieja *zgonu Polski*! (str. 334. wyd. szóste).

Utarło się przekonanie wśród nas samych i obcych także, jakoby stan ślachecki był zgubnym, próżniaczym, marnotrawnym i przeżytym. Kto tylko same strony czarne ogląda, ten nic jasnego nie dojrzy. Kto jednakowoż może nabrać otuchy przez wiarę w *wyższość* życiową, ten nie potępi nigdy całego stanu ślacheckiego.

Ślachta polska położyła zasługi o wiele większe jak szkody!... Niedostateczność sił ludzkich zawsze błędy wprowadza. Nie wedle błędów miara, ale wedle prawdy i dobra, piękna i miłości.



II.

LEPIANKA — GNIAZDÉM DOMOWÉM

„Harfa z łona łabędziowego...

Struny ma złote z promieni tęczowych“...

(*Słowacki: Lilla Weneda*).



...nie, wszystko borywa tego mieszczucha w wieszakach, gdzie
...jedno tylko, że waci wnet pamięć i przytomność
...nie wie, jak ludziska, co czyni!
...to jest właśnie najokropniejsze, iż pamięć na te
...wielkie zanika w popłochu i przytomność nie ma zgoła miej-
...tam, gdzie ciś i tłum unosi jednostkę, jak li-
...pamięć bowiem pokazuje na jawie i przytomność a przy-

Zbiorowiska wielkie, jakie zwiemy miastami, dla
Polski szczególnie są niebezpiecznemi. Kryje się
w nich pod pokrywką *wielkości* i *złoty* moc
złego, która przez ręce żywiołów obcych, a za-
wsze wrogich, idzie na zniszczenie narodowości staro-lęchi-
ckiej. Szał postępu z pragnieniem odmiany i nowości spra-
wia to, że gonitwa bez wytchnienia zatraciła zgoła pojęcie,
co to jest właściwie *cisza* błoga i jakim to lekarstwem
najzbawienniejszém *pokój* kojący. Ani dnia ani nocy dla
ciszy i dla pokoju po miastach... To też ludzie przyzwy-
czają się z konieczności do warunków, jakie w środowi-
sku wrzawy a zgiełku prowadzić muszą do zepsucia, do
nędzy.

Pozornie zdaje się wszystkim, jakoby, stolice, dziś
szczególnie nowoczesne, były obrazem uszczęśliwienia lu-
dzkości — tymczasem olbrzymy owe z drapaczami chmur
osłaniają tylko czczość i nudę i mnożą niedostatki dla głó-
du tak cielesnego, jak i duchowego. Całym zadowoleniem jedyném, na które zdobyć się może
osobnik wielkomiejski, to osiągnięcie grosza, ponieważ
ułatwić on może używanie wszystkiego, o czém tylko człek
pomyśli. Dniem ogłoszenia, przepełnione nazwami
angielskimi, a nocą błyskotki elektryczne obliczone na ma-

mienie, wszystko porywa tego mieszcucha w wir szalony, gdzie pewne jedno tylko, że straci wnet pamięć i przytomność.

I nie wiedzą już ludziska, co czynią!...

I to jest właśnie najokropniejsze, iż *pamięć* na rzeczy wielkie zanika w popłochu a *przytomność* niema zgoła miejsca tam, gdzie ścisk i tłum unosi jednostkę, jak listek porzucony. *Pamięć* bowiem pokrzepia najzdrowiej a *przytomność* najsilniej trzyma człowieka wtedy, właśnie, kiedy otoczy go cisza słodka i spokój użyczy mocy skupienia wewnętrznego. Lecz o zgrozo! miasta nie znają wcale ani ciszy, ani spokoju!... Niema też rozmyślania i niema zastanowienia. Wszystko ginie, upada. Życie się rozprzega a zdrowie tylko truciznami chce się pokrzepiać.

O ciszo święta!... O pokoju zbawienny!

Jakżeż to miło zwrócić się wspomnieniami ku przeszłości niedalekiej, kiedy można było jeszcze znaleźć kącik mały na ziemi polskiej, gdzie głosy jakieś dzwonić w duszach rozpoczęły pod działaniem milczenia. Umysł jakby się roztwierał ku przestworzom nieba a serce przyjmowało dźwięki harf złotostrunnych. Wietrzyk lekki przyniósł odgłosy kłopotu młyna niedalekiego a z kąta domostwa odezwał się świerszcz, znamionujący świętość ogniska domowego.

Taki młyn starodawny, drewniany, stał tuż za groblą stawu czystego na Podolu, w miasteczku nazwaném: *Tłuste*. Taki świerszcz ukryty, a wiecznie czujny, wołał ku pamięci i przytomności w domu naszym rodzinnym, co był lepianką podolską, drzemiącą po nad wodami stawu. Ten staw należał do tak zwanych *opoli stawowych*, które ciągnęły się jarami podolskimi za rzeczkami. Każda rzeczulka tworzyła

mnogo stawów, przy których młyn za młynem, jeden głośniej baje opowiadający, jak drugi. To były *opola* stawowe. Tylko się wsłuchać w pieśni o młynareczce cudnej jak królewna!

My z dzieciństwa zawsze potem w życiu mieliśmy uszy pełne klekotu młyńskiego, jednostajnego a błogiego, gdyż zasypialiśmy na poduszce przy gwarze jego i z braskiem dnia oczy otwieraliśmy na tle gędzby jego głuchej. My często potem wracaliśmy myślami do owych chwil wypoczynku wieczornego, kiedy dzwoniły śpiewy świerszczów z kątów domowych, zacisznych a spokojnych. To klekocenie kół młyńskich raz słabsze, a drugi raz mocniejsze za wiatrem bliższym, to dzwonienie srebrne świerszczów z lepianki naszej rodzinnej, bądź powolne, bądź prędkie — żyją one w przytomności naszej i zasilają pamięć domową. Zrosły się bowiem z nami od dni najpierwszych i służyły nam za ośnowę, po której rozwijały się obrazy pełne kwiecia barwnego i życia boskiego. W ciży słodkiej w ich towarzystwie ileż to rozmyślań przepłynęło dla pokrzepienia serca! W spokoju długo trwającym pod ich działaniem jakżeż to zbawiennie sumienie ożywiało się skupieniem i natchnieniem! Radości nasze największe czerpały mocy z czarów tajemnych tego uciszenia i tego uspokojenia codziennego.

Tu w tym domku znalazło miejsce prawdziwe gniazdo polskie nie pod działaniem krzyku wielkomiejskiego, ale za łaską boską ducha narodowego, w ukryciu i w zamknięciu.

Ojciec i matka znaleźli miejsce dla pracy pełnej zaparcia wśród umiłowania Ojczyzny. Mniej było słów i opowiadań wówczas, za to więcej widać było wszędzie,

u wszystkich zapala do czynu otwartego, Życie całe sta-
 wało się czynem dla Polski kochanej!...
 — — — — —
 Był dworek tuż koło dworu wielkiego, pewnie dobrze
 obwarowanego przeciw napadom dawnym. Przerobiono ten
 pierwszy na szkołę ludową, która składała się ze sali po
 ręce lewej od sieni. Po ręce prawej była świetlica rodziców
 ze sosrębem w połowie nad głowami, dalej pokój sypialny
 razem z jadalnym, kuchnia i pokój trzeci mały, gdzie
 stało łóżko ojca. Mieszkanie małe, ciasne ścianami, lecz
 przestronne duchem i sercem. Obok domu stajnia ze sto-
 dółką, dziedziniec duży i ogród nieco większy ze ziemią
 bardzo urodzajną.
 Brama od dziedzińca i wrotka (czyli furtka) wychodziły
 na plac, który oddzielał szkołę od kościoła. Opodal stała
bramka murowana, mieszcząca w sobie bramę wjazdną do
 dworu, do *dworzyszczka*. Stanowiła ona obronność, potrzebną
 na Podolu w czasach odwiecznych, kiedy tłuszcz tatarska
 i turecka raz w raz zapędzała się tutaj dla rabowania ludzi
 i bogactw. Był to okaz architektoniczny bardzo ciekawy
 i szkoda wielka, że uległ przeróbkom na ochronkę dla
 Zakonnicy. Była to wieża czworoboczna, górą miała ona
 otokę czyli atykę, dla osłonięcia dachu pogrążonego. Na
 piętrze ciągnęły się dookoła ganki na słupach podcienio-
 wych. Tu straż pełniła służbę swoją i tu muzyka witała
 gości przybywających do dworu lub żegnała odjeżdżają-
 cych, bo życie po dworach podolskich było silnie przyja-
 cielskie. (Pol. Budown. Drewn. rys. 190 str. 121. i rys. 197
 str. 128.)

W zwierciadle stawu spokojnego odbijały się domki białutkie z brzegu przeciwnego, gdzie pod wzgórzem niedalekiem świeciło się probostwo z gankiem, cztero-słupowym, po za spustem dużym na grobli od młyna.

Życie w dworku »szkołą« zwanym zadzierzgnęło się w r. 1854. w warunkach bardzo a bardzo trudnych, albowiem naród ujarzmiony musiał się obracać wśród sieci urzędowania srodze austriackiego. Wydawało się chwilami, iż niemczenie pochłonie duszę polską żywce. W szkołach język niemiecki, po urzędach język niemiecki, w sądach język niemiecki i w wojskowości język niemiecki. Ojciec Marceli był zamianowany na razie nauczycielem tymczasowym, trywjalnym a choć starał się zaraz o przystąpienie do egzaminu przepisanego, jednak z Czerwonogrodu otrzymał pismo z dnia 28. sierpnia 1854, od dozoru okręgu Jazłowieckiego, że w myśl przepisów obowiązujących nie wolno ubiegać się o pozwolenie w tym kierunku prędzej, aż po upływie służby jednorocznej.

Dopiero w roku 1855 doręczono ojcu świadectwo uzdolnienia na nauczyciela (das Lehrfähigkeits=Zeugnis) z dozoru Jazłowieckiego, znowu przez Czerwonogród. Papiery te są w rękach rodziny.

Na zasadzie rozporządzenia Konsystorjalnego udzielono ojcu pozwolenie w r. 1859. na złożenie następnych egzaminów dla szkół głównych (für Hauptschulen). w dalszym ciągu przez Czerwonogród z dozoru Jazłowieckiego. Dopiero w r. 1863 przyszło mianowanie na stałe.

Dla przyszłości nieobojętne będzie podanie pisma doślowne:

»N. 12777. Die Statthalterei findet Sie über den Antrag des Hochwürdigen Lemberger lat. Metropolitan Konsistoriums definitiv im Lehramte zu bestätigen.

Wovon Sie hiemit in Kenntniss gesetzt werden.

Lemberg am 24. März 1863«. (Podpis).

Właściwe mianowanie na nauczyciela rzeczywistego (zum wirklichen Lehrer an der Trivialschule in Tluste) ze strony Ekscelencji Arcybiskupa Lwowskiego nastąpiło jeszcze 3. września 1856 do l. 622.

Gdy mianowanie najpierwsze ze strony Konsystorza Metropolitalnego, podpisane przez arcybiskupa Łukasza wydane było 12. kwietnia 1854 r. do l. 152, także w języku niemieckim, okazuje się, ile to czasu upłynęło na posuwanie ojca ze stopnia na stopień, aby ustalenie nastąpiło po 9. latach!

Papiery wszystkie stale w języku niemieckim!... Widać, jak rząd zaborczy pewnym był opanowania kraju siecią urzędniczą i przerobienia ludzi na Niemców, Austriaków.

Byli jednak w czasach owych ludzie inni jak dzisiejsi — ponieważ w piersiach ich bezwiednie żyła siła samoobrony takiej, jakiej my dzisiaj właściwie całkiem nie znamy. Jeżeli się tak znacznie zmieniło w Polsce w czasach niedawnych i tak pogorszyło we wszystkich dziedzinach życia narodowego, to tylko dlatego, że skutkiem *wychowania* najzupełniej nieprzystosowanego do potrzeb naszych i na podstawie *wykształcenia* po szkołach zgoła nie swojskich, lecz obcych, wszyscyśmy już zatracili *pamięć* na duszę ojczystą, kochaną a rzuciliśmy się na rolę »światowców« tudzież »postępowców«.

ow! Bóg niech uchowa! co za nieszczęścia już spłynęły na kraj nasz drogi i ile jeszcze dalej musi przyjść klęsk na istnienie nasze dlatego jedynie, iż z pochopnością dziwną, a nieznaną gdzie indziej, targamy wszelkie węzły domowe.

To też skromny nasz domek rodzinny w Tłustem, ta lepianka podolska, przytulna a zaciszna, jakżeż ona odegrała rolę ważną w życiu rodziny naszej głównie z téj przyczyny, ponieważ zagnieździła się w nim potęga bezwiedna *samoobrony* szczerze polskiej i *samodzielności* czysto rodzimiej.

Polska wówczas nic a nic już nie posiadała, znikła z kuli ziemskiej, z dziejów powszechnych świata wyrzucono ją z bezwzględnością iście europejską i pokryto kir żałobny oszczerstwami nieprzeliczonemi — a jednak w czterech kątach uświęconych domu polskiego kwitło promienienie słoneczne, zasilone mocą niewidomą Posłannictwa Narodowego!... Ród nasz cały popadł w biędę po prawdzie, albowiem dobra i majątki wszystkie przepadły w czasach prześladowań i poszły na ofjary ruchów najcudniejszych, którym miano: »*Powstania*« i zdawaćby się mogło, jakoby istotnie wszystko się już skończyło. Tymczasem w pokojach ubogich obok najpierwszej szkoły ludowej tam na Podolu, w Tłustém, nad rzeczułką Dębną,^{*)} duch orli zaświecił gniazdko malutkie, przeznaczone z góry na obronę powołania szczytnego przeciw burzom świata i zakusom nielitościwym wrogów naszych.

^{*)} Smutne to bardzo, że przewodnik Orłowicza po Galicji na str. 152 rozpowszechnił i ustalił pisownię wedle zepsucia wrogów naszych. Jar *Dębny* i wieś *Dębliska*! oto pisownia nasza polska!

Dziś zwłaszcza, patrząc z poziomu wyobrażeń nowo-
czesnych, na te stosunki i warunki życia rodzinnego w Tłu-
stém, si nie możemy się dziwować, że ojciec i matka
przygotowali tam dzieci swoje do życia całkowicie od-
miennego.

Ignacy Maciejowski (Sewer) podniósł w powieści
»Matka« znaczenie téj kapłanki ogniska polskiego, która
rzeczywiście prowadzi pokolenia ku gwiazdom Przezna-
czenia Wzniosłego. — Nie tylko wszakże były ongi Matki
błogosławione — bo prócz nich byli i Ojcowie uzbrojeni
w łaski wielkie dla kroczenia ścieżynami ukrytými ku wy-
żynom wzniosłości duchowych. W lepiance, po nad wodami
czystými stawu w Tłustem, *ojciec i matka* razem strzegli
znicza świętego, rodzinnego, aby uzbrojeni cnotami wró-
dzone i pobudzeni wiarą żarliwą w posłuszeństwo na-
kazom Ojczyzny przeszczepili z piersi własnych wszystko
co najgodniejszego i najślachtetniejszego w gromadkę dzieci
swoich. A kwitło to wszystko mocą *samoobrony!*...
Choć były już szkoły w języku niemieckim i sieć
urzędnicza chciała koliskami pajęczyny oplątać polskość
domoroślą, aby ustąpiła miejsca cywilizacji europejskiej,
mimo to w narodzie całym, a przede wszystkim po domach
i dworach ślacheckich, bezwiednie oporem nie do przela-
mania stała ta *samoobrona*, na podłożu serdecznego *samo-
poczucia* narodowego, która niebawem wydała czwarte *po-
wstanie* tak zwane *styczniowe*. Niema klęski większej dla narodu polskiego nad od-
rzucenie téj karty dziejowej, aby potomność nakryła wszyst-
ko zapomnieniem i co gorsza bezcześciła wszystko oszczer-

stwami i spotwarzeniami! Stąd to pochodzi, że czasy nowe, pełne kultury zachodniej, u nas w Polsce, na tle upadków i kłamstw najliczniejszych, wytworzyły ugór jałowy a kamienisty, pozbawiony najmniejszego źródła ożywczego.

Rozpatrywanie czasów dawniejszych, nawet porozbiorowych a powstańczych, tych właśnie, które dotyczą opisów niniejszych, ma tę korzyść najdonioślejszą, iż uczymy się przykładnie, jak to ojcowie nasi pełni byli jeszcze zdrowia wszelakiego. Mimo nieszczęść ogromnych a nieprzeliczonych, wesołość towarzyszyła ludziom Polski dawniej, ponieważ miała ona swoje źródło niewyczerpane w zdrowiu czerstwem a silnem, przyrodzonem i prostotą zasilanem. Umie li starzy dowcipkować z godnością, bez wybryków nieobyczajnych, nie tak jak to dziś się pleni, że co żart gruby to obelżywość, drażniąca skromność i wstydlivość.

Miał ojciec nasz przyjaciela z lat dziecinnych, niejakię *Zarębę*, którego nazwisko często obijało się o uszy nasze w opowiadaniach wieczornych. Nie spisałby nikt tych drobnych żartów, którymi przyjaźń dawna pragnęła dać się we znaki pod pozorem przypadkowości. Jeden wypadek dla przykładu tu zapisujemy.

W Ojczyźnie naszej na porządku dziennym były *jarmarki*, w okolicy każdej głośnie i ruchliwe, najczęściej skojarzone z odpustami niesłychanie uroczystymi. Każde miasteczko a nawet wieś każda większa miała od wieków ustalone swoje dni własne, których sława ściągała ludziska z bliska i z dala. Wmówiono w nas — a czegożby nie wmówiono w Polaka? — że jarmarki owe pochodzą od Niemców, są wynikiem oddziaływania ich w kraju naszym, świadczą o korzyściach przez stosunki z Teutonami i ucho-

dążą za objaw kultury zachodniej. Wszystko to nieprawda. Znamy opisy najdawniejsze, odnoszące się do czci *Jaromira*, czyli *Jaromirzca*, dla którego urządzano pochody z chorągwiami w czasach, kiedy Niemcy jeszcze nie docierali ziem naszych. Były to uroczystości poświęcone bogu Jarowi, któremu mir czyli mirzec składano. Z tego Jaromirzca łatwo wrogowie nasi mogli uczynić »*Jahrmarkt*«, z czego my niby zrobili targ roczny. Były to czasy takie, kiedy Niemiec-Austryjak beczelnie pluł nam w oczy, a Polak korzyć się musiał, bo tak zmuszano. Rodzina *Polów* przybrała nazwę *Pohl* i już okrzyczano, że wierszopis *Pol* pochodził z rodu niemieckiego. *Kołomirzec* przemieniono na *Kohlmarkt*, aby wykazać, jak my Polacy wszystko brali gotowe od sąsiadów, nawet te targi węglowe. Węgiel przeobrażono na *Weigel*, potem *Feigel* i już Niemiec skończony a wyfraczony. Nazwę tak piękną jak *Górowiec*, przywołującą na pamięć wiec narodowy na górze lub górny w znaczeniu podniosłości, urzędnik austrijacki przemienił na *Horowitz*, aby przezwąć tak rody żydowskie. *Koń* lub *Koń*, wedle pisowni rdzennie naszej, przeinaczony na *Kohn* lub *Kuhn* stał się znowu dowodem, jak to Polska powstała z ducha teutońskiego. (!?)

A zatem *Jaromirzc*, przeinaczony na jarmark niby z niemieckiego, pochodzić musiał z czasów bardzo głębokich, kiedy wierzenia Światowida czciły *mirzec*, mir, jako pokój, sławę. Już w okresie dawno pogańskim były obchody w koło i na krzyż, na cześć słońca, stąd *kołomirj*. Już były święta na cześć Jarowita, Gerowita, Górowieca, Horowita.

Jarmark to przemiana ze słowa *Jarzmirzc* dlatego, aby zatrzeć ślady pogaństwa, a łatwowierność nasza pozwoliła

na to, byśmy uczynili drogą tą Niemców znówu dobroczyńcami naszymi. Jarmarki nasze, czyste polskie, rodzime, od wieków odpowiadające duchowi w ogóle sławjańskiemu dla skupienia się i bratania jak najczęstszego, te jarmarki były duszą życia społecznego i towarzyskiego w Polsce. Zjeżdżała się z okolicy bliższej i dalszej cała szlachta wielka oraz szlachta mała, zaściankowa, szaraczkowa — zjeżdżał się lud bogaty w strojach przepysznych a kraśnych, tak zawsze pięknych, że aż oczy olśniewały!... Z miast i miasteczek ściągali się tłumy mieszczaństwa a często wśród zgiewu spotkać było można obcokrajowców z wschodu nawet odległego, w szatach dziwnie odbijających!... My z dzieciństwa naszego pamiętamy takie jaromirzce czyli w języku pokaleczoném jarmarki *podolskie*, świetne a gwarne, wielkie i sławne. Często głosy dzwonów kościelnych, brzące dzień cały na znak odpustu, napełniały tak uszy, że wracało się późno wieczór do domu z dźwiękami w powietrzu. Na taki to jarmark wybrał się ojciec nasz z przyjacielem Zarębą. Ile to krewnych bliższych i dalszych, ile to przyjaciół znajomych i życzliwych cieszyło się na ów zjazd podniosły, stwarzający obraz przepychu prawdziwie sarmackiego. A wiedzieć w dodatku trzeba jeszcze i to, że miasteczka *podolskie* wszystkie były w połowie wieku XIX-go jeszcze w budownictwie zewnętrzném całkowicie *polskie*, nie takie jak dziś wstrętne, żydowskie, brudne i obrzydliwe nudotą jałową. Domostwa wszystkie wykonane z drzewa, w ciosie bardzo ozdobnej i okazałej, jakże się wdzięczyły mnogością szczytów i przyszczyków słupów i podcieni najroz-

maitszych. Żywiół napływowy, wrogi, zajął żywcem te siedliska małomiasteczkowe po wypędzeniu nędzą z ich wnętrza właścicieli tubylczych. Rządy austriackie i ten środek uważały za wskazany na wytepienie polskości! Żydowstwo popierane na kroku każdym i otaczane życzliwością ze strony urzędników niemieckich, rozsiadło się szeroko po miasteczkach, aby po pożarach i zniszczeniach starością wznosić budy najszkaradniejsze, uchodzące dzisiaj za znamię miast polskich.

W czasach owych, jakie opisujemy, po miasteczkach podolskich ciągnęły się rzędami długimi domy z przyłapami i z przyźbami, z podcieniami płytkimi i głębokimi, gdzie kupcy wystawiali towary swoje po stołach i ławach. W dniu jarmarku (jaromirzcu) nie można było chodzić podcieniami, jak w dniu powszednie, bo podcienia wszystkie przemieniały się na sklepy pełne barwności tęczowej, która aż źrenice rozkoszowała. Do tego był to razu pewnego dzień po burzy wczorajszej, która pozostawiła wiele błota i to jak na Podolu rozmięklego, że po miasteczku chodzić można było tylko wąskimi ścieżkami wydeptanymi. Tak szli do rynku: ojciec nasz Marceli i Zaręba. Zaczęli żywo rozprawiać tém bardziej, że w zdaniach się różnili i to znacznie. Przyjaźń często lubi przekomarzać się i dąży ochotnie do zrównania zapatrywań, aby nastąpiło pojednanie braterskie. Tym razem atoli jakoś nie zanosilo się na porozumienie. Ojciec z Zarębą kochali się bardzo, ale sprzeczać się musieli niemal ciągle, ponieważ usposobienia ich wręcz odmienne wciąż powodowały różnice w zdaniach.

Zbliżając się do rynku miasteczka wśród zapędów rozprawiania, nietylko że nie mogli kroków przyśpieszyć, ale przeciwnie musieli coraz powolniej wymijać wozy i ludzi,

bo ścisk stawał się coraz większym. Obchodząc niekiedy przez błoto konie wyprężone, przystawali naprzeciw siebie i zapalczywie słowa wymieniali. Walka w zdaniach przybierała na sile. Już weszli do rynku samego i kroczyli ścieżynką wąziutką. Zaręba naprzód a Marceli za nim ciągle. Aż gdy Zaręba uporem swoim i ciągłym obstawaniem przy zdaniu jedném i tém samém zmęczył Marcelego, ten ostatni chcąc rzecz przerwać, aby dalej się nie rozdrażniać, skorzystał ze sposobności i zboczył ze ścieżki. Wszedł pomiędzy wozy a konie na podcień i przystanął. Zaręba tymczasem rozogniony, choć właściwie był bardzo powolnym, wywodził dalej swoje twierdzenia. Nie słysząc ani słowa sprzeciwu za plecyma swoimi, czuł się rozochocony powodzeniem wywodów własnych i zaczął coraz gwałtowniej rękami popierać dowodzenia. Choć Marceli wołał na niego, nic nie pomogło, bo nie słyszał już ani głosu w tłumie i w zgiełku, zresztą w zapale własnym.

Można sobie wyobrazić, jaki to skutek się objawił z powodu takiego kroczenia naprzód, gdy Zaręba sam jeden krzyczał do siebie i rękami a głowę obracał na wszystkie strony. Ludziska się oglądali — dzieci gonić zaczęły. Zbiegowisko powstało a słyszeć się dało wołanie: »obłąkanie! obłąkanie!«

Zaręba zrazu nie zauważył niczego, ponieważ działało się to wszystko za plecyma jego, ale gdy na pytania jego uporczywe nie otrzymywał ani słowa odpowiedzi, wtedy, krocząc stale naprzód wołał: — A widzisz, teraz ciebie przekonałem, bo już milczeniem przyznajesz mi słusność. No i co? nie tak?

Czemuż ani słowa nie odpowiesz?...

Po chwili znecierpliwienia dodaje: — Marcelku! gadajże... co ci się stało? Nagle zdumiony przystaje i obraca się wstecz. Widzi przed sobą ścisk ludzi i zrazu pojąć nie może co to ma oznaczać, ale gdy Marcelego nie obaczył a dzieciśka palcami na niego pokazywały, gdy wszyscy wpatrzeni w oczy jego śmiali się i dowcipkowali, domyślił się w okamgnieniu wszystkiego. Osaczyli go wszakże ludzie dookoła tak szczelnie, że ruszyć się nie mógł. Po chwili milczenie i powaga uspokoiły gromadę, więc postąpił kroków kilka i szedł ścieżką z powrotem wołając: — Marcelku! Marcelku. Niebawem ojciec wyszedł i spotkali się znowu a Zarebą płaczliwie się skarżył: — Mój Boże! Tyżeś mnie, Marcelku, znowu wykiwał... znowu wzięłeś mnie na kawał. — W dobroci pojednali się serdecznie i poszli dalej, ale po drodze to jedni to drudzy wciąż się spozierali i palcem pokazywali na Zarebę. Ani się nie obrażano zaraz za postęпки takie a przyjaźń tylko się zacieśniała. Nie było dnia ani pół dnia, ażeby stryj Justyn lub ojciec Marceli nie urządzili figla jakiegoś. Obaj słynęli w kołach znajomych swoich jako żartownisi, umiejący z chwili każdej i z położenia każdego wykorzystać, aby wywołać coś zabawnego. Nie spisał by tego na skórze wołowej. Wszystkie przejścia i niepowodzenia, o których pisaaliśmy wyżej, wszystkie upadki i klęski narodowe, łamiące stany a pokolenia i niszczące coraz potężniej życie staropolskie, nie zamąciły ani w stryju Justynie ani w ojcu Marcelim pogody umysłu, skłonnego zawsze do patrzenia na świat jasno a różowo.

811 y Choć właściwie bięda w Tłustém zapanowała, bo płaca miesięczna nauczyciela ludowego w czasie owym była śmiesznie niedostateczną, mimo to rodzice nasi utrzymywali się na wyżynie godności iście ślacheckiej. Kawał pola przy gościńcu Jazłowieckim, naprzeciw figury przepięknej Ś-go Jana, dawał zbiory roczne bardzo małe a ogród przy szkole pozwalał zaledwie na uprawianie kilkanaście grzędów, mimo to młodość nasza, jako rodziny wspólnej, płynęła spokojnie. Prawda, że się nie przelewało nigdy a jednak gościnność domu rodzicielskiego naszego w Tłustem stała się znaną w okolicy najbliższej.

A jakie to były wówczas jeszcze stosunki sąsiedzkie! Jakie pożycie towarzyskie, przepojone serdecznością a życzliwością! W miasteczku samém pełno domów rdzennie polskich a w okolicy bliższej i dalszej niezliczona liczba dworów i dworków na gospodarstwach większych i mniejszych. Sama ślachta czysto polska, same rody z pokoleń pamiętających jeszcze dobrze czasy Rzeczypospolitej. Zgniecenie narodowości polskiej, tam na Podolu, nie przemieniło jeszcze wówczas ludzi na postępowców, którzy lgnęli do przemiany. Nie! polskość tętniła swobodnie a czamara, żupan, rogatywka i bóty polskie stanowiły ubiór szczerze ojczysty. Siermięga chłopska koloru brązowego z wyszywaniami i staniki dziewczęce barwnie wstęgami przybrane dawały wiele życia każdemu skupieniu bardziej uroczystemu. 850 Słowém, choć były to chwilę ucisku srogiego pod zaborem wrogim, mimo to zakątek ziemi polskiej tam koło Czerwonogrodu, jak Jazłowca, koło Bilcza Złotego i Buczacza, promieniał bezwiednie mocą ducha polskiego, pozornie kiełkującego w ukryciu, jednak wydającego owoce bujne.

A moc ta ducha polskiego urosła w kwiat żywy na ustroniu z dala od stolic, wśród ciszy nienaruszonej w spokoju zrównoważonym i w zamknięciu samoobrony.

Jasność Boża starczyła za wszystko — a w owej poświęceniu słonecznej *»granie anielskie«* podniosło myśl i uczucie nad obłoki.

Gniazdko nasze rodzinne nad stawem Tłusteckim, niedaleko młyna wiecznie klekocącego, w jarze rzeczki małej *»Dębną«* zwanój, stało się ogniskiem rodzinném bardzo żywo promieniejącém. Rodzice nasi zajęli role wychowawców bez szkół takich, jakie dziś są niby konieczne potrzebne, lecz z miłością przecudownie działającą.

*»W piersiach serca bórżtynowe
Jak słońce złote i czyste«* (Słowacki)

Otóż słońca jak bórżtyn czyste a złote starczyły za wszystko, za egzamina, za uprawnienia, za zdolności i za prawa. Po upadku Rzeczypospolitej, zatrutój jadem zepsucia, którem wrogowie ze wszystkich stron usiłowali zniszczyć naród, duch czysto narodowy bronił się silniej w cichości i w ukryciu po dworach i domach ślacheckich aniżeli po widowniach pysznych stolic i miast mnogich.

Tu właśnie życie polskie, szczére a zdrowe, objawiało się *»światłem przyrodzoném«*, wedle słów Jana Seweryna *Soplicy*. Słusznie on powiada, że u nas w Polsce w czasach dawnych zawsze to światło przyrodzone wypierało w kąt światło nabyte. Żył bowiem siła serca i sumienia narodowego, która działała więcej stokrotnie i lepiej, jak cała nauka książkowa, zwłaszcza dzisiejsza. Rzewuski dosko-

nale powiedział, że Polak z dawnych szkół wyszedłszy był Polakiem — teraz już tak nie jest, bo wszystkie podręczniki szkolne są na jedno i to samo kopyto, wedle pomysłów kultury zachodniej. Dlatego to istotnie Polakowi dzisiejszemu wszystko jedno, czy mieszkać w Rzymie, czy w Krymie. W czasach, o których piszemy tutaj, nie łatwo było posiadać książkę na własność a zwłaszcza polską. Pomiędzy młodzieżą utrzymywał się stale zwyczaj, serdecznie umiłowany, aby każdy miał swoją krynicę własną pieśni i wierszów, ciągle przepisywanych wzajemnie. Zbiór taki uchodził za bogactwo najpierwszorzędniejsze i wstyd byłby to wielki gdyby ktoś z dorastających nie mógł się pochlubić owocem przepisywania ciągłego. To też głośno słyszeć można było wszędzie i zawsze nóty pieśni powstańczych i zwrotki stałe do Ojczyzny się odnoszące. Po Matce naszej Wiktorji mamy kilka pamiątek drogich, stanowiących przepisania wierszów Mickiewicza. A wiedzieć trzeba, jak to ludzie dawni starali się o *pismo piękne* i umieli rzeczywiście nadobnie kręślić stronice całe. Zeszyt w którym matka zmieściła utwór Konrada Wallenroda własnoręcznie przepisany, uchodzić może za okaz pisma najpiękniejszego i najstaranniejszego. Dziś nikt nie potrafiłby sztuki pisania tak wytwornego. Rodzice nasi, choć złamani i przygniecenii nieszczęściami, w linji najpierwszej narodowemi a także i rodzinnemi, przecie w cichym domku pod bokiem kościoła w Tłustem zajaśniali pracą i cnotami ukrytymi na niwie ojczystej. Choć ojciec otrzymywał świadectwa szkolne niemieckie i choć sposób urzędowania dookoła był niemiecki mimo to siłą *lwa* i *polotem orła* zagnieździło się w kąciakach naszego

dworku rodzinnego bogactwo wspaniałe uczucia szczerze polskiego. Miłość wzniosła i dobroć zaiście anielska unosiły się w przestworzu po nad siedzibą dzieciństwa naszego. *in* -*ssaj* Tém *świattém przyrodzoném*, bezpośrednio od Boga użyczoném, krzewiło się życie młodości naszej jakby ciągle wśród nastroju pobożnego i na tle kwiecia najbujniejszego. *posięć księżkę na własność a zwłaszcza* Lada abecadlnik z obrazkami hetmana Tarnowskiego lub nieszczęśliwego króla Leszczyńskiego, ileż to objaśnień gorących wpadało do duszy dzieci, gdy ojciec określał znaczenie jednego i drugiego. Lada obrazek święty, znaleziony w książce do modlenia, przedstawiający Ś-go Wojciecha lub Ś-go Jana z Kęt, ileż to słodkich pouczeń skwapliwie chwytały uszy dziecięce, gdy matka ze łzami umiała rzecz rozwinąć tak barwnie i zajmująco. Co krok była szkoła, ale szkoła nie wśród ławek ciasnych w zadusze, tylko w życiu, na świecie. Codziennie było to u nas we zwyczaju, że całe gronko rodziny z ojcem lub matką wybierało się wieczorem na przechadzkę. Cztery były miejsca ulubione. Jeden krzyżyk kamienny za źródłem, za probostwem, drugi krzyżyk, również kamienny, przy drodze do Lisowiec, trzeci krzyż wysoki, drewniany, na wzgórzu przy gościńcu do Czortkowa i czwarty krzyż kamienny, naprzeciw »*poła naszego*« przy gościńcu do Jazłowca i do Buczacza, gdzie opodal stał na podślupiu Ś-ty Jan Nepomucen, rzeźba barokowa z kamienia odkóta. Do wszystkich tych krzyżów trzeba było iść zawsze pod górę, ponieważ miasteczko Tłuste leży jakby w wądole, w opolu stawowém. Widoki z tych miejsc napawały nas, dzieci, wrażeniami niezwykłemi, gdyż patrząc z góry widzieliśmy kościół z dzwonnica murowaną,

cerkiew piękną drewnianą o trzech kopułkach, gątam krytych, również z dzwonnica drewnianą bardzo ładną, widzieliśmy kaplicę smętną, gdzie brał ślub dziadek Karol z babcią Franciszką (po kądzieli) — miasteczko całe z rynkiem o domach podcieniowych, najczęściej na 3 słupach, gościniec biały jeden idący z Zaleszczyk do Czortkowa, gościniec drugi z Jazłowca, bożnicę murowaną, staw wielki a czysty, lśniący zwierciadłem wody, nasz domek rodzinny, probostwo i wiele, wiele innych domostw dobrze nam znanych, bośmy wzrosli wśród tych budowli. Gdyśmy atoli odwrócili oczy nasze w stronę płaskowyża podolskiego, zachwycała nas upajająco równina łąnów złotodajnych, ginąca na widnokręgu w liniach sinych, przerywanych lasami bardzo odległymi. Kto nie zna Podola naszego, ten właściwie nie odgadnie, ile to siły tkwi w owém patrzeniu w dal niezmierzoną wprzód, wstecz, na prawo i na lewo. Jakieś światy czarowne tam błyszczały, których my dzieci nie pojmowały, ale do których tak rwała się tęsknota żywiołowa. Goniąc wzrokiem po tych płaszczyznach nieprzejrzalnych z zachwytem podziwialiśmy tu i ówdzie linie uwypuklone, ciemne, znacznie odbijające od nieboskłonu. Są to mogiły rozsiane w Polsce tu najgęściej. Pobojowiska z czasów przedawnych, nieznanych, z wojen tatarskich i tureckich! My dzieci patrząc z oddali na takie pomniki przeszłości uczyliśmy się znakomicie miłości Ojczyzny na wzorach, malowanych opowieściami barwnymi. Często łzami i łkaniami przerywane te nauki nabierały tyle znaczenia, że wpajały się ogromnie głęboko w piersiach dzieciennych i wywierały swój wpływ niezatarty na całe nasze życie późniejsze.

Szczególnie wryły się w umysły nasze chwile odpoczynku, kiedy po przechadzce do krzyża drewnianego przy gościńcu Czortkowskim, zboczyliśmy nieco miedzami i usiedli na usypie wielkim a wysokim, który wygląda jak mogiła największa albo jak uroczysko starodawne, środkiem zakłknięte. Z wysokości wałów owych, z czasem bardzo już zniekształconych, coraz więcej zacierających linje zarysu, przedstawiał się znowu widok miły dla oka. Tu rodzice często pouczali nas o znaczeniu mogił, świadczących o obronie swemi piersiami przedojców naszych i wspominali przy tej sposobności czém były w dziejach naszych najdawniejszych *uroczyska* obwałowane.

Mogiła ta, jako uroczysko, koło Tłustego, na mapach austrijackich zowie się: »*na Dabrawie*«, co oczywiście oznacza *na Dąbrowie*. Był to gaj święty po nad rzeką Dębną, tworzącą stawy, czyli opola stawowe, Dębliska.

Z wyżyny tej mogiły, wzniesionéj po nad poziom morza do wysokości 164 m. widać w stronie południowo zachodniéj *mogiłę Pańską*, między Słonem a Nérkowém, najwyższą w okolicy i panującą rzeczywiście po nad płaskowyżem, oznaczoną wysoko na 195 m. Opodal na widnokręgu ku południowi zaznacza się mogiła *Dubłowa*, tak określona rękę cudzoziemca. Jest to znowu albo nazwa przekręcona: *Dęblinowa* od Dębliny, albo nazwa przemieniona z mogiły podwójnej (dublowéj), bo rzeczywiście są tam ślady dwóch wzniesień. Mogiła ta ostatnia jest koło *Beresteczka*, przekręconego z Brzosteczka lub nawet *Brześciczka*, (Brześcia małego). Sięga wysokości 190 m.

Jednego wrażenia zapomnąć nigdy nie możemy, oto, gdy Matka nasza o zachodzie słońca wskazywała nam ku

wschodowi linie dalekie j dodawała, że tam Kamieniec Podolski, Żwaniec, Chocim i Okopy Ś-tej Trójcy. Oczy nam się otwierały nadzwyczajnie i z oddechem powstrzymanym łowiliśmy każde słowo gawędy, w której matka dodawała, że to tą drogą właśnie szedł Sobieski z rycerstwem na wrogów.


— Powiadają ludzie — mówiła matka — iż z wojskiem swoim powstrzymał się tutaj Jan III, ażeby wypocząć przed uderzeniem najsilniejszym. Jest u dołu klasztoru Bazyljanów tuż nad Ułaszkowcami grota niewielka a w niej stary, odwieczny kamień uświęcony. O ten kamień miał ocierać szablę swoją sam król po Mszy świętej a za nim wszyscy przodownicy i dostojnicy. Sprawa święta była Bogu poruczona z wiarą, która mogła tu żyć od niepamięci. Sobieski uderzał raz po raz na pogan i Bóg mu pomagał. Żórawno, Jazłowiec, Podgajce, (dziś Podhajce) i Buczacz, to miejsca uświęcone, okalające w krąg miasteczko nasze rodzinne. Gdzie dzieci oczy skierujecie, wszędzie pola krwią polską i łzami polskimi zroszone. I tu, gdzie teraz na uroczysku siedzimy, spoczywały orły konnicy polskiej i tu oręż polski błyszczał w słońcu!

Matka nasza często w słowach podobnie płomiennych wpajała w serca nasze takie poznanie Dziejów Polskich. O! jakaż to wzniosła była szkoła przy śpiewie skowronków i przy poszumie wiatru zbożem pachnącego. Ileż to razy w życiu późniejszym zarysowywały się mi w wyobraźni owe obrazy malowane miłością matki tak potężnie, że aż w rozrzewnieniu a w cichości serca wołałem do chwil tych, aby się nie oddalały one od teraźniejszości. Niestety! wszystko posunęło się już bardzo daleko a tylko pamięć kochana dzierży władzę.

W przechadzkach naszych wieczornych, po pracy, gdyśmy kroki swoje kierowali do Ś-go Jana z wysoka patrzącego na okolicę całą, wtedy znowu gościniec piękny prowadził uwagi rodziców w stronę zamku Jazłowieckiego. Ileż to podań bawiło myśli nasze, zwłaszcza, że Matka wiele opowiadań barwiła wspomnieniami ze swojej młodości własnej, gdy przebywała w Jazłowcu w r. 1842 u stryjanki. Tam w Jazłowcu w r. 1842, 2 lutego, odprawił prymicie ks. Roman, stryj nasz, brat rodzony ojca naszego. Pisze matka nasza w pamiętniczku swoim z r. 1842, że na uroczystość ową zjechało się do stryjanki bardzo wiele gości. Dnia 2-go lutego zapisała matka: „Już powróciliśmy z kościoła. X. Roman ścisnął nam głowy... Będziemy tańczyć dzisiaj hop! ha!...» Wrażenia silne wzmagają się, gdy my dzieci słyszeli, że mama nasza bywała tam w zamku, w sali dużej, na balach. Ach! ten zamek czarowny, jakżeż on potem wbił się w umysł mój dziecięcy, gdy do szkół przez Jazłowiec przejeżdżając nieraz godzinami rozkoszowałem się widokiem murów omszałych i bajkami upiększonych.

Tu od figury św. Jana szła droga polna z gościńca do Różanówki, a w rogu właśnie było pole nasze, skąd mieliśmy widok piękny na nasz dom rodzinny i probostwo.

Przechadzki w stronę przeciwną, poza staw przez most, do krzyża kamiennego przy drodze do Lisowiec bywały jeszcze i z tej przyczyny drogiemi, bo wtedy jeździliśmy często do wója Piotra, brata rodzonego matki naszej. Był on rządcą i pełnomocnikiem Kaliksta Orłowskiego, właściciela Lisowiec, który miał tam pałac murowany i park przepiękny. Pamiętam, jak przez mgłę, jak niekiedy wolno nam było pójść tam do wnętrza, gdzie zachwycaliśmy się bo-

gactwem urządzenia, bo pokoje wszystkie zapełnione były sprzętami staroświeckimi, bardzo cennymi i obrazami na płótnie malowanymi. Na mnie działało to podniecająco, bo miałem od dzieciństwa pociąg nadzwyczajny do zachwyca-
nia się starożytnościami. Zégary okazałe, pajaki ogromne ze świecami, broń rozliczna i księgi cudnie oprawne... jakżeż wszystko to mnie porywało. W ogrodzie w cieniu lip sę-
dziwych były wodotryski  sówdzie pod dębami szémrzą-
cymi posągi i sfinksy, pół lwa pół białogłowy, kwiaty,
grzędy ozdobne i t. d. — Wieś Lisowce była starym oby-
czajem polskim zamykana od pół tak zwanym »*kołowro-
tem*«. [Od Tłustego dojeżdżało się drogą szérką, która
w czasach dawnych potrzebną była dla pędzenia wołów paś-
nych w stronę miast podolskich i stawało się przed dwie-
ma bramami, zawieszonemi na słupie wysokim, w samym
środku drogi zakopanym. Pastuszkowie zawsze chętni byli
i skoro zobaczyli kogoś do wsi się zbliżającego, wnet na
prześcigi gonili, aby co najprędzej obrócić bramy obję t. j.
kołowrót, poczem zamykali go znowu, głównie dlatego, aby
bydło nie uciekało z pola do wsi, lub ze wsi na pole! ...
-x To wszystko zawsze mieliśmy żywo przed oczyma,
ilekroć przechadzka wieczorna pokierowała kroki nasze
między łąny nieprzejrzane, skąd daleko widzieliśmy wieże
kościół w Jezierzanach z jednéj strony, a folwark *Kozio-
góra* ze strony drugiey, o tyle dla nas ważniejszy, o ile
budował go sam dziadzio nasz, Karol Zubrzycki, nie dla
siebie, lecz dla Kęplicza, o którym już wspominaliśmy.]

Najmilszą ze wszystkich stron dla wieczornych prze-
chadzek naszych to była drożyna polna z domu naszego,
koło młyna przez gróble, po pod probostwo do krynicy

przeczystej prowadząca, a stąd podnosząca się do góry pod krzyż biały kamienny, bardzo starodawny. Była to przechadzka najczęściej tu dlatego kierowana, że najbliższa domu, oraz że nie potrzeba tu było się ubierać staranniej, bo szło się od razu w pole. Dla przechadzek tamtych potrzeba było przechodzić przez miasto. Tędy swoboda pozwalała na użycie ruchów, na wybieganie się, na zaglądnięcie do młyna i na zaczerpnięcie wody wprost ze źródła. Cudna to woda, zimna a przeczysta. Woda owa krzepiła nas zawsze i ona to stawała się lekarstwem najniezawodniejszym, ile razy pragnienie zdrowe ciągnęło nas do ugaszenia go zdrojem. Jak to było dobrze wtedy jeszcze na świecie, kiedy ludzie na ogół mieli wiarę najlepszą do wody czysto źródlanej! Niema nic tak wzmacniającego i tak leczącego jak woda kryniczna wiarą świętą uświęcona... O! to nasze źródło kochane, płynące potem ponikiem krystalowym w cieniu wierzb pochyłych, wśród łącki kwiecistej, ileż ono dało nam siły na życie nasze! Drogie to wspomnienia, malujące obrazy przemile, kiedy goniliśmy ze dzbanuszką po wodę do źródła, aby uraczyć w domu wszystkich jakby prawdziwym darem boskim. Siła to życiodajna była w owę wodzie, jak w prawdzie przeczystej!

Na pagórku pod krzyżykiem przesiadywaliśmy często bardzo długo, aż zmrok zapadł i światła z okien okazywać się poczynają. Swoją drogą przyznać to w tym miejscu potrzeba, że były to chwile arcywspaniałe, kiedy na tle wieczoru ciemnego zajaśniały światła w oknach żydowskich w piątek wieczór. Całe miasteczko nagle przybierało wygląd świetnie uroczy — a domki rozpołożone po pochyłościach tedy i owędy w całości przedstawiały obraz

pełen wdzięku. Zauważyć wypada, że czczenie ognia, jako światła, nie stało się żadną wyłącznością plemienia izraelskiego, ponieważ świętość płomienia najgłówniej była ubóstwioną u Persów, którzy właśnie dlatego nie potrzebowali świątyń żadnych, iż wznosili dla ognia i dymów kadzielnice na górze ołtarze wspaniałe. Zwyczaj po miastach oświetlania domów i ulic (illuminacja) nic innego nie oznacza, jak tylko poświęcenie uroczystości ogniem i jasnością. Święto nasze przepiękne Matki Boskiej Gromnicznej jest pozostałością czci ognia, jako słońca z czasów Światowida. Zapalenie świec zaraz po zachodzie słońca ma bezwątpienia wiele pierwiastku żywiołowego, dla przypomnienia ludzkości, iż jasność dnia i światłość żywota to powołanie właściwe człowieka. A zatem uświęcenie soboty w przeddzień mnogością płomieni niezawodnie początek swój bierze w wierzeniu Światowida, kiedy to Sobótki i Soboty w *Staro-Lęchji* były uważane za święta *Słońca* raz do roku i raz na tydzień. Jedno atoli żydom przyznać się musi, to mianowicie, że umięją oni trzymać się oznak wiary swojej i dlatego zwyczaj ten sprawia na nas zawsze wrażenie niebywale, ponieważ forma sama tchnie starożytnością bardzo głęboką, choć treść uległa przemianie znacznej.

Często to aż nadto się zdarzało, że siedząc tam na pagórku pod krzyżykiem, w zamyśleniu długo bardzo oddawaliśmy się przyjemności patrzenia na światła gorejące po oknach żydowskich. Szczególnie przykówały oczy nasze te domy, które odbijały się w źwierciedle spokojném stawu po za groblą. Gdy wichur pomarszczył nieco powierzchnię jego, wtedy smugi świetlane przybierały kształty linji falistolamanych i żyły jak węże uświęcone, przypominające się

nam z wiary Litwinów. Jeżeli chodzi o piękno miasteczek naszych ze światłami sobotniemi, to nie można tutaj nie wspomnąć położenia przecudnego Jagielnicy, niedaleko Tłustego, gdzie u stóp zamku starego (przerobionego ohydnie na fabrykę cygar!) rozsiadło się miasteczko po stokach jaru w półkołu i piętrzy się malowniczo na wzór amfiteatru starożytnego.

Okna jarzące się w przeddzień soboty, to widowisko arcy-wspaniałe!... Sobótki ciągle żywe!...

A gdy zdarzyło się kiedyindziej, że wcześniej z domu wyszedłszy, mogliśmy daleko udać się drogą polną po za krzyżyk, wtedy matka okazywała nam *Koziogórę*, zachwycająco pobudowaną na wyniosłości nad widnokreśm panującej, a dalej na prawo kierowała oczy nasze w strony Zaleszczyk i Torskiego, gdzie dziadzio Karol mieszkał przez 3 lata. Był wówczas jeszcze w Torskiem zameczek obronny z wieżyczkami dla stawienia oporu na ślaku tatarskim. Matka opowiadała, jak wtedy już trudne były warunki gospodarowania, ile ciągle strat groziło upadłością!...

Droga od krzyżyka szła dalej do Myszkowa i Muszkarowa — aż w stronach tych okazywano nam sławne *Bilcze Złote*, którego pieczary miały być, wedle podania, połączone z bramką zamkową Tłustego. Słyszac to aż słupiałem z przerażenia i strach mnie ogarniał na przypomnienie sobie lochu podziemnego, jaki dobrze był mi znany, bo prowadził w głąb ziemi tuż przed bramą ogrodu naszego. Sklepiony w cegle był szeroki i dość wysoki — widocznie przygotowany dla ucieczki. Pamiętam, jak o uszy nasze obijały się wieści głuche, wedle których ojciec nasz z aptekarzem mieli zapuszczać się w głąb ganku podziemnego.,

ale natrafili na jakieś drzwi zabite. Brak powietrza utrudniał badanie. Znaleźć mieli beczułkę wina bardzo gęstego...

Na wspomnienie »Bilcze Złote« (czyli »Bielcza Złota«) zawsze trwoga mnie ogarniała. Tatarzy gonili i w jasyr brali — ludzie z Bielczy gankiem (podziemnym) uciekali i aż tutaj do Tłustego się przedostawali. Co za tajemniczość, groza! Biędny naród, nieszczęśliwy, rok rocznie popadający w wir takiego nieszczęścia. W jasyr za włosy ciągnięne matki i siostry — kołami po plecach pędzone gromady jeńców i dzieci... to wszystko naocznie związane z okolicą, którąśmy oglądali codziennie i zawsze...

O! taka to nauka nas wychowywała i taką to czytanką były strony świata, na jakiśmy patrzyli z tego kąta zapadłego!

Wykształcenie nasze szło bezpośrednio ze życia i ze świata. Było to światło czysto przyrodzone, zasadzające się silnie na rozbudzeniu władz duchowych.

Przechadzka każdodzienna uważaną była ostatecznie za nagrodę za dzień cały dziecka każdego. Matka trzymała nas dobrocią zaiscie wyanieloną i nikt z nas nie pamiętał, aby kiedy naprawdę gniew i kara widoczna miały być postrachem. W domu rodzicielskim był spokój panem, którego władza nigdy nie bywała naruszana. Matka zaprowadzała dla dzieci wszystkich dzienniczki, które stanowiły zeszytiki polinjawane na dzień każdy każdego tygodnia. Przy końcu dnia, właśnie przed przechadzką, następował rachunek sumienia i wtedy dziecko każde po kolei musiało przyjść do matki a podając dzienniczek oczekiwało wyroku. Uznanie dobre oznaczało gwiazdkę, naganę za przewinienia jakieś potwierdzał krzyżyk, albo mały, albo większy. Mój Boże! ale posłuchajmy, jakie to winy dziecięce były tam

w kąciakach domku Tłusteckiego! Wisiał zegar z wagami na łańcuszkach i mama zabraniała nam dotykania łańcuszków. Jadwisia (ta późniejsza Jadwiga z Łobzowa) miała atoli uciechę największą, gdy poruszyła te kółeczka błyszczące i śmiała się na gardło całe z radości podziwiania cudu takiego. Otóż za niesłuchanie nakazów rodzicielskich dostała Jadzia krzyżyk mały. Józio (ten rotmistrz ułanów późniejszy) lubiał uganiać w koło pokoju, naśladować konia wymarzonego, za co upominano go, aby tyle krzyku nie sprawiał i nie przeszkadzał drugim. I za to przekroczenie dostał brat krzyżyk mały!... Za zaniedbanie nauki dziecko otrzymywało króskę poziomą jedną, za niestaranność w przepisywaniu zadania dostawało dwie kréski i t. d.

Takimi to rachunkami sumienia codziennego przyzwyczajała się dusza dziecka do czujności nad sobą samym i stąd to pochodzi późniejsza wrażliwość nasza na każdym kroku życia całego. Wola wolna w dziecku stawała się narzędziem postępków i czynów. Szkoda to nie oceniona, że wśród przejść rozlicznych zaginęły te dzienniczki nasze!

Ale... największą karą dla nas, dzieci był wyrok po przestępstwie jakimś orzekający, że ktoś tam z gronka naszego nie weźmie dziś udziału w przechadzce wieczorniej. Godzina szara dla tego biédactwa pozostawionego w pokojach pustych to była męka, której drugi raz poddawać się ono nie miało już odwagi!... A na szczęście powiedziec należy, że kara taka należała do wyjątków bardzo rzadkich.

Jedni powątpiewają, inni wprost zaprzeczają, jakoby to prawdą być mogło, że *narodowość polska* łączy się nie-

rozerwalnie z *wiarą* (czyli religją, którą Mickiewicz nazywa *bóźnictwem*). Otóż raz jeszcze stwierdzić nam trzeba koniecznie jednoznaczność tych pojęć a to głównie dlatego, ponieważ polskość wyszła z okresu Światowida, jako jedność życia narodowego i jedność pobożności z głębin serca wyrosłej. Wiele, bardzo wiele zwyczajów kościelnych skojarzyło się u nas ze zwyczajami jeszcze pogańskimi, bo, jak to już po innych dziełach naszych wykazaliśmy, krzyż równoramienny Światowida a krzyż rzymski Chrystusa to właściwie obraz Bóstwa Stworzyciela jednego i tego samego. Nie jest wprawdzie krzyż sarmacki, wschodni tém samém co krzyż Jezusa Zbawiciela, lecz wcale nie sprzeciwia się jeden drugiemu.

Podniosłe wzywa K. Brodziński, *abyśmy opasani poróstem pielgrzymiskiem* obchodzili święcie uroczystości nasze, a mianowicie kościelne z narodowemi, gdyż *»cudownie łączą się z sobą!«* (Poślanie do braci Wygnańców).

Wiara w Polsce sięga początkami czasów przeddziejowych najodleglejszych i z téj to przyczyny zrosła się ona tak jędrnie z narodem. Gdyby upadła u nas wiara w *Krzyż Pański*, przepadłby zaraz świat nasz cały zwyczajów, obyczajów, wyobrażeń i dążności i przestalibyśmy być sobą!...

Kościół to świątynia polska, w której modlono się i w której obradowano, w której rozwijały się uroczystości najpobożniejsze i w której sejmowano godnie a nawet ucztowano w Imię Pańskie!... Jak Partenon na Akropolu, w Atenach, zwał się świątynią agonalną, w połowie dla bóstwa, w połowie dla narodu, tak i w Polsce katedra Wawelska a zamek Wawelski to jednoznaczność dla Boga i dla Ojczyzny przeznaczona. Wołania z czasów powstań

naszych: »*Bóg i Ojczyzna*« to świętość z krwi i z kości przeszłości naszej i istności odwiecznej.

Nie można sobie w Polsce wyobrazić miejsca bez kościoła, bez kaplicy, bez krzyża, bez *miru*. Wszędzie żyje wzniosłość pokoju, ciągnącego się jak błogosławieństwo »*po łąkach*« czyli *Polonji!*...

I w Tłustém na Podołu nad rzeczką *Dębną*, sromotnie z ruska po austryjacku przekręconą dla szyderstwa i pośmiewiska, zaraz koło dworu zamczystego, po którym pozostała bramka murowana, stał kościół murowany z dzwonnicy o trzech dzwonach.

Dwór i szkoła, kościół i probostwo to jedność a całość — tak w dzień powszedni jak i w święto, tak dla jednostki każdej jak i dla wszystkich.

Kościół przedewszystkiém — na miejscu najpierwszém!..., bo »Polska tylko przez *wiarę* zbawioną będzie«. (Kaz. Brodziński).

Kościół wołający dzwonem i dzwonymi, kościół żarliwie rozmodlony, kościół przepełniony śpiewami, w niebo bijącymi, kościół grający organami!...

I dobrze to powiedział Słowacki (Róża Weneda), że zwycięstwo przy nas i nad nami tak długo, jak długo dźwięczyć będzie *pieśń* wielka na harfie złotej, którą zagra ojciec na tronie kamiennym, druidycznym!...

Kościół gra pieśnią taką na harfie złotej i jak długo dźwięczy w życiu hymn uroczysty a przeświety, aby naród pobożnie wielbił Boga nad Bogi, tak długo Polska będzie żywą a nieśmiertelną!

Mały to kościół w Tłustém, ale jakże on był zawsze pełnym a podniosłym!... Ubogi on był wewnątrz i ze-

wnątrz, lecz ileż bogactwa ducha i uczucia żarliwego mieszało tam ciągle! Cisza tam w świątyni i dookoła panowała w dnie powszednie nadzwyczajna, za to w święta uroczyste jakąż tam *harfa złota* brzmiała pod niebiosą głosami najpodnioślejszymi!... Wszystko ciągle odmieniało się pod działaniem zaborców na świecie aż do zagłady, do nie poznania, tylko w kościele Tłusteckim *odnowienie* jedno wiązało ludzi, aby odnawiać zawsze dusze wedle nauk Jezusa Chrystusa.

Polska od dawna pnie się za nowościami zagranicznymi, byle dorównać kulturze europejskiej i amerykanizmowi, lub nawet prześcignąć je dziwactwami. Nic to atoli nie przyczynia Ojczyźnie ani sił ani zdrowia. Dla Polski Odrodzenie w odnowieniu życia wedle Odnowiciela Boskiego, jako Zbawiciela. Nowość na drodze nowej celem nowego udoskonalenia katolickiego przez poprawę nową życia błędnego.

Kościół Tłusteki żył i działał od świtu do świtu. Dzwonek mały z dzwonnicy murowanej budził o brzasku na Anioł Pański trzema zwrotkami. A w sobotę i w niedzielę, to znaczy w przeddzień święta i w samo święto, wtedy *dzwon wielki* ogłaszał okolicy uroczystość, która już się unosiła w powietrzu. Gdy procesja z chorągwiami licznymi i ołtarzykami nośnymi, ze świecami i białodachem (baldachimem) nad Monstrancją obchodziła Bożorołę dookoła świątyni, jakąż to wówczas gędzba spiżowa nasyciała przestwory, gdy wszystkie dzwony razem grały, nawet w towarzystwie dzwonka czwartego na dzwonniczce małej, na kościele, na sygnaturce...

Czuwał Kościół nawet nocą, bo w razie łuny wstawał kościelny nazwiskiem *Rozkosz* i szedł pod dzwonnice, chwytął za

sznur i uderzał sercem w dzwon wielki na trwogę. Ach Boże! co to za groza wówczas opanowywała okolice, bo jęk kręsy jednej, jednostajnie dźwięczący, niósł ze sobą przerażenie na tle wrzawy dalekiej i trzaskania płomieni. Jako dziecko pamiętam wrażenie okropności, gdy pokój nasz cały przemienił się w całun czerwony. Matka brała zawsze wtedy szkatułkę i na niej w oknie ustawiała obraz M. Boskiej Częstochowskiej, po bokach dwie świece płonące. Zawsze nas Opieka ta Cudowna ratowała. Raz paliła się stodoła tuż koło domu naszego we dworze. Płomienie już sięgały aż do dachu naszego. Ojciec nakrywał gąty prześcieradłami w wodzie maczanymi i kocami mokrymi. Zaczęto wynosić sprzęty do ogrodu. Aż matka zdjęła gorączkowo duży obraz na płótnie malowany, także M. Boskiej i skoro ustawiła w oknie, nagle płomienie przygasły, jakby ręką zakryte. Niebezpieczeństwo minęło. Dobrze pamiętam wzruszenie nasze i podziw ludu, że klęcząc we łzach przed obrazem wszyscy dzięki wdzięczne składaliśmy.

Niezatarte wrażenie wielkie pozostawało w duszy z chwil przecichłej mszy porannej, kiedy w kościele kilkoro osób w oniemieniu brało udział w Ofierze Pańskiej. Wspaniałe były sumy niedzielne z kazaniami, podczas których ks. proboszcz Sofczak dla oddziaływania silniejszego na rzesze ludu zwracał się czasem do ojca i pytał:

»Prawda — panie Zubrzycki?...«

Ogromnie silne pozostawiało wspomnienie każde święto »Godów« w zimie oraz każda Wielkanoc na wiosnę, Świątki Zielone lub Matka Boska Zielna. — Stałe wtedy przed dworkiem naszym widzieć można było bardzo wiele powozów, bryczek staroświeckich, kałamaszek i wózków, bo z oko-

licy i sąsiedztwa ślachta większa i zagrodowa, wszystka korzystała ze sposobności, aby odwiedzić dom Zubrzyckich.

Nie dla objadu, nie dla zaproszenia, jedynie w chęci powitania choćby najkrótszego, ale za to najserdeczniejszego, wszyscy znajomi starali się bodaj na jedno słowo zacne wpaść do pokojów, zaraz po sumie, kiedy huczał jeszcze *dzwon wielki* na zakończenie nabożeństwa południowego. Ileż to było uroku pięknego w takim życiu? Jakaś moc społeczności źródłowej tkwiła w tém objawieniu jedności towarzyskiej, aby wszyscy bodaj na chwilę przewitać się mogli szczerze i dowiedzieć to stąd to zowąd, co za nowina i jakie nadzieje?... A wszystko to doprawdy ze życia i dla życia. Co to znowu za znakomita szkoła narodowa szczególnie dla młodzieży, która patrząc na podobne obrazy, pełne różnaitości i przysłuchując się rozmowom czerpała nauki nie książkowe, lecz prawdziwie źródłowe. Ruch, gwar, wesołość i żywość wypełniały w okamgnieniu kąci domku naszego, aż serce rosło a dusza się unosiła. Wnet zaczynało się dzielić na kółka i gromadki, by pogawędka się zawiązywała. Aż tu nagle staro podolskim zwyczajem naszym wnosi służąca na tacy srebrnej słoiki konfitur i szklanki wody zimnej a świeżej, wprost ze źródelka dopiero co zaczerpniętej. Nie wódka, nie wino, nie ciastka, nie mięswo, ale *woda kryniczna*, życiodajna i orzeźwiająca!... Był ten zwyczaj długo powszechnie na Podolu dobrze znany, więc każdy skwapliwie garnął się do napoju najzdrowszego, jaki istnieje na ziemi, — do wody źródlanej z pod skały, — razem z różą lub poziomkami. I już za chwilę zrywa się towarzystwo jedno i żegna, ojciec wyprowadza aż do powozu, potem gromadka druga, trzecia i czwarta, a ojciec

zawsze rękę podaje przy wstąpieniu na stopień wózka. Za chwilę kilka tylko osób pozostało najbardziej poufałych i najbliższych, a jednak i te powstały i do powozu wsiadły a konie ruszyły za trzaskiem bicia. Pozostała cisza w dworcu — wśród której zajęto miejsca przy stole okrągłym dla objadu. Od czasu do czasu ojciec z matką opowiadali co było w dniu najważniejszego.

Niedziela była świętém wielkiém!...

Ponadewszystko atoli dwie były dla Tłustego uroczystości największe: odpust na Ś-tą Annę w kościele miejscowym a potém odpust ogromny w Czerwonogrodzie, niedaleko Tłustego. Odpusty w Polsce to siła przeogromna, głównie dla podniesienia ducha przeznaczona, jakkolwiek czasy poniewierania zbrukać usiłowały podniety najwznioślejsze wszystkie a więc i cele uroczystości kościelnych, dorocznych. Dzisiaj człowiek opasły i opity sądzi głośno, jakoby odpust głównie przeznaczonym bywał dla objadu wspaniałego i upicia się nieprzytomnego. Straciły władze umysłowe terażniejszości pojęcie, czém była i być miała *uczta miłości a gościnności*, dla obdzielania się chlebem i wodą, więc obrócono wszystko w przesadę dla żarłocstwa i łakomstwa. A przecie ten objad przyjacielski miał być tylko zakończeniem biesiady czysto dusznej, dla serca i sumienia, w sposób nadzwyczaj uroczysty w kościele przeprowadzonej, o oczyszczeniu się z grzechów dla uzyskania odpuszczenia. Tylko takie wyobrażenie górne i pod niebo bijące zdoła odślonić przed nami wielkość i ważność odpustu polskiego. W razie przeciwnym po odsunięciu treści, forma sama, zasadzająca się na spożywaniu smaczném i upiciu nadmierném, zawsze okaże nam już tylko pustkę śmieszłą.

Jak w Piśmie Świętem mowa jest o roku siódmym »*odpuszczenia*« — »siódmego roku będziesz czynił odpust«, tak i w Polsce żyło istotnie przekonanie, że tylko dążenie do doskonałości przybliży Królestwo Boże.

Odpusty na Podolu po wielu miejscach miały swoją sławę daleką. Być może, że odpust Ś-tój Anny w Tłustém nie zaliczał się do największych, a jednak dla nas, wśród opisów niniejszych, było to święto nad świętami. *Odpuszczenie* żyło w pragnieniach narodu, gdyż to co my nazywamy Poślannictwem Polski, to naprawdę w dziejach zaznaczało się stałym dążeniem ku doskonałości, po stopniach cnoty, wśród oczyszczania się z win drogą *odpuszczania*. Wiara Jezusa Chrystusa dodała najwięcej boskości tym uroczystościom, do których garnał się każdy siłą żywiołową.

Już od ranka wczesnego ściągały się ze wszech stron gromady procesyj z chorągwiami bardzo licznymi i ołtarzykami nośnymi wśród kwiatów i wstęg różnobarwnych, w strojach bajecznie kolorowych. Gościńcami i drogami połnemi zdążały one z pieśniami na ustach, w których drgało tyle smętku i tęsknoty bardzo rzewnej, ile ich jest we wszystkich śpiewach i dumkach podolskich. Ściągały się tłumnie do środka miasteczka a stąd z rynku wchodziły wszystkie na *Bożorolę* t. j. na obejście kościoła. Ani mowy o tém, by mogły się one wszystkie zmieścić we wnętrzu świątyni. W okolicy Tłustego i Zaleszczyk lato bywa wprost włoskie, takie czyste i gorące. Najczęściej w dzień odpustu i msza święta i kazanie bywały zatém w cieniu drzew. Wtedy las chorągwi otoczył miejsce święte półkolem i cała przestrzeń wolna na smętarzu dawnym zabita była mnogością ludu ze stron bliższych i dalszych. Procesje

pozostawały na dzień cały i dopiero nad wieczorem przed słońca zachodem rozchodziły się znowu jak promienie tęczowe ze środka słońca. Jak rano chóry dzwonów witały wszystkie pochody chorągwiane, tak teraz znowu żegnały je tak długo, dopóki oko widziało las chorągwi, krzyże, obrazy święte i rzeźby z ołtarzyków.

O! jak drogie były Polakowi chorągwie, te stare święte a bojowe. W kawałku chorągwi, pod którą padł Hrehorowicz (Byli i Będą Rodziewiczówny), przechowano sygnet herbowy dla syna. Mówi ta powieściopisarka, że *»od chorągwi na niebo łuna biła«*. To Polki haftowały srebrém na krosienkach te chorągwie uroczyste. Już i na nie targnęły się czasy nowe, aby w kąt ustąpiły!...

Były atoli takie niegdyś jeszcze czasy, kiedy ludzie posiadali zmysły zdrowe i niczego się nie bali a dla przerwania jednostajności pożąдали odmiany, przez zapanowanie głosu po ciszy powszedniej. Na organach podczas podniesienia zahuczał bęben miedziany ze skórą napiętą, co pamiętała bitwy niejedne. Ten sam *»taraban«*, co bił przed uderzeniem na wroga, teraz nakazywał pochylenie głowy i zgięcie kolan, aby nikt nie považył się niszczyć obrazu jednomyślności. Razem z bębnem huczał bas organów drgająco, jakby chciał wołać grozą Majestatu Boskiego na przypomnienie grzmotu z piorunami. Piorunem walił dwiema pałkami chłopak w bęben pamiątkowy. — Tak i podczas pieśni *»Baranku Boży«* napęłniał się kościół odgłosem bojaźni, którą wzruszał świątobliwie głos dzwonu wielkiego, ciągle sercem drgającego, oraz pobudzał raz po raz wystrzał armatni. Przeszywał on powietrze i napęłniał okolicę całą nastrojem wielce poważnym od ranka aż do zmierzchu.

Drgały mury i ludzie się bali, lecz powaga wielkości przemawiała wówczas do serca a sumienia potężnie i pomnikowo!...

Niezatarte wspomnienia święte towarzyszą w pamięci tym obrazom nabożeństwa odpustowego. Bractwa wielkie ze świecami woskowymi, jak człowiek dużymi, zajmowały miejsca tuż przed samym Ołtarzem Wielkim. Suma cała pełna śpiewu ludu jednym głosem, jakby z piersi jednej olbrzyma! Modlitwa to była jakby natchniona, płynąca w niebiosach zapalem uświęconym. Nie było słyszeć głosów organowych, albowiem krzyk wielki tłumu żarliwie błagającego i uwielbiającego przygłuszał wszystko. Nikt niema pojęcia, czém jest zaiście taki hymn chwały, kto nie widział nabożeństwa ludu polskiego, a zwłaszcza tam na Podolu. A gdy zanócił ksiądz mszę odprawiający: »Vere dignum est...« wtedy gołąb ciszy niezamąconej zalegał przestwory, że li łopotanie chorągwi unosiło się nad głowami. A były chorągwie niektóre stare, ze złotogłowi ciężkiego, nasyczone barwami żywymi i lśniące srebrem i złotem, mimo tego pod działaniem wiatru uderzały one jak skrzydła, za pośrednictwem których wzbijał się duch narodu pod same stopy Tronu Pańskiego. Były rzeczywiście chorągwie takie łuną tęczową pod niebo błękitne. Odezwały się wręście dzwonki, zwiastujące zbliżenie Ofjary Przenajświętszj. Za wywyższeniem Hostji Przenajświętszj, upokarzał się lud cały i uderzał czołem o ziemię a jęk przeogromny, jakby westchnienie żalu i miłości, zdawał się przytłumiać płacz i łkania. I znowu wywyższenie drugie Kielicha Przenajświętszego, a raz drugi, jak kłosa pszeniczne łanu podolskiego falą jedną, zniżały się głowy wszystkie i unosił się w górę poryw boleści wewnętrznej z zanurzeniem skroni w prochu nicości.

A kazanie, takie kazanie polskie, odpustowe, tam pod drzewem starém, natchnione prawdziwém słowém Bożém i uderzające w serca narodu głosami gromkimi, ileż ono wywoływało łez rzęsimych i pobudzało rozrzewnień. Należało to niejako do warunku wykorzystania łask boskich z odpustu wielkiego, aby ludziska wyplakali wtedy wszystkie skargi swoje w obliczu Jezusa Chrystusa i zanosili się od wzruszenia świętego. Czasami za zdaniami kaznodzieji ryk ludzki szarpał piersiami, aż mowca przerywać musiał, bo wszyscy drgali wśród roztkliwienia. Nastrój takiego kazania odpustowego właściwie nie da się z niczém porównać. Jest to coś jakby z mocy Ducha Świętego, spadającego na rzesze błogosławieństwem uczucia i słowa.

Aż przyszło zakończenie Mszy świętej i zaraz Błogosławieństwo, poczem kapłan z Monstrancją zeszedł ze stopni i stanął pod Białodachem.

Już Procesja ruszyła w okół kościoła!...

Pochód długi licznych chorągwi, to z obrazami na drążkach poprzecznych, to sztandarowych, wolno spadających, pochód długi ludzi ze świecami jarzącymi, pochód z ołtarzykami nośnymi i posągami świętymi, nareszcie pochód duchowieństwa, poprzedzającego Białodach (Baldachim), wszystko to razem czyniło wielkie *Koło* święte, okrążające pierścieniem kościół cały, drgający w murach od bicia dzwonów. Ojciec mój prowadził księdza pod ramię jedno, aptekarz Świdorski z drugiej strony trzymał go za ramię drugie. Obydwaj w stroju polskim, nie dla parady samój, lecz w stroju jakby codziennym, tylko bogatszym i kosztowniejszym, bo do końca życia obydwaj nie zrzucali ani żupana ani bótów. Cztery drążki Białodachu nieśli mieszczanie i kmiecie,

również w strojach narodowych, które żyły pełnią wzorów i rozinaitością kolorów.

Aż się uciszyło wszystko i spokój zamieszkał na Bożorqli kościoła.

O! jakaż to szkoda, że znikły już z widowni polskiej te chorągwie nasze i owe stroje, wołające głosem wielkim: *»nie puść ziemi!«*

Jakby na przekór, tracimy wszystko raz po raz i nie rozumiemy już wcale prawdy, iż jedna dla Polaka tylko rzecz straszną bywa: oto wstyd *utraty i upadku!*

W domku naszym rodzinnym zaroilo się od gości, którymi zajaśniały pokoje, bo wszyscy w szatach odświętnych!... Brakowało tylko wtedy gospodarza samego, który nie mógł nie brać udziału w biesiadzie odpustowej na probostwie. Tam zastawiony stół uroczysty gromadził wszystkich z parafji, aby przypomniła się raz jeszcze prawdziwa *uczta miłości, uczta przyjacielska*. Odlączmy wszelkie oznaki, przechylające się na stronę używania zmysłowego, oddalmy wszystkie znamiona, przeznaczone powierzchownie dla pokrzepienia ciała samego, a gdy spotęgujemy podniety zacne i duchowe dla zobrazowania skłonności narodowych, iżby gościnę w imię Boga podnieść aż do godności braterstwa i ludzkości, wtedy dopiero zdołamy zrozumieć, skąd początek swój brały te *polskie objady odpustowe?* Dla duszy polskiej, wedle Posłannictwa naszego, narodowego i posilenia ciała i pokrzepienia ducha, to wymagania raczej ku zachwytem Nieba zmierzające, jak dla zaspokojenia głodu cielesnego i pragnienia gardłowego.

Kiedy już starszy byłem, zaszczytał mnie ksiądz proboszcz Sofczak zaproszeniem dodatkowém i dlatego później z ojcem brałem udział w święcie owém na probostwie. Dla mnie wszystko to było szkołą znowu pełną treści z bujności życia.

Uczyliśmy się, my młodzi, tak na księdze świata i wchłanialiśmy takie głosy mądrości Boga dla prostowania się ku górze i ku błękitom.

*

*

*

Zapanowało u nas w Polsce dążenie od dawna, ażeby kraj nasz cały, naród wszystek, pojęcia nasze i obyczaje upodobnić koniecznie do Europy zachodniej. Pod godłem cywilizacji rozumieją u nas zatarcie wszelkich śladów odrębności i swojskości, ponieważ są one barbarzyństwem, a urobiono u nas, nie wiadomo dlaczego przekonanie dziwne, jakoby Polska żyła jedynie tylko dla naśladowania *»kultury zachodniej«* a jak teraz przedewszystkiem *»amerykanizmu«*. Dzieje atoli polskie nie mogą być nigdy dokładnemi, skoro one biorą pod uwagę jedynie same względy polityczne, obce, a nie starają się bynajmniej o poznanie pierwiastków czysto rodzimych, właśnie wyróżniających nas od zachodu. Grzechem to największym Polski, iż sama siebie nie chce ani nigdy nie może zgłębić, bo ma oczy otwarte jedynie na sprawy dalekie. Tego co bliskie Polak nie dojrzy nigdy!... Polacy cierpią na dalekowidztwo, zaś krótkowidztwo zasłania im Ojczyznę własną.

Są piękności ziemi naszej godne pochwały i radości — lecz rodacy nasi najczęściej niepotrzebnie gonią po świecie a ustroni własnych nie chcą pokochać.

Ziemią taką to Zaleszczyckie całe, gdzie drżmie jar przykładny dla Podola, jeden z najciekawszych i najpiękniejszych jakie znamy. Czerwonogród, sławny i starożytny, jest ukryty w wąwozie, który wydrążyła rzeka *Dżuryn*, wpadająca stąd niedaleko do Dniestru. Okrąża ona jakby wyspę, bo wraca w to samo miejsce, skąd poczyną bieg swój kolisty po przejściu wodospadu ciekawego. Na tej wyspie wzgórze, jakby sztuczne, dźwiga zamek z kamienia czerwonego wzniesiony w czasach jeszcze przed Chryścijaństwem w Polsce. O Czerwonogrodzie wspominają zapiski dziejowe z czasów Mieczysława I-go i Bolesława Chrobrego. Nikt u nas uwierzyć w to nie może, bo nauka polska ma pęta narzucone, z jakich uwolnić się nie może. Kątem, Czerwonogrodem zwany, cudnym jest w rzeczy samej a co najważniejsze, niezmiernie drogi dla nas, dla rodu naszego, bo tu mieszkał dziadek Karol i babka Franciszka i tu młodość swoją spędziła matka nasza. Pozostawiła matka nasza pamiątniczek bardzo drogi, pisany właśnie w Czerwonogrodzie i w Jazłowcu. Pod dniem 20 stycznia 1843 r. wspomina ona, że rodzice mieszkają w domu ładnym, gdzie są pokoje duże i jasne. *„Jest gdzie tańczyć a jaki widok stąd! to aż miło!“*

I to prawda! mało takich widoków w Polsce, jak w Czerwonogrodzie, z każdego miejsca gdzie kto stanie!... Wądół ogromny, lasy, rzeka i góra, potem wodospad, zamek, kościół i dworki, to wszystko składa się na obraz zaprawdę piękny. Dwie wieże zamku uchodzą za część najstarszą, która ulegała przemianom wielokrotnym. Zniszczenia w czasie ostatniej wojny światowej, a najgorsze z czasów ruchawki ukraińskiej... okropne!...

W tymto Czerwonogrodzie, gdzie dziadkowie Karolowie mieszkali przeszło 9. lat a matka nasza Wiktorja spędziła najmiłsze chwile pełne zachwyków i czarów najpodnioslejszych — odbywał się rok rocznie odpust *»solenny«*, jeden z największych w okolicy. Dzień 2-go lipca to Święto Matki Boskiej Jagodnej, tak kochane w Polsce, opromienione wiarą żywą, która dodawała tyle uroku całemu nastrojowi pobożnemu. Co to była za uroczystość dla ziemi Czerwonogrodzkiej, ten dzień cały odpustu 2 lipca! Zjazd ludzi z daleka i z bliska nieprzeliczony! Ruch i gwar całkiem niezwykły!... Dziady z lirami skrzypiącemi, jakby piewcy z czasów Homera, otoczeni słuchaczami, co kołem stawali i poddawali się wrażeniom wśród łez czułych. Wszędzie stroje przepiękne a bujne, barwiste a schludne. Tu powóz, czwórkonny obkurzony, bo widać ze stron dalekich, tam wozy jaskrawo malowane z końmi przybranymi w zieleń i wstążki kolorowe, ba nawet w paciorki jaskrawe. Dzwony często się odzywające i wystrzały mōżdierzowe napępiały powietrze rozgłosem wielkim, co czynił dzień pamiętnym, który wpajał się w życie narodu.

Wspominaliśmy sobie często, jak to my z niecierpliwością czekali na to święto w Czerwonogrodzie i jak dzień przedtęm czyniono u nas w domu przygotowania, bo to wycieczka na dzień cały. Od nas z Tłustego niedaleko, więc niekiedy i piechotą dom cały się zabierał!... Wychodziliśmy raniutko, zatęm wstawać wtedy trzeba było przed wschodem słońca. Niezapomniane te wschody słońca, odbijającego się we wodzie stawu czystego. Idąc drogami polnemi lub miedzami nuciłiśmy głośnie Godzinki a śpiew nasz często mieszał się z głosami drużyn innych, które wszystkie schodziły się.

jakby promienie w ognisku. Po drogach i gościńcach ciągnęły często procesje o chorągwiach różnobarwnych i licznych, trzepocących się poszumnie za powiewem wiatru. Obraz to cudny te rzesze z pieśniami na ustach na tle zieleni lasów i łąnów, prawie dojrzewających już gdzieś. Czasami i dzwonki na przedzie rozbrzmiewały!... A wszystko ciągnęło poważnie i majestatycznie do tego grodu, którego z daleka z nikąd obaczyć nie można, albowiem jest on w jarze!...

Dopiero gdy ktoś stanie na brzegu pochyłości spadającej ku Dżurynowi, zobaczy kościół i zamek w pośród zieleni. Obraz zachwycający istotnie!...

W kościele wizerunek Matki Boskiej Cudownej, umiłowany i wielce czczony z wiarą najżarliwszą. To też nabożeństwa, wśród tłumów modlących się gorąco, jakby do niebios ulatujące. Śpiew z piersi jednej ludu przepełniał wnętrze kościoła wołaniem, co porywało duszę i serce. A kiedy ksiądz podniósł na sumie Hostję Przenajświętszą do góry a organy zahuczały basem głuchym i uderzyły koły a bębny, wtedy i tutaj jęk jeden wyrwał się z piersi upokorzonych aż ku ziemi, z westchnieniem: »O! Boże! Boże!« — I raz drugi to się powtarzało za podniesieniem Kielicha i znowu wołanie biło o sklepienia wysokie. Potém błogosławieństwo od ołtarza i pochód okolny czyli procesja dookoła smętarza kościelnego! Nakoniec Anioł Pański przy organach smętny i rzewny — znowu jednym głosem ludu zamykający nabożeństwo południowe. Nieszpory zaś, jakżeż one kołły duszę ludu psalmami porywającymi, które wpajały w pamięć tyle mądrości odwiecznych i niewzruszonych. Nikt nie nucił ich z książki, bo wszyscy umieli całkiem

na pamięć: i młodzi i starzy i biedni i bogaci... Dopiero po niesporach wszyscy się rozchodzili i wszyscy rozjeżdżali!... Dzionek calutki na modlitwie i na śpiewach pobożnych, cóż to za wzniosła służba Boża. Przerwę stanowiła godzina spoczynku, w południe, kiedy spożywaliśmy objad z koszyczków przyniesionych. Wstęp był wolny do parku zamkowego, więc tam zawsze zasiadaliśmy w cieniu drzew bardzo starych, pod bokiem tego lwa starożytnego, z kamienia odkótego, który ocalał wśród wszystkich zniszczeń i rabunków i który po dziś dzień duma tam zapomniany i niezrozumiany.

Przed niesporami musieliśmy zawsze udać się do wnętrza zamku. Księcia Ponńskiego nigdy prawie w domu nie było, zatem zwiedzanie pokoi i urządzeń było dozwolone. Przechodziliśmy ze świetlicy do świetlicy, z pokoi jednych do pokoi drugich, a wszędzie uderzały o oczy nasze bogactwa starożytne, istotnie żywcem pochodzące jeszcze z czasów polskich. Szafy gdańskie, stoły i stoliki przemysłne, kanapy ogromne o zapleckach w esownice strojnych, krzesła z oparciami nabijanymi brązem, zegary przeróżne, obrazy na płótnie, kobierce wspaniałe i wazony ogromne, a zdobne, to wszystko, tchnące życiem przeszłości i dla życia przyszłości bogactwem przekazane, działało na umysły młode niezmiernie pouczająco. Wszędzie pełno drobiazgów, tu książki w oprawach suto złożonych, tam naczynia szklane rżnięte i kolorami nasycane, ówdzie okazy rzeźby ze spiżu, a opodal szafka ośklona etażerką zwana, w języku staropolskim *służbiczka*, pełniona szczelnie świecidełkami przenajrozmaitszemi. Na nas dzieci, czyniło to wrażenie ogromnie budujące i podsycal,

wyobrażnię, która rzecz można życie całe karmiła się bezwiednie strawą wspomnień podobnych.

Powrót do domu bywał już o zachodzie słońca.

Dzień odpustu Czerwonogrodzkiego wypełniał potem tygodnie całe przypomnieniami najrozmaitszemi, które zapalały ludzi, aż się oczy powiększały.

Bo też była to *szkoła życiowa* doskonała, jakiej drugiej nie znamy na świecie: w kościele i koło kościoła, dookoła zamku i w zamku samym!... Czytanie z księgi świata i książki życia bezpośrednio i serdecznie. Czerpanie nauki z otoczenia swojskiego i zrozumiałego najlepiej drogą odczucia serdecznego. Dzięki Bogu, mimo dążności najusilniejszych do wynarodowienia Polski, ogromnie wiele żyło jeszcze wówczas swojskości w całym życiu naszym domowem i społecznem.

Nauka, płynąca z dnia tak spędzonego na odpuscie polskim, była owocną i wypełniającą treść starań naszych!.. Żadna szkoła dzisiejsza nie może dać tyle pożytków drogą naśladownictw obcych, ile ich przynosiła taka mądrość czerpana gorliwie ze środowiska życiowego, towarzyskiego, kościelnego i zamkowego.

To była *nauka* z gniazda rodzicielskiego i ojczystego wprost kształcąca potęgę gobra i prawdy, aby serce i sumienie żyło tylko głównie czynnikami ducha. Zasługą to Małopolski wschodniej a właściwie Podola z okolic Czerwonogrodu, że przechowało ono najdłużej a najsilniej poczucie tego gniazda z orlętami polskimi. Jadwiga z Łobzowa przykładem najlepszym i dowodem najsilniejszym, co znaczą środki wychowania dostarczane i czerpane wprost ze życia dla życia, a nie jak dzisiaj ze szkoły i książek

dla szkoły i książek. Czerwonogród, Buczacz, Jazłowiec, Chocim opodal, cóż to za ogniska siejące prawdziwe *przepaści słoneczne*, w których szukała zdrowia siła polska.

Właściwie to bez szkół przemądrze urządzonych i bez środków nadzwyczajnych, jakimi rozporządzają miasta nowo postępowe, wychowanie dawne, czerpiące życie prawie wyłącznie tylko ze światła przyrodzonego a boskiego, ło ileż było ono lepsze i zbawienniejsze dla Polski samój. Te zjazdy po jarmarkach polskich, te odpusty święte, owe przechadzki wśród łąnów o bogatym *»snopie podolskim«* i zwiedzania dworów polskich i zamków, jakżeż to one pokrzepiały pamięć i wyobraźnię pokoleń, że unosiła się ku górze moc żywotności i twórczości, stanowiąca istotę Ojczyzny Polaka.

* * *

Kiedy omawia się tutaj zwyczaje starodawne, uchodzące za szkołę narodu polskiego, jest to niepodobieństwem, abyśmy w tém miejscu nie położyli nacisku na zjazdy do-
roczne *Ś-to Jańskie*, najgłośniejsze czasu swojego dla Podola całego. W czasie Sobótek, w dniach poświęconych czci Ś-go Jana Chrzciciela, przybywało do wsi *Ułaszkwieć* nad Seretem tak wiele kupców z towarami i kupujących z pieniędzmi, że kącik ów nagle przemieniał się na miasto wielobarwne, ruchliwe, pełne krzyku i zgiełku. Nie z przesadą to się mówi, ale z prawdą szczerą, że jarmarki do-
roczne Ułaszkwieckie to zabytki z dawnych czasów przedchrześcijańskich, kiedy *Sobótki* wynikały z czci słońca, którego obrazem był *Pan* zwany Janem.

Jarmarki Ułaszkwieckie nie były tak rozgłośne dopiero od czasów niedawnych — przeciwnie siła ich naj-

potężniejsza to moc żywo podaniowa z głębi wieków nieprzeliczonych, kiedy to *Pan-Jan*, jako znak Światowida dawał tło święta kościelnego pod święto narodowe. W chrześcijaństwie na miejsce Pana-Jana wszedł Ś - ty Jan Chrzciel.

Był to okres dla Podola najdogodniejszy, bo przed żniwami. Z bliska i z daleka ściągały się rzesze narodów, których stroje najrozmaitsze stwarzały obraz godny podziwu. Nie było jeszcze wtedy takiej jednostajności, jaka dziś zalała miasta Francji, Niemiec, Włoch i Turcji. Wtedy nie tylko kraj każdy, ale kraina nawet najmniejsza, ziemia każda, powiat każdy i wieś każda — wszystko miało odrębne swoje ubiory tak co do barw, jak i krojów. W Ułaszkwach można było się napatrzeć na te krasy i różności. Ile tam strojów było nie tylko naszych własnych z Polski ale także ze wschodu, tego wymienić nawet nie można. Każdy kupiec i sklep każdy to odcień świata osobnego. A towary, jedwabie, złotogłowa, płótna, chusty i szale, płaszcze, sukna, sprzęty, zegary, kosztowności i szkło, porcelana i złoto, kamienie drogie, owoce, pomarańcze, chorągwie i budy z popisami, muzyki, bębny, kotły, konie, woły, powozy i wózki, garnki, buty i trzewiki, kapelusze i koronki, obrazy święte i obrazy świeckie, pasy rozmaite, uprząże cenne, wyroby rymarskie i cukiernie, jadłodajnie i katarynki głośno grające, namioty różnobarwne, okazy bednarstwa, futra i sukmany — to wszystko wypełniało nagle sklepy mnogie przez rok pustką stojące, aby po dwóch tygodniach znowu na miejscu wrzawy i życia zapanaowała pustka i milczenie.

Przez kilka tygodni Tłuste wrzało ruchem nadzwyczajnym, gdy najpierw gośćmi ze stron wszystkich

śpieszyły bryki ogromne wyladowane pięt rzasto i budkami białemi nakryte, a potem gdy znowu się rozjeżdżały i dążyły do Tarnopola na odpust Ś-go Piotra i Pawła. Pamiętne to były owe głosy dzwonek dźwięcznych, które po szynach końskich zawieszone, napełniały miasteczko całe gędbą osobiwą, dzień i noc trwającą, grając tonami spiżowymi raz ciszej, raz głośniej.

Nikt dzisiaj nie może sobie wyobrazić, co to za wrażenia potężne zostawiły dnie spędzone na jarmarku Ułaskowieckim. Miesiąc cały przygotowywano się w okolicy wielkiej a rok cały opowiadano sobie potem rozmaite gawędki, to z wielkości i bogactwa, to z przypadków, lub z dowcipów Ułaskowieckich. Mówiono, że odwiedziny po dworach polskich wszystkich miały głównie na celu przez miesiąc długie oglądanie tego wszystkiego, co sobie kupili ci i owi, czém wzbogacili mieszkanie swoje tamci i owacy. Jakim to czynnikiem rozbudzającym życie były te stosunki między szlachtą okoliczną, gdy z miłości a życzliwości cieszone się wzajemnie bogactwami nabytymi, jakby one rzeczywiście należały do jednej rodziny wspólnej, do tej *spółnoty* jeszcze przeddziejowej. Nic zazdrości, nic chciwości — a pełno wesela i szczęśliwości na widok dóbr coraz się pomnażających. Jakiemi to ogniwami łańcucha serdecznego wiązało się życie towarzyskie i społeczne, gdy z dworu do dworu śpieszono przed jarmarkiem dla porozumienia się wspólnego, aby razem zwiedzić Ułaskowce, a potem gdy wśród odwiedzin wzajemnych podziwiano te przedmioty nabyte. Kwitła mimowoli łączność i siła braterstwa ciągłego, o której wprawdzie nie mówiono, ale która stanowiła podwalinę stanu szlacheckiego.

W domu naszym jest pamiątka drobna, oto zegarek sprężynowy, który wisiał w Tłustém nad łóżkiem ojca, a teraz chodzi nad łóżkiem siostry Wandy w Krakowie.

Tatko nasz kupił go w Ułaskowcach. Był to zegar doskonały — tyle lat służbę pełnił i pełni!

Siostra Wańdzia opowiadała, że pamięta, jak na jednym takim jarmarku Mama nasza kupiła piękny słoik na konfitury za 60 krajcarów, a gdy już po wszystkich sprawunkach chciała wracać do domu, wtedy Władzio Żmudziński, (brat rodzony zakonnicy Matyldy) zaczyna prosić, aby Mama pozwoliła Jadzi i Wańdzi usiąść na powoziku jego własnym, ponieważ kupił konie nowe, bardzo ładne, więc chce się popisać. Władzio tak powiada do Mamy naszej: »Niech Ciocia jedzie naprzód a my dogonimy i przepędzimy. — Będziemy prędzój w Tłustém jak Ciocia«.

Mama się zgodziła i wsiadła z ojcem na wóz chłopski, bo jeździł z nami zawsze Antoni Godecki, gospodarz Tłustecki. Przyjechali do domu i oglądają się, niema panicza Władzia z panienkami! Mama z Tatem czekała całą godzinę i drugą — zbliża się północ, nadchodzi brzask dnia, a nie widać ich i nie widać. Cóż się stało?...

Mama zaczęła rozpaczać i nie mogła odżałować, że zgodziła się na pozostawienie Wańdzi i Jadzi. Mówiła do Ojca: »Czemuż to ja prędzój nie powróciła do domu? Po co ja jeszcze pozostałam dla kupna tego słoika nieśczęsnego?...«

Już odezwał się dzwon kościelny na Anioł Pański, potem dzwon na mszę wołający, wreszcie sygnaturka się słyszeć dała, a Matka strapiona idzie do kościoła błagać Boga o pociechę. W chwili téj jedzie powozik Władzia.

zaprzężony w konie chłopskie. Wańdzia i Jadzia zeskakują nagle i wołają: »konie Władzia, nowo kupione, ani rusz nie chciały kroku postąpić — nie było rady, musieliśmy nająć konie chłopskie«.

Matka zawsze potem opowiadała, że pamiętny był ów słoik Ułaskowiecki! Tak! pamiętny bardzo dla domku, dla lepianki Tłusteckiej, dla gniazdka naszego rodzinnego. Ale jest jeszcze powód inny, który podnosi znaczenie jego. Pamiętam dobrze, jak matka lub siostra Wanda wynosiła go zawsze na tacy srebrnej, razem ze szklankami i dzbankiem wody do gości na przewitanie. Był to przepiękny zwyczaj podolski, jak już wspominaliśmy, iżby gości zaraz przy progu witać wodą kryniczną, wodą jakby od Boga daną na pokrzepienie i ducha i ciała. A było tam w Tłustem dla nas źródółko pod probostwem wielce drogie! Wytryskiwała woda obfita z pod skały — woda doskonała i zdrowa, będąca lekarstwem najlepszym i pokrzepieniem najmocniejszym. Często bardzo my dzieci chodziliśmy tam do źródółka z dzbanuszkami! Poczęstowanie wodą taką kryniczną objawiało zwyczaj naprawdę obrzędowy, przypominający przedojców i przeddziadów naszych, którzy rozpoczynali wszystko od Boga i kończyli wszystko Bogiem. Gdy na Podolu upały w lecie panują, jakby południowe, jakimże to pożądanym jest szklanka wody przeczystej, dla zobrazowania źródła żywota, Jezusa Chrystusa!

U nas w skromnym domku Tłusteckim panował stale zwyczaj stary uraczania gości wodą z konfiturami, zaraz na powitanie i stanowił rys znamieny gościnności iście lęchickiej. Drogim był dlatego ten słoik Ułaskowiecki!..

Sługa kochana a przedobra, Jaryna, pamiętna od lat najmłodszych moich, tak była już przyzwyczajoną, że gdy tylko dwa pieski (Raps i Mira) odezwały się na podwórzu, wnet wyglądała i gdy zauważyła gości, rychło śpieszyła z konewką do źródelka.

○! jakaż to była zbawienna ta woda ze źródelka!

Dla nas dzieci ponadewszystko zresztą niezatarte w pamięci pozostawały obrazy z jarmarków Ułaskowieckich dlatego, ponieważ w tym czasie przyjeżdżał do nas pięknymi końmi swoimi nasz stryj Justyn ze Śniatyna. Zawsze po polsku ubrany, zawsze wesoły i żartujący a dowcipkujący, wprowadzał w pokoiki domostwa naszego nastrój niezmiernie miły a kochany. Najczęściej to ze Stryjem i końmi jego śpieszyliśmy do Ułaskowiec, wstępując często po drodze do klasztoru i grotty OO. Bazyljanów. Same te jazdy wpośród łąnów bujnych, falujących jak morze dalekie, nastrecały tyle wrażeń, że karmiły one nas jak najposilniej z księgi przyrody i życia. W Ułaskowcach stryj Justyn rozplýwał się w serdeczności swojej, albowiem tam spotykał co krok kogoś znajomego i kogoś krewnego, a z każdym od serca poweselił się dobrodusznie i każdego ujął szczérością swoją niezwykłą. Dla nas dzieci była to szkoła życiowa niezrównana. ○! uczyła ona więcej pojmowania jak wszystkie podręczniki dzisiejsze, nagradzane od władz za tłumaczenia z języków obcych...

Owe zbiorowiska tłumne pod znakiem uroczystości, jakby święta narodowego w Ułaskowcach, miały w sobie coś z powagi wieków minionych i obrazowo okazywały siłę związku i jedności. Były to zaprawdę *okazowania* spo-

łeczne i towarzyskie. Szkoda nieoceniona, iż znikły i to zdaje się niepowrotnie!...

I wszystkie razem odpusty mniejsze i wszystkie większe — oraz wszystkie jarmarki poboczne razem z głównym jarmarkiem Ułaskowieckim, razem to zarządzenia doskonale w ciągu wieków dostosowane do potrzeb narodu i do znamion ducha jego. Szkół nie było w znaczeniu dzisiejszem, lecz były owe gromadzenia społeczne, które przyuczały starych i młodych, biednych i bogatych do potrzeb a wymagań życiowych. Nauka samowiednie szła ze życia do życia. Był dobrobyt i było zadowolenie z koła potrzeb bardzo niewielkiego. Nie zdaje się, ale istotnie lepiej było, ponieważ stosunki wszystkie opierały się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, na sercu i na sumieniu.

Otóż to jest dziedzina swojskości, w ramach której obracało się i rozwijało życie nasze rodzinne w téj lepiance arcyskromnej tam w Tłustém.

Szkółka tłustecka zaczynała dopiero wprowadzać naukę wedle postanowień nowo-austryjackich.

* * *

Przedstawiony obraz powyższy służyć może za wskazówkę ogólną, jakie to panowały warunki w połowie wieku XIX. na Podolu Galicyjskiem, które było rozdzielone Zbruczem od Podola Kijowskiego. Wrogowie Polski byli najpewniejsi, że skoro zaprowadzą urzędy niemieckie i szkoły niemieckie, już za jedném pióra pociągnięciem ziemia i naród będą niemieckie.

Atoli wszystkie te okoliczności, jakie żywcem odmalowaliśmy wedle prawdy rzeczywistej, świadczą przecie do-

wodnie, ile żywotności, jeszcze głęboko zakorzenionej tkwiło tam na Podolu w ziemi Czerwonogrodzkiej, szczególnie w czasach powstań ostatnich.

Zasada święta Narodowości Polskiej, jak wówczas mówiono, żyła piersią pełną. Choć gnębienia srogie skazywały młodzieńców na twierdzę *Kufszteinu* (Okowoż-tyn) — i choć zakazywano wszystkiego, coby zbrodnię »ową polskość« przypominały, mimo to ta właśnie *zasada święta Narodowości Polskiej* kierowała krokami ludzi i przyświecała im, jak gwiazda wybawienia.

Kiedy dzieła Mickiewicza, drukowane w Paryżu lub Lipsku, ukradkiem przedostawały się do kraju naszego, wtedy oczywiście książeczka jedna przechodziła jak relikwia z rąk do rąk, aby kto mógł przepisać ją sobie i takie *wiersze pisane* w zanadrzu nosił. Matka nasza Wiktorja przechowała w gniazdku Tłusteckiem odpis swój własny, ręką własną kręślony z dzieła: »*Konrad Wallenrod*«. Pamiątka ta, o której już wspominaliśmy, uchodzić może za okaz precenny, w jaki to sposób duch narodowy na Podolu pomagał sobie w czasie ciemnienia. Jest to zeszyt pisany tak pięknie i starannie, porządnie i ozdobnie, że pokolenia dzisiejsze zdumiewać mogą, jak to ludzie dawniejsi umieli posługiwać się *pismem ślachećnym*. Jeżeli prawdą to było, iż wedle pisma poznawano dawniej charaktery ludzkie, to pismo nadobne Matki naszój świadczy chyba o duszy nadzwyczajnie pięknej. Bazgrania zaś dzisiejsze, dające się koniecznie zastąpić pismem maszynowém, to chyba zwierciadło dokładne wyobrażeń poprzekręcanych, dziwacznych, niewyraźnych i wstecznych. Nie było nigdy pisma tak brzydkiego, jak pisanie nowoczesne. Nie było zaś listów piękniej pi-

sanych jak u nas w Polsce przed Rozbiorami i po Rozbiorach.

Konrad Wallenrod, ten ręką Matki pracowicie przepisany na Podolu, odgrywał rolę *szczerbca* duchowego, który się przebijał wpośród ciemństwa wrogów jak miecz anielski szczerbcem Bolesława Chrobrego będący, co się ostrzył o bramę *Kijowa i Kremlina*. O! jakaż to relikwia precenna dla rodu naszego i dla narodu ten Konrad Wallenrod, pisany a wędrujący od dworu do dworu. Iskra płomienia jego zapalała serca rodaków niewiedomie, że gorzało naczynie duchowne a wybrane miłością o tyle mocniejszą, o ile ukrytą.

Matka nasza, ta dusza przewielka a polska, umiała dzieci swoje wychować i wyuczyć tak, że z grona ich zabłyszczała taka *Jadwiga z Łobzowa*, która rzuciła posiew, mający wydać przewspaniałe *snopy podolskie*. Matka nasza nie poprzestawała atoli na tém, bo podejmowała się wykształcenia panienek z dworów okolicznych. Prawda to, iż praca ta w linii najpierwszej wspomagała dochody domowe, ogromnie szczupłe — a jednak nie wolno nie zaznaczyć, że przyświecała jój wpierw górną gwiazdą płomienną, która pouczała o *zasadzie świętej Narodowości Polskiej*. Rodzice zawsze mieli na oku dobro społeczne i krajowe przedewszystkiém. Ojciec, jako więzień stanu z Kufsteinu (Okowoż-tynu) umiał załagać stanowisko takie, aby nie drażnić, i nie wyciągać wilka-Austrji, a równocześnie służyć Ojczyźnie-Matce. Dość powiedzieć, że ojciec stanął na czele przygotowań zbrojnych do powstania 1863 r., a nawet osiągnął mianowanie na Naczelnika Powiatu Uścieczkowskiego a mimo to Wiedeń nic o tém nie wiedział. Kartka

mianowania ze Rządu Narodowego z pieczęcią cudem ocalała!

Mianowanie to brzmi:

»Mianuję niniejszym ob. Marcelęgo Zubrzyckiego Naczelnikiem miasta Uściczka. Dnia 31-go grudnia 1863«.

Pieczęć okrągła z napisem w okolu: Rząd Narodowy, Naczelnik Okręgu: Tarnopolskiego. (Orzeł — Pogoń i Anioł).

Po nocach często powstańcy dobijali się do naszego gniazda rodzinnego — szukali przytułku i zabierali czamary powstańcze i broń ukrytą. A wróg niczego nie wyszedził...

Praca dla miłości Ojczyzny wrzała!...

Bo była siła ducha z zasady świętej dla Dobra Narodowego i ona dawała przezorność a roztropność!... Ojciec do końca życia myślał i czuł i nosił się po polsku jako Polak prawy — a nikt nie podejrzewał go o niewierność w służbie dla rządu Monarchji.

Prawda to nie do zaprzeczenia, że w Polsce upadającej wedle słów księdza Marka, karmelity, »ludzie niektórzy usadzili się, aby znękać cierpliwość i miłosierdzie Boskie i aby nauczyć narody inne, ile to trzeba grzechów, żeby aż ojczyznę zatracić?« — Niestety bywali i tacy, jak ten ślachcic z Poręby Murowanej (patrz wstecz str. 11), co to narażali cześć M. Boskiej na bluźnierstwa szatańskie. A jednak, a jednak... w takim zakątku Podolskim, w tém gniazdku rodzinném mieszkwały dusze zacne i wzniosłe, co to umiały i mogły zajaśnić cnotami i zasługami dla przekonania wszystkich, że Polska stała na stanie ślacheckim takim, jaki ocalał na Podolu w okolicy Czerwonogrodu. Postępowali tacy odwrotnie, aby wyrównywać upadki grzechowe i podnosić Ojczyznę do świętości Boskiej.

Wychowanie dzieci w gniazdku naszém i wykształcenie ich celem przysposobienia do życia, jest to wzór dla okazania przeszłości, na czém szkoła dla dzieci ma polegać? Nie na wprowadzaniu cudzoziemczyzny lecz na prostowaniu *serca i sumienia* wedle światła przyrodzonego, boskiego! Dla przykładu godzi się raz jeszcze wspomnąć o tém, że matka nas dzieci prowadziła od lat najmłodszych drogą cnoty i zasługi przy pomocy *dzienniczków*, to na celu mających, aby *sumienie i serce* nie tylko nie martwiały, lecz przeciwnie pobudzane były stale do czynności i czujności najwrażliwszej. Dziecko każde przyzwyczajało się codziennie do myśli skupiania i do rachunków z kroków swoich a to na siatce postępowania przez życie prawdziwe i ruchliwe, w związku z uroczystościami bądź kościelnymi, bądź narodowemi.

Sposobem takim pokolenie wzrastało i rozwijało się, jak roślina stale ku słońcu i ku jasności. To nie jest pół słówkiem z czczości wynikającym, lecz to prawda rzeczywista, że jak rozwój ciała i mięśni, zmysłów i skłonności czerpał soki korzeniami ziemi, tak rozkwit duszy i porów serca i sumienia prostował życie ku dobru wysokiemu za promieniami słońca. Wychowanie *czeladki Bożej* pod okiem rodziców naszych stawało się przykładem walki o *dobro* ciągle i wszędzie, iżby w ogrodzie uprawy duchowej nie znalazły u nas miejsca zarodki *zła* szkodliwego. Ta pamięć na krzewienie czynne *dobra* od maleńkości przygotowywała nas do pilnowania, aby po grzędach kwiatowych cnót naszych nie ostał się chwast żaden.

Żyło po kątach gniazdku naszego przekonanie zawsze górujące i w każdą krwi kroplę wnikaające, że *dobro* czło-

wieka to nie pieniądz i posiadanie dobytku ziemskiego, lecz *dobrém* najlepszym a najtrwalszym to współżycie w rodzinie i narodzie, aby Polak każdy stał się posłuszny nakazom Boga prawdziwego.

Bięda i niedostatek były u nas ciągle, bo życie pod zaborcą wrogim tak się składało już wtedy, że rasa ludzi goniąca właśnie li za groszem i dostatkiem wzbogacała się stale pod opieką rządu, aby widocznie na korzyść ich upadały warstwy narodu polskiego a przedewszystkiem ślachta. Bywały u nas w domu rodzicielskim przejścia bardzo smętne, kiedy matka raz przed świętém Narodzenia Bożego musiała aż sprzedać suknię, aby zaopatrzyć się w środki dla godziwego świąt odprawienia i utrzymania ich na wyżynie Dobra. Więc co się stało? ... Oto poświęcenie grosza dla celów boskości w słońcu Ducha, gdyż dobro Polaka objawia się jedynie potęgą serca i sumienia dla miłości społecznej.

Jakkolwiek przeto było niezamownie pod względem pieniężnym, to właśnie dlatego było zawsze w domu naszym bogato w znaczeniu duchowém. Miasteczko Tłuste przeobraziło się już do niepoznania, bo domy podcieniowe raz po raz wszystkie z czasem przeszły już na własność tych pajaków, co umiały ściągać i chwytac muchy trzepocące skrzydełkami, by je uśmiercić, mimo to od dobrobytu innowierców, popieranych ręką wrogów naszych, odbijała wyraziście głębia poczucia narodowego i jasność słoneczna polotów boskich po domach i dworach polskich.

Warto przypomnąć sobie to, co w czasie owym, zbliżającym się do Powstania 1863 r., żyło jeszcze w takiej pełni miłości i poświęcenia, o jakiej zaprawdę mało kto może mieć dziś wyobrażenie.

Polska cała jawnie wówczas to wyznawała, co Święty Mateusz orzekł: »A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało a duszy zabić nie mogą: lecz raczej bójcie się tego który może zatracić i duszę i ciało do piekła«. Wierzono jeszcze wówczas święcie i gorąco, że piekłem rzeczywistém to ciemność uczucia i myśli i że nieszczęściem Polaka najgorszém to pogrążenie serca jego i sumienia w otchłani nieświadomości i nocy ponurój. Polak ma być głosicielem *światła* i *ognia*!... Nic nie pomogą żadne nawoływania coraz to nowocześniejsze i coraz postępowwsze, jeżeli nie pozbędą się one grozy piekielnej z nienawiści płynącej. Dla Polski Odrodzenie i Zmartwychwstanie tylko w miłości bratniej i w słoneczności boskich cnót wszystkich razem. Nie doskonałość z ich posiadania oznacza Polaka, bo doskonałości na ziemi człowiek nigdy i nigdzie nie osiągnie, ale stałe i gorliwe dążenie serdeczne ku doskonałości już znamionuje Polaka. W dążeniu owém niech wróg jeden i każdy bierze ostatecznie ciało, jednak niech nie porywa się na *duszę*! Domek nasz rodzinny w Tłustém, ponad Dębną, z Dąbrowy świętej przedprzodków wypływającą, stał się bezwiednie *ostoją* dla ducha polskiego. Powstańcy tłumem znajdowali opiekę i ukrycie, a jednak... wróg niczego nie odkrył, choć przeprowadzał śledztwa, przewracając wszystko na opak i obrazy z za śkieł wyjmując.

My dzieci żywo widzieliśmy obrazy takie, które niebawem genjusz Grottgera miał uwiecznić przed Europą i światem. Chowaliśmy się pod łóżka, ponieważ straszyły nas po nocach te twarze w uzbrojeniu, idące na zabicie ciała i duszy. O! duszy nie daliśmy!...

Powstanie 1863. roku zapaliło w umysłach Polski światło Dnia Jasnego przeciw ciemnościom nocy ludzi z Europy złej i piekielnej.

Jeszcze raz przemówiło Posłannictwo nasze narodowe, lecz już go Europa nie zrozumiała. Zamiast pójść za głosem wieszczym Przewodnictwa Polskiego, osławiona kultura zachodnia z piekłem zła i nienawiści zdławiła polskość słoneczną.

Dziś Polska oczerniona i spotwarzona, za najdzikszy naród ogłoszona i sponiewierana, w oczach nauki europejskiej uchodzi za twór niegodny nawet uwagi. Bo ciemność złości i przewrotności nie może usunąć z oka bielma, na które nie działa słoneczność boska, przyrodzona, darem udzielona i natchnieniem świętym wołająca.

Posłannictwo Narodowe raz jeszcze uderzyło w trąby Jerychońskie 1863 roku. Było to uderzenie nowej jutrzni złoto-różanej na ludzi, co chcieli zabić i ciało i duszę. Kultura zachodnia teraz dobija duszę polską, ażeby z niej nic a nic już nie ocalało.

Wedle słów Mickiewicza Posłannictwo Polski jest dla Niej najdroższém dlatego, ponieważ nakazane i obwieszczone przez samą Opatrzność Boską. Kiedy *dobro* w obec zawziętości zła nie może już znaleźć ratunku w siłach ludzkich, musi koniecznie liczyć na pomoc niebiańską, a to drogą najcudowniejszą przez *Przemienienie święte*. Jest w postępowaniu takim potrzeba uświęcenia, której poddaje się chętnie Polak przy sposobności każdej. Żyje naprzykład po dzień dzisiejszy zamięłowanie ludu naszego do wycieczek zbiorowych ku miejscom cudownym i obrazom cudownym.

I tutaj objawia się miłość do uświęcenia uczuć najdroższych.

Tak i powstanie Styczniowe jeżeli myślało o wybawieniu Ojczyzny z niewoli, to przedewszystkiem dla chwały Boskiej, albowiem pięknie wołał sam Franc. Duchiniński: »Boże, daj nam siłę i wytrwałość dla wybawienia Ojczyzny naszej ziemskiej na Chwałę Twoją«. Przez poświęcenia bowiem i ofjary miała się stwierdzić *moc ducha*, nie uznającego żadnej przemocy zewnętrznej.

To téż na całe życie nasze wryły się w piersiach obrazy *powstańców*, w żupaniku siwym, przepasanym rzemieniem, w bótach fałdowanych i rogatywce.

Pamiętne to opowiadania drogiej siostry Wandy, gdy często wspominała, jak do nas, do Tłustego, przyjechał Longin Feigel, powstaniec młody, po przejściu kolei bardzo dotkliwych. Był to nasz brat cioteczny, ponieważ matka jego Longina z Zubrzyckich była siostrą rodzoną ojca naszego Marcelego. W czasach owych razu pewnego zawitał on do nas i opowiadał wiele rzeczy z życia wojennego. Jak byli ci powstańcy z poświęceniem oddani na Wolę Nieba i Przemienienia Boskiego, świadczy najlepiej pokonywanie trudów żołnierki i męczeństw. Longina przeznaczono na czatach w lesie, gdzie wypadło mu stanowisko wśród moczarów. W chwili ostatniej zabrakło czasu i sposobności, aby go zawiadomić o zmianie stanowiska, a że był bardzo sumiennym, więc trzy dni i trzy noce trwał w służbie. Głód dokuczał mu tak strasznie, że znalazłszy na polu trzy ziemniaki surowe, zjadł dwa, a 3-go już nie mógł pokąsać. Nabawił się gościa i życie całe cierpiał — ale duchem był jasny i świetlany. Bawiąc u nas mimo to śpiewał, sam

przygrywając sobie na fortepianie. Siostra po tylu, tylu latach jeszcze zapamiętała słowa kochane:

»Wiwat! wiwat nasz wódz nowy,
Nasz Czachowski piorunowy —
Z jego dłoni, dzielnej broni
Padnie podły — wróg!...«

Głosem męskim a poważnym uderzała pieśń ta o ściany bielone świelicy naszej i o sosrąb drewniany na stropie. A potem zaraz miłość ślachtetną głosił pieśnią:

»Dumko tęskna, dumko cicha
Ukraińskich stepów dziecię!
Na *Podole* nieś me życie,
Gdzie się anioł mój uśmiecha!

Po nad stępy, po nad wody,
Przez pustynie, lasy, pola —
Nad skalisty brzeg Smotrycza
Leć na cichy brzeg Podola!...

O! jakaż tu w słowach powyższych drga miłość wzniosła do anioła takiego, przed którym ułan polski, jak ojciec nasz, klękał z pokorą. A miłość ta skojarzona z Podolem naszym, szczerze polskiém, gdzie się chowała najpiękniejsza dumka ukraińska, równie sarmacka i starołęchicka!... O! uleciało to już daleko i obco... bo dziś z Ukrainy serdecznie polskiej, duch wrogi uczynił ziemię nową, nieznaną...

Do Podola tego wołał powstaniec Longin jako do własności ojczystej, a wołał jakby z modlitwą, bo i on w duszy swojej pieścił marzenia *boskości słonecznej*, wszak przed powstaniem wstąpił do seminarjum duchownego i za

rektora ks. Romana Zubrzyckiego, (stryja naszego) chodził już w sukni duchownej.

Choć po powstaniu porzucił myśli o stanie duchownym i przeniósł się na wydział lekarski, pomimo to pozostała w nim skłonność ku blaskom słonecznym za strzałą w górę lecącą, ku poświęcie księżycy i promieniom gwiazd wysokich...

Z czasów tych samych pochodzi opowiadka siostry Wandy, która przechowała żywo w pamięci obraz Sokala, gdy jechała z matką naszą i dziadkiem Karolem do *Tartakowa*. Tak się złożyło, że po odpoczynku nocnym, mając jechać dalej, zapragnęli koniecznie pomodlić się przed obrazem M. Boskiej Cudownej, Sokalskiej. O świcie przeprawiali się promem przez Bug, gdy nagle odezwał się dzwon z wieży wysokości ten sam, który w przeddzień wieczór po *»Anioł Pański«* uderzał jękiem trzy razy po trzy w kręsy, na pamiątkę poginionych pod Warną. Cudnie i cudownie rozlewał się głos po wodzie i brzegach Bugu.

Przy mszy świętej w kościele OO. Bernardynów przy organach odezwały się piękne głosy męskie:

»Czy zginiemy! czy zwyciężym! Zawsze chwała nam!...«

Księża Bernardyni, wiecznie tacy narodowi i gościnni, po nabożeństwie zaprosili na śniadanie dziadzia, mamę i Wandzię. Tu dopiero dowiedziano się w refektarzu, że śpiewali na chórze przy organach dwaj powstańcy, choć biedni, ale jaśni płomiennością ducha. Ksiądz gwardjan zaprowadził dziadzia, mamę i siostrę na chór, aby przedstawić im bohaterów, co śpiewając tak pięknie, błagali o *Przemienienie* Pańskie, przez chwałę nie nam jako ludziom ciała, lecz przez chwałę dla jasności boskiej! — Ci ukryci

przed światem w czamarkach z pętlcami, o pasach skórzanych z klamrami, z orłem i lwem sarmackim, w bótach polskich i spinkach pod szyją, słusznie wołali u stóp Matki Boskiej, że wszystko to jedno »czy zwyciężym, czy zginie my, zawsze *Chwała Nam!*«, albowiem choć ciało ulegnie, duch nieśmiertelny zawsze chwalić będzie Opatrzność Boską.

Pod wrażeniem wielkiem wróciła siostra Wanda z matką i dziadkiem do *Stojanowa*.

A skąd wziął się *Stojanów*?...

Oto dziadek Karol Zubrzycki, po kądzieli, przeszedłszy koleje coraz smętniejsze, w warunkach coraz gorszych tracił i tracił, więc na ostatek przeniósł się do *Stojanowa* i tu był już nie na dzierżawie, ale rządcą w dobrach hrabstwa Olszewskich, koło Kamionki Strumiłłowój, którzy dwór Stojanowski wydzierzawili Lipskim. Dziadzio miał pod zarządem swoim lasy rozległe, skąd szły belki ogromne na maszty okrętowe na Kaźmirz aż do Gdańska. I dlaczegoż już wtedy nie pomagały nam Polakom wszystkie bogactwa ziemi i przyrody?... Bo gorzej jeszcze, jak w czasach Hanzy (czyli Wiązy!) opanowały nas pająki handlu i kupiectwa, więc nic nie mogło przysparzać dochodów i korzyści. Choć lasy same nastroczały okazy wyjątkowe, które trzeba było jako drzewo jedno kłaść na kilku wozach i za które kupcy brali tysiące wysokie, bo drzewa polskie były poszukiwane jako jedyne — mimo to upadały i upadały majątki. Niepowodzenia najrozmaitsze nie znajdowały pokrycia a klęski nieprzewidziane dobijały. To też dziadek, choć z linji majątniej niegdyś Zubrzyckich pochodzący, spokrewniony z rodem Zubrzyckich z Hostowa (Gościów koło Otynji), jakkolwiek przez Brygidę z Dąbrowskich, matkę żony swojej

Franciszki ze Żmudzińskich i po kądzieli należący do szlachty zamożnej, przecie stracił po czasie wszystko. Czego nie oddał na ołtarzu Ojczyzny w służbie powstańczej 1831 r., to pozostało mu jeszcze na trzymanie dzierżaw, o których wspominaliśmy. Jednak i dzierżawy owe nie przynosiły dochodu, nie dlatego, jakoby dziadek Karol nie umiał lub nie chciał gospodarować. Nie! Nieszczęście nasze narodowe polegało na tych warunkach, które nie dopuszczały w żaden sposób, aby Sławjanin i Polak mógł się wzbogacać*). Upadały wtedy wszystkie dwory na Podolu!

Zamieszkał więc dziadek jako rządcą w Stojanowie, w dworku, który zachował się w pamięci. Był on najciekawszym dlatego, ponieważ sposobem dawnym miał podcienia dookoła biegnące. Szkic rzutu poziomego dworku tego jest podany w dziele: »Polskie Budownictwo Drewniane« jako rys. 81. na str. 54.

Było to w r. 1864, kiedy na lato wyjechała matka nasza z Tłustego do rodziców swoich, do Stojanowa i wzięła wówczas ze sobą dzieci, zatem Wańdzię, Józia, Jadzię i mnie, wówczas 4 lata liczącego. Wedle opowieści siostry Wandzi w Stojanowie wtedy na Matkę Boską Siewną zachorowałem niebezpiecznie i na tyfus zapadłem. Stan był tak groźny, że nie było już nadziei żadnej. Gdy posłano raz pewnego konie po lekarza do Radziechowa, tenże rzekł do woźnicy: »Po co ty przyjeżdżasz, kiedy niema już nadziei!« Straci-

*) Karol Szajnocha w dziele *Jadwiga i Jagiełło* w rozdz. VIII. p. t. »Teutonizm« wykazał dokładnie, jak od wieków kupiectwo obce owaładnęło targi Sławjańskie dla nabywania towarów jak najtaniej.

łem mowę — wisiała nademną groźba utraty pamięci. Już było tak źle, że babcia Franciszka myślała o skończeniu życia. Wysłała w chwili ostatniej matkę naszą z Wańdzą i Józiem do cioci Agaci, która jako zameżna mieszkała koło dworu. Chmury ciężkie okryły ziemię ponurością. Matka sił już nie miała i ledwie iść mogła, więc w rozpacz uciekła się do modlitwy najgorętszej i oto ofiarowała mnie do Matki Boskiej w *Tartakowie*, czyniąc ślub pobożny, że złoży daninę na ołtarzu i sama podziękuje u stóp ołtarza. Po oddaleniu się matki naszej, wój Piotr a brat jej rodzony doradził owinąć mnie w prześcieradło mokre, aby tym okładem uczynić próbę uratowania ostatnią. Gdy Matka po kilku godzinach wracała od dworu ku domowi, chmury się rozstały i pogoda zajaśniała. Zastała mnie Matka śpiącego twardo. Po obfitych potach długich skutkiem okładu spadła gorączka. Niebawem objawiło się polepszenie.

Otóż tak się wybrała matka moja przez Sokal do Tartakowa.

Jak przez mgłę pamiętam pokój o ścianach białutkich z obrazem na płótnie Ś-go Jana Nep., któremu dano kłódkę na ustach. Wyniosła mnie służąca stara Maryna z pokoju stołowego, abym nie patrzył na osoby, zasiadujące przy stole do objadu. Gdy tylko zadzwoniono w talerze do jedzenia, ja zaraz krzychałem. Płakałem rzewnie a służąca nie mogąc mnie uspokoić, pokazywała kłódkę i mówiła, jak to Święty milczeć musiał. Lekarz zaś nakazał surowo, aby mnie jeść nie dawano, albowiem byłem jeszcze ciągle niemową. Siostra Wanda opowiadała, jak pamięta, kiedy raz w pokoju dano jeść pieskowi małemu, czarnemu a gdy ten zostawił kruszki, to ja na czworakach gonilem i ręce

wyciągałem, aby pozbierać te odrobiny. Taki byłem wygłodzony po tyfusie.

Matka nasza jeszcze z domku na Łobzowie (a właściwie Nowej Wsi Narodowej pod Krakowem) posłała ofjary do Matki Boskiej Tartakowskiej. Staruszką będąc pracowała nad obrusem do ołtarza i posłała go w ciągu dalszym, do życia końca dziękując za cud widoczny, za przemienienie w nieszczęściu.

Ta Matka Boska na obrazie starożytnym z rękami do modlitwy złożonemi, stojąca na księżycu — na obrazie, który był dawniej w zamku Tartakowskim — wysłuchiwała błagania i ulitowała się łaskawie.

Ten Stojanów zaważył bardzo w życiu mojem. Niby przez sen widzę te krużganki podcieniowe, po których Wańdzia z Józiem urządziła gonitwy a ja się śmiałem.

Ciocia Agacia, siostra Matki naszój, zaprzyjaźniła się bardzo z córką Lipskich i była gościem codziennym we dworze, gdzie poznała także brata księdza proboszcza, Franciszka Ziółkowskiego, za którego niebawem zamaż wyszła. Ciocia Agacia opowiadała, że w sam wieczór Św. Andrzeja, gdy wychodziła z domu rodziców do dworu, usłyszała, jak ktoś w kuchni zawołał do psa! »*A pójdiesz!*«... O! dobra to wróżba była i rzeczywiście wkrótce było wesele. Ciocia zamężna mieszkała we dworku koło probostwa, bo brat księdza prowadził gospodarstwo plebańskie.

Dziadzio ze Stojanowa często jeździł do Lwowa do hrabiny Olszewskiej. Gdy więc konie na dziedzińcu już czekały, wtedy brat nasz Józio błagał, aby mu pozwolono sięść na kozioł i bodaj do bramy pojechać. Wandzia siadała koło dziadzia. Razu jednego tak się zdarzyło jakoś, że na skrócie

wychyliwszy się, brat zleciał z kozła, choć woźnica *Ilko* ostrożnie bardzo powoził. Józio spadł, ale tak zgrabnie, że równo na czworakach stanął na ziemi i śmiał się do dziadzia. Od czasów tych pochodzi zamiłowanie jego nadzwyczajne do koni i dlatego to w Stojanowie począł już się modlić w Ojcie nasz: »konia naszego powszedniego daj nam dzisiaj!«

Tu w Stojanowie przysłuchiwałam się bajkom, które nam Maryna piastunka prawiała. Boże! co to były jeszcze za czasy, kiedy siłą źródła boskiego siały piękno żywe owe baje z ust niemal wszystkich, bo to nie tylko służąca opowiadała, gawędził i staruszek, bąbał i wędrowny, gadał i lirnik — pielgrzymujący. Gdzie tylko kto zasiadł, na ganku, na przyźbie, przy kominku lub w polu na mogile, wszędy i zawsze wśród ciszy odzywał się wnet głos gawędy.

»Pleć plecigo — byle długo!

Gadu, gadu — stary dziadu!

Bajże baję — po zwyczaj!u!

Wszędy, wszędy — snuj gawędy!«

Wiara i miłość przeczysta sprawiały to, że w obrazach baśni czytało się nauki jakby przypowieści, wśród których świeciły słońca:

»*Wstanę wam w duchu cele przeświete, słoneczne...*«

(Słowacki, Król Duch).

Całe dzieciństwo nasze upłynęło wśród nauk dziwnie uroczym bijących z pogwaru bajek tajemniczych.

Na Podolu tam w Tłustém miał ojciec przydzielone pole w kawale przy gościńcu Jazłowieckim w rogu od drogi do Różanówki prowadzącej, tuż przed figurą św. Jana.

Wiele chwil przyjemnych było ze żniwami i z orką na tym skrawku małym, lecz najmiłsze i najśodsze to te godziny, kiedy my zasłuchani w noc późną jesieni tuliliśmy się wzajemnie przy blasku ogniska i czekali na ziemniaki upieczone. Twarze wszystkie rozpalone czerwonością migały płomieniem, to buchającym to przygasającym. Oczy ze źrenicami powiększonymi. Bo też prawdą to było, że taką a może i piękniejszą mieli *»słoneczność w twarzy«* ci gęślarze starzy, o których nam powieści snowano. Jeszcze żywo w oczach miewaliśmy z odpustu każdego i z jarmarku każdego obrazy lirników, przypominających nam Piasta siermiężnego. Wtedy pod działaniem małowanek baśnianych lśniły nam po królewsku czary, bośmy widzieli rzeczywiście liry okóte w złoto i srebro, oprawione w korale żywe, wysadzone bórżtynem i perlicą świeące.

Rozmarzenie urastało, gdy iskry w niebo strzelały a słowa baśni zagrzewały zapalem. Skończyły się opowiadania i ognisko przygasło, ale prawdą to było, co Król Duch wołał: że *»złoto i w popiele świeci«*.

Gdyśmy już w pomroczu odbiegli od ogniska przygaszonego, jaśniało nam ciągle to złoto z popiołów i zasypialiśmy, a jeszcze pod powiekami było świetlano...

* * *

Kiedy raz cesarz Józef był we Lwowie, zapragnął odwiedzić gospodę sławną w Zboiskach a gdy tam się zjawił, wziął kulę kręgielną w rękę i strącił nią króla i siedm kręgli. To już wystarczyło, aby właściciel kazał uważać drobiazgi te za relikwje dla Niemców i dlatego dał je oprawić w srebro.

Tak umieją czcić i szanować pamiątki swoje ci, którzy chcieli Polaków oduczyć miłości największej po Bogu, to jest miłości Ojczyzny.

Wojsko austriackie wzięło od nas strój ułanów. Nakazano im z Czortkowa oddziałem całym podążyć do Tłustego. Dom nasz otoczyli w okół i nikogo z wnętrza nie wypuszczano, nawet służącej Jarynie nie pozwolili iść po wodę. W oknach i drzwiach pełno żołdactwa z bronią najezoną. Cały dom przetrząsali, szukając broni i papierów zakazanych, a narodowych. Obrazy z ram wyjmowano i badano pod światło. Nie wolno nawet było w dniu tym gotować w kuchni, aby się nikt nie ruszał; to też nikt nie chciał i nie mógł jeść aż do wieczora. Szablę ojca matka przechowała pod ziemią w piwnicy. Mianowanie Rządu Narodowego z Warszawy było zaszyte w sukni czarnej matki, tuż pod podszewką na wacie. Gdy śledczy zbliżył się do szafy i zaczął w niej wszystko przewracać i przetrząsać, ojciec aż ściérpnął cały. Dzień cały męka ta trwała. Dopiero pod wieczór wojsko odstąpiło, nic zgoła nie znalazłszy. Wszyscy znajomi, zaniepokojeni, dopiero późno w nocy przychodzili pytać się, co się stało? Najpierw ks. proboszcz, były katecheta ojca, nadbiegł i badał, potem poczmistrz Chądziński, aptekarz, lekarz i sąsiedzi. Odetchnęli wszyscy. Ale strach dał się we znaki. Siostra Jadwiga schowała się pod łóżko, lecz wojsko kazało ją wyciągnąć.

A mimo to przezorność i ostrożność sprawiały, że przez dom nasz przechodziło wiele powstańców, bo tu dostawali strój powstańczy i strzelby. Stryj Justyn ze Śniatyna pośredniczył we wszystkiém, a kierownikiem głównym był *Mieczysław Darowski*, główny uczestnik wielki powstania

listopadowego. Staraniem tego ostatniego dostał ojciec mianowanie na naczelnika powiatu: Uścieszko. Przywiózł je z powstańcami nocą stryj Justyn ze Śniatyna. Mieczysław Darowski był dla domu naszego bardzo życzliwy i często w gościnę przyjeżdżał także ze stryjem drugim, tym ks. kanonikiem i dziekanem Romanem.

Ojciec pracował w ukryciu bardzo gorliwie dla Ojczyzny. Zbiierał podatki na cele narodowe i na rzecz Powstania, miewał stosunki wielce rozległe, otrzymywał listy nawet z Anglii i kiedy matka z dziećmi była w Stojanowie utrzymywał w domu powstańców w habitach bernardyńskich.

Po przejściu zaburzeń w r. 1863 i 1864 nastąpiła potem cisza domowa, aby *Czeladka Boża* mogła rozwijać się, jak roślinki pod działaniem słońca. Zanim nie rozpędziła nas szkoła po świecie, tuliliśmy się my dzieci do gniazdka i wspólnie gromadzili przy pracy. Szczególnie wieczory jesienne i zimowe pozostawiły wspomnienia niezatarte, kiedy zasiadaliśmy dookoła stołu okrągłego i przy czytaniu głośnym wszyscy pracowali, jak kto chciał i mógł lub potrzebował. Pamiętam dobrze, jakim to zdarzeniem wielkim dla domu naszego i okolicy było zawieszenie lampy naftowej po nad stołem pokoju, w którym kwitła i praca i nauka. Dotychczas były w użyciu świece i lampa olejna. Przy tém wszakże oświetleniu słabém jakżeż cudne powstawały koronki i hafty, jakże gorliwie rozwijały się cnoty przy głosie śpiewów narodowych! Kołowrotek z wrzecionem o wartalce prędko się kręcący, jakżeż piękną nitkę cienką snuł i nawijał w tych czasach ogniska rodzinnego i spokoju domowego. Mądrość z Nieba, — wedle słów Skargi — spływała pod kierunkiem rodziców, głównie za ich nauką ustną, bo książka naówczas

była rzadkością, zwłaszcza na powiecie. Poczciwość i zacność mieszkaly w domku rodzinnym, a my dzieci wzrastaliśmy w ich prostocie. Siostry o warkoczach w koło na głowie splecionych były podobne do dziewcząt podolskich, kraśnych rumieńcem, okiem dużem i skromnością uderzających. Szczególnie piękne warkocze, czarne i bujne Helenki, najmłodszej z nas wszystkich, uchodziły za przystroj jakby królewski, bo gdy spuściła je przez plecy aż ku kolanom to wyglądała wspaniale. Jeszcze żyło zamiłowanie do warkoczów polskich, bujnych jak snop podolski.

Najmilsze to były godziny *szare*, kiedy Luńcia (Helenka) po oddzwonieniu na »*Anioł Pański*« często wyśpiewywała pieśni powstańcze a i gitara niekiedy cicho zadźwięczała. Gdy dobrze się już ściemniło, matka zdejmowała *krakuskę*, z włóczki wyrobioną, ze śkiełka lampy po nad stołem i zaświecała ją mówiąc: »*Pochwalony Jezus Chrystus*«. Na to my odpowiadali: »*Na wieki wieków*«. Chowała się jeszcze po domach polskich cześć ognia i światła pod gołdem Zbawiciela.

Szkoda to przewielka, że wszystko, co dawne dziś już całkiem zaginęło! »*Zawołajcie narzekalniczeki*«, wedle słów wieszcza Skargi i oplakujcie to wszystko, co Polska straciła i traci ciągle, bezustannie. Serce się krwawi na myśl, jak duch narodu odbiegł dziś już daleko od tych cnót cichych a zamkniętych w dworkach, aby poddać się jak najskwapliwiej próżności zatrutej oddziaływaniami z kultury zachodniej, od której bierzemy stale tylko to, co najgorsze a o *dobrém* ani nie wiemy ani nie myślimy.

Jedno podnieść można, że czasy prostoty naszej i życia, zadowalniającego się kołem potrzeb najmniejszym, na tle

praw tylko boskich i przyrodzonych, istotnie nie miały pojęcia o takiej mocy zła, jakie obecnie rozszalało się pod osłoną postępu i rozwoju. Ogniska domu rodzinnego były zastępem walczącym o próg każdy jak o twierdzę polskości, bo jak Hugo Kołłątaj mówił jeszcze o »*sarmackiej kawalerji narodowej*«, tak każda strzecha staropolska chowała pokoleniami starą *krw ślachty świętą*, powtarzając słowa Syrokomli. Wołał ten pieśniarz: »*Niemasz niewiast nad Sarmatki!*« I to prawda była. Bo matki nasze, żony, siostry i córki do czasów niedawnych były to legjony domowe, które na wzór husarji uskrzydłonej strzegły skarbów wielkości naszéj i świetności. Tak czyniły, będąc posłuszne sercu polskiego i sumienia narodowego dziś rozgłośnie postępowe od rana do rana wrzeszczą »tango« i »rumba«. I to nas wychowuje!...

Narzekalniczki i płaczki, zawodźcie żale i ogłaszajcie bole, że mamy sił więcej dla niszczenia Posłannictwa naszego, aniżeli dla Odrodzenia i Zmartwychwstania!...

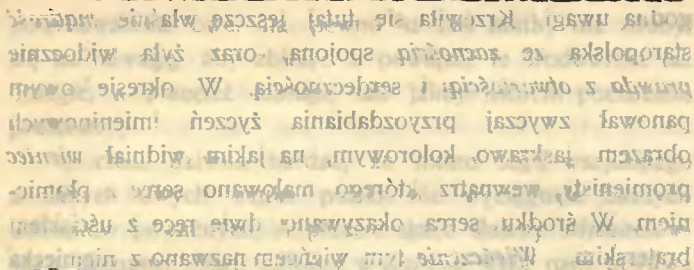
Mimo wszystko wierzymy dalej, o Boże, że przyjdzie Odrodzenie polskie i Zmartwychwstanie polskie!...

III.

ŻYCIE PRZYJACIELSKIE PO DWORKACH OKOLICZNYCH.

„Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami“.

(Słowacki — Kordjan).



z *zachoŹnością* chodziły w parze, gdzie *otwartość i prawda* w rzędzie cnót pierwsze trzymały miejsce«. I w rzeczy samej Polska upadała stałe dlatego, ponieważ traciła widocznie całą *zachoŹność* prostoty błoŹej i poddawała się z uwielbieniem wszystkiej cywilizacji zachodniej, jaka *zaszczepiała* wręcz przeciwnie same fałsze wstrętne wraz z zepsuciem na kroku kaŹdym i w chwili kaŹdej. JuŹ za króla Stanisława Augusta »znikał płomień czysty cnót staroŹytnych«, albowiem stolice i miasta polskie stawały się wedle wzorów zagranicznych ogniskami, gdzie zło od dawna silnie się rozkrzewiało i bujnie dojrzewało w owocach.

W obec tego obrazek życia towarzyskiego z okolicy Tłustego, w czasach po-powstaniowych 63 r., to pamiątka

godna uwagi. Krzewiła się tutaj jeszcze właśnie *mądrość* staropolska ze *zachością* spojona, oraz żyła widocznie *prawda* z *otwartością* i serdecznością. W okresie owym panował zwyczaj przyozdabiania życzeń imieninowych obrazem jaskrawo kolorowym, na jakim widniał *wieniec* promienisty, wewnątrz którego malowano serce z płomieniem. W środku serca okazywano dwie ręce z uściskiem braterskim. *Wienienie* tym wieńcem nazwano z niemiecka winszowaniem.

Powienienie stało się powinszowaniem.

Gdzie jak gdzie, ale tutaj na Podolu w okolicy Czerwonogrodu, Buczacza, Jazłowca i Chocimia, znaki owe nie były ozdobą pustą a niezrozumiałą, ponieważ koło opromienione (wieniec) wyobrażało mądrość boską z jasności słońca idącą, a serce i dłonie bratnie głosiły serdeczność i gościnność staro-polską i starosławjańską!...;

Ludzie w téj stronie Polski żyli po bożemu w zgodzie, w dobroci, w szczęściu i umiarkowaniu, bo nie psuła ich jeszcze *»kultura i cywilizacja«*. Kierowano się mimowiednie wiarą, że ludzie są powołani w linji najpierwszej *»na powstanie wielu«* wedle słów Ewangelisty. I w rzeczy saméj ten zakątek Polski, to *Pokacie* (po rusku Pokucie), jako część Podola, miał za sobą w dziejach przeszłość prawdziwie chlubną, o której prawią zabytki mnogie i pierwszorzędne.

Pod względem okazów starożytniczych, ten zakątek, owo *Pokacie*, stało się stosunkowo u nas najgłośniejszém. Pierwsi byli uczeni obcy, którzy zwrócili uwagę na podobieństwa uderzające między pierwiastkami w téj podolskiej sztuki grodziskowej, a sztuką Miceńską z czasów przed-home-rowskich. Gdyby nie to, że nauka obca od razu spostrzegła

powinowactwa owe, na pewno u nas niktby nie zdobył się na odwagę, aby zbliżyć i powiązać te środowiska tak odległe, a przecież tchnące tak jakby jedným poczuciem prostém.

I rzecz dziwna bardzo, że mimo tego wszystkiego z danych owych nauka polska nie wyciągnęła żadnych wniosków poważnych. A przecie skarb sławny *Michałkowski* i ogromny skarb srebrny w *Zalesiu*, każą nam obydwą przypisać sztukę złotniczą wiekom starożytniczym, niezmiernie wysoko ukształconym. Sama jaskinia w Bielczy Złotej (Bilcze) należy znaleziskami do odkryć najwspanialszych w Europie (Prof. K. Hadeček tak orzekł). Nie zapominajmy, że to właśnie niedaleko od stron, które tu opisaliśmy, znaleziono posąg Światowida czwórzwierzynowego.

Czyż to wszystko nie upewnia nas aż nadto dobrze, że pomniki tak ważne świadczą o podniesieniu duchowém społeczeństwa na równi z okresem sztuki micońskiej, (l'art mycénien)?

A gdy nadto uprzytomnimy sobie, że w Kapuścińcach, opodal Tłustego, nad Seretem znaleziono ciekawą urnę glinianą, która wedle zwyczaju Podolskiego była w koło opasaną *mieczem żelaznym*, to mamy dowód wiekuiście pomnikowy, jakie przeznaczenie, jak gwiazda, przyświecało pokoleniom tutaj osiadłym już na 2000 lat przed Chrystusem. Oto bronienie ziemi i dziedzictwa przedewszystkiém duchowego przed nawałą ustawicznie ze Wschodu najbliższego bijącą! A mieli ci mieszkańcy najdawniejsi co bronić, bo ostatki wykopalisk okazują, jakie tu były niegdyś bogactwa i jak wysoko stała oświata i ogłada, skoro postawiono ją obok micońskiej (la culture mycénienne!). Wprawdzie nauka

nasza nie umiała jeszcze wyodrębnić znamion niektórych, bardzo ważnych, jednak one same orzekają jawnie, jak silnie w tych stronach Polski już w epoce kamiennéj i brązowéj żyły *pierwiastki* nasze własne, rodzime. To właśnie okręcenie mieczem urny w koło, jest szczegółem dla Podola najważniejszym. A były miecze i siekiery brązowe, zausznice brązowe, obręcze (branzoletki) i groty brązowe. Wszystko w związku z grodziszczami, jakie *po dwa* zakładano. W Kołędzianach koło Czortkowa jedno grodziszcze lud zowie: »*wał wielki*«, drugie grodziszcze: »*wał mały*«. W Chocimirzu, o którym wspominaliśmy, są również dwa grodziszcza, a jedno z nich nosi nazwę »*Monastérszczyzna*«. W Potoczyskach koło Grodnicy (Horodnicy) jest »Czahor las wielki i Czahor las mały« — pewnie były i tutaj dwa uroczyska. A w Grodnicy (Horodnicy) do dziś dnia Grodziszcze ma *dwa wały* koliste. Stąd pochodzą te przepiękne »*dwojaczki*« (w muzeum Dzieduszyckich we Lwowie), które uchodzą słusznie za osobliwość Podola, jedną z najciekawszych.

To wszystko razem odnosi się do życia w téj okolicy pięknie i bujnie rozwiniętego, a to dlatego, ponieważ tędy szła główna droga handlowa z Pomorza sarmackiego północnego, Białego, aż do morza Czarnego i do Czarogrodu.

Wykopaliska bogate, a rozliczne każą przypuścić, że była ta część Małopolski gęsto zaludnioną (a nie pustką) i sławną z dobrobytu, a zamożności. Te dostatki ściągały chciwców i to była przyczyna, dla której wrogowie zagarnęli ziemię grodów Czerwieńskich, że odpadły od Polski. Kiedy Władimirz (Włodzimierz) w r. 981 owładnął Przemysł z grodami Czerwieńskimi, musiał istnieć już wtedy

od wieków Lwów, jako »Czerwień«, gród najpierwszy. Prawdą to jest, że Święty Jacek miał we Lwowie kościół i klasztor Dominikański już przed r. 1234. Urojeniem jest nagłe powstanie Lwowa dopiero za księcia Lwa, który przecie gród po napadach tatarskich w r. 1240 odbudował tylko a nie zakładał. Lwów o dwóch zamkach, jednym na górze *Lwa* a drugim u podnóża, istniał od niepamięci na drodze handlowej z Gdańska przez Kaźmirz, Sądomirz i Czarnowiec (Czerniowce) na południe.

Wtrąciliśmy tych uwag kilka dla uprzytomnienia prawdy, że wykopaliska podolskie dowodzą nie dzikości i barbarzyństwa mieszkańców, lecz wręcz przeciwnie stanowiska wysokiego na tle nauki i sztuki.

Życie społeczne ludzi przechowało dlatego ogromnie wiele śladów przeszłości dalekiej w obyczajach i zwyczajach. Jednym z takich przykładów, które objawiają dążenie ku wzniosłości i życiu nadziemskiemu to nakaz ukryty, jaki uważał za konieczne, aby zmarłemu dawać do trumny dwie świece, a to przed zabiciem gwoździami lub kołkami jej wieka.

Nie było mnie wtedy w domu, kiedy w Lutym 1880. roku ojciec nasz umarł. Straszne to było, gdy po kątach domku naszego rodzinnego rozległo się uderzenie młotka dla zabicia kołków od wieka trumny, lecz równocześnie jakąż to było otuchą, jak Siostra opowiadała, gdy organista Roskosz wziął w chwili ostatniej dwie świece płonące z pod krzyża, stojącego w głowach katafalku i położył jedną po lewej, drugą po prawej przy piersiach ojca, poczem dopiero wieko zamknęto. Te dwie świece zapewniały wszystkich obecnych, że jest jasność, do której wszyscy idą, oraz że

wiekuistość światłości to nagroda, zawsze dla duszy ludzkiej największa.

Jeszcze dziś w *Sniatyńskim* trzymają się zwyczaju przykładania świec jarzących po bokach zwłok w chwili ostatniej, przed zamknięciem trumny. Idzie zmarły z dwiema świecami do grobu!...

Jak to wiele mówi!... Co to za myśl szczytna!...

Obyczaje i zwyczaje w Polsce jakżeż prawdziwie wielką wartość swoją miały! Pochodziły one zaprawdę pierwsiastkami swoimi z bajecznego wieku złotego, kiedy lud i naród dawały się prowadzić i łatwo posłuszne były mędrcom a kapłanom. Kierowali ci ostatni życiem pokoleń i dobrze było, gdy obyczaje a zwyczaje miały siły swoje. Prawdziwie powiedział Andrzej Frycz Modrzewski, iż Polska właściwie *stała na obyczajach dobrych*. W Rzeczpospolitą naszą zwyczaje piękne więcej znaczyły jak prawa pisane. Tak mówił Modrzewski do *»Sarmacyej«* polskiej i wszytkiej.

Gdy miasta i stolicy nasze od dawna układały życie swoje wedle Europy zachodniej, przeto poznikały tu *»do cna«* obyczaje i zwyczaje polskie tak okropnie, że jak z ubiorów narodowych nic nie ocalało, tak i z téj duszy polskiej, która kochała się w naszych uroczystościach rodzinnych i obchodach, niczego właściwie już niéma.

Jeszcze gdzie były ślady i resztki życia narodowego?... Po zakątkach... zatém na *Pokąciu*.

Tutaj płynęły dnie wśród potoku rwącego uniesień i zapalów, jakby ludzie bezwiednie pragnęli jeszcze okazać, że w łonie narodu tętniły ciągle i nadal tęsknoty gorące do *»drogi światłem nabijanej«* (Przedświt Krasińskiego).

Idźmy tym gościńcem świetlanym!

Domek rodzinny nasz, w Tłustém, oddychał żywo obyczajami dawnymi i zwyczajami domowymi, ponieważ nauka szkolna nie ciążyła jeszcze sposobem wtlaczania mądrości obcej, a wiedza z ust do ust podawana była pszczołką, zbierającą same miody z kwiatów i kielichów swojskich.

Dnie powszednie były dniami pracy. Każdy więc pilnował domu swojego i zagrody własnej. Nie było atoli ani niedzieli ani święta, iżby koło towarzyskie nie zgromadziło wszystkich znajomych to tu, to tam wspólnie i serdecznie. Życie było owjane wspólnotą duchową! Ludzkość i braterstwo, miłość i przyjaźń, oto ogniwa sprzęgające łańcuch nierozzerwalny!...

Ta łączność i zgoda to były objawy radości życia, nie w słowach, ale w czynach tętniącej. Zażyłość i grzeczność zawsze uprzedzająca to były więzy towarzyskości, nigdy nie szukającej korzyści i pożytku, ale przeciwnie oglądającej się za spełnieniem zawsze obowiązku, któremu na imię było: *»uczynek dobry«*.

A co to za szkoła życiowa doskonała dla młodzieży, jaka wychowywała się mocą przykładów prawdziwych, uchodzących za obrazy pomnikowe na tle pożycia ogólnego.

Były to czasy, w których rodzina stała jeszcze twierdzą nie do zdobycia, zwłaszcza u nas w Polsce, a przede wszystkim właśnie tutaj na Podolu. Śmiało można powiedzieć, że po dworach i dworach naszych *»miłość rodziny była duszą drugą ludzkości«* wedle orzeczenia pięknego A. de Lamartina. Ten idealista, tak potężnie wzbijający się na skrzydłach ku niebu, dom rodzinny nazwał *»świątynią podań i obyczajów«*. I to prawda!... Owa *dusza ludzkości* i narodu, przejawiająca się współżyciem pełnym

życzliwości zawsze uprzedzającej, to radość życia nigdy nie ustępująca, wypełniająca światłem i «świętynię podań i obyczajów».

Przyjaźń i usługowość wzajemna, opierająca się stale na grzeczności najślachetniejszej i na gościnności we krwi wrodzonej, sprawiały, że rodziny wszystkie razem spletały się wśród życia najgorliwiej, jakby to szczęście ogniska jednego w połączeniu ogólnem było wyrazem do drugiejj potęgi podniesionym. Najważniejsza, iż wówczas nie znano tam na powiecie ani życia po kawiarniach ani po jadalniach miejskich, ponieważ dnie i tygodnie upływały wśród odwiedzin po dworach i dworkach okolicznych. Była to rodzina z rodzin!...

I błogo upływał czas na tle braterstwa ogólnego, w którym uczucie lubiało się objawiać słowami gorącemi, lecz nadto nie brakowało w niem nigdy czynów budujących a zdumiewających. Lud sam prosty i biedny objawiał na kroku każdym dobroduszość istotnie gołębią a ochotę najgorliwszą i naród cały oddychał ciągle sumiennością i serdecznością, która na nic obcego się nie łakomiła, lecz dążyła do okazania ulgi i pomocy.

Powiadają, że gdy Stanisław Oświęcim pochował narzeczoną swoją Annę, to dał jej do trumny na głowę koronę kamieniami drogimi wybijaną. Trumna ta wśród wielu innych stała w podziemiu kaplicy Oświęcimów przy kościele Franciszkańskim w Krośnie i nietkniętą była, jak nie naruszano bogactw wszystkich, wypełniających grobowce. Jeszcze szanowano świętości i własności, choć były tam złotogłowa i złota bez miary. Dopiero czasy ostatnie targnęły się mocą chciwości na te skarby, przeznaczone pa-

mięci wiecznej. Powyciągała ręką zbrodniczą z trumien Krośnieńskich wszystko, że pozostały tylko kości nagie i trzaski.

Tak podobnie przedstawia się nam dzisiejszym życie, odarte dziś z uroków wszelakich i wdzięków zachwycających, o których pojęcia pokolenie obecne nie ma. A były w obyczajach naszych i zwyczajach bogactwa podobne do wszystkich kosztowności najokazalszych, lecz wszystko ustąpiło miejsca jałowości i zwierzęcości człowieka. Teraz ludzie chcą gwałtem, aby świat nieustannie dawał im radości i spokoju jak najwięcej, lecz nie wiedzą o tém, że lepiej było dawniej, gdy wiadano, jak ważniejsza wkładać w świat pokój i wesele, aniżeli czerpać je ze świata. Ogołocono życie z piękna prawdziwego, które przedewszystkiem opierało się o *podania i obyczaje*, a potem na miejsce ich ogłoszono hasło znane: »*Sztuka dla Sztuki*«! Otóż to jest podobne do kradzieży z grobowców przodków! Narodowość wielka wypływała atoli tylko ze życia takich ludzi, jacy byli przepełnieni miłością dla kwiatu podaniowego i uszanowaniem najświętszym otaczali całość jego świetną. Wiedźmy zaś, że to prawda, albowiem w rzeczy samej tylko ci mogą prowadzić naród ku przyszłości, którzy z przeszłości soki czerpią.

Obyczaje i zwyczaje pełne mądrości starój i zacności, prawdy odwiecznej i cnót życiodajnych, te mogą tylko zasilić i pokrzepić. Z powodu tego, w pamiętniczku niniejszym rzucamy garść wspomnień dla zobrazowania rzeczywistości tak, jak ona żyła.

Przedewszystkiem przypomnąć się godzi, iż duch czasu *wychowanie młodzieży* składał tylko na ognisko rodziny, nie

na szkołę. Matka nasza pojmowała zadania wychowania jako obowiązek narodowy i dlatego z ochotą przyjmowała do domu swego panienki z dworów sąsiednich. Tradycja stara samoczynnie się odżywiła w podawaniu nauk raczej przy robotach ręcznych, jak przy książkach licznych. Jeszcze kołowrotek stał obok i snucie nitki z przędzy było obrazem prawdy niezamarlęż. Ten kołowrotek jest do dziś naszą pamiątką najdroższą. Kądział i wrzeciono z wartałką były chlubą rodzaju żeńskiego, a hafty, koronki, wyszywania i tkania to były zajęcia, co umilały, ale i wzbogacały. Szycie i szydełkowanie, porządkowanie i gotowanie to były zatrudnienia, które wypływały z nakazu boskiego, aby rodzaj ludzi znał *podział pracy*. Płeć piękna miała swój zakres własny a płeć brzydka inny swój odrębny. I bogactwo stąd wypływało i zamożność się wzmacniała. Praca ludzka dawała owoce z dnia na dzień, z przeszłości na przyszłość!...

Po pracy całodziennj i po dzwonku na »Anioł Pański« Matka zasiadała z gitarą w ręku, aby przy dźwiękach rzewno tęsknych unosiła się w górę dumka podolska. Księżyc w pełni oświeślał izdebkę jasno długo, aż zapalono lampę wiszącą nad stołem okrągłym. Wszyscy zasiedli dookoła, każdy z robótką w ręce. Nikt nie próżnował. Osoba, na którą kolej padła, rozpoczęła czytanie głośne. W milczeniu czasami słyhać było tylko szelest płótna lub dźwięk nożyczek.

Tak wychowywały się dzieci przy boku Matki naszj. Stosunki z dworami w okolicy były liczne i ożywione. Mimowolnie węzły się zacieśniały i powoli pożycie ogarnęło wszystkich, jakby rzeczywiście wszystkie rodziny pojedyncze, razem stwarzały jedną rodzinę wielką, największą. Panienki

uczące się u Matki, kochały ją bardzo i nie było dla niej nagrody większej nad wyrażenie, krążące po okolicy, że jest Ona »Aniołem«!... O! jak wielkie szczęście w tém się mieściło.

Z czasem tak się złożyło, że w święta lub dnie targowe, kiedy zjeżdżano się do miasteczka naszego, na podwórzku naszym lub nawet przed bramą była wielka liczba powozów, bryczek, kałamaszek i wózków. Rojno było wszędzie, w domu, w ogródku, na dziedzińcu i przed wrotami. Ile nowinek, ile wspomnień, ile wynurzeń miłości, ile nadziei!...

Tak było najczęściej przed południem samym. W południe już cisza nastawała, bo wszyscy porozchodzili się po mieście, w jarmark, aż tu niespodzianie wchodzi kościelny Roskosz, w czamarze, w rogatywce, w bótach polskich i pasem rzemiennym przepasany o klamrze ze lwem śpiącym. Wnet pieski nasze wrzawę podniosły, bo Roskosz zdejmował na dziedzińcu czapkę i opędzał się im, a to ich gniewało. Roskosz pytał o godzinę i czekał na 12-tą a gdy wychodził, znowu krzyki piesków, które odprowadzały kościelnego znowu aż do wrotków. Południe głos dzwonu ogłosił. Gdzie kto stał, głowę odkrył, zęgnął się i modlił, przykłękał i pochylał. Wszyscy i w polu i w miasteczku pracę przerywali. Znać było, że to Polacy—Katolicy!...

O! jaki to bywał widok przepiękny, gdy ludzie tak objawiać umieli wiarę od serca, bowiem zapal wewnętrzny wnikał w życie zewnętrzne. Gorliwość zapalna do obrzędów nabożnych zachęciła wieśniaka *Grabowieckiego* Karola, który był w kościele Tusteckim »starszym« bractwa różańcowego, do postawienia we wsi *Różanówce* kaplicy, głównie dlatego,

aby zawiesił górą dzwonek i sam dzwonił trzy razy dnia po trzy razy na *Anioł Pański*. Czynił to zawsze z ochotą przykładną, a była to postać chłopu polskiego godna wzoru. Cieszył się powagą tak znaną, że gdy n. p. służąca jakaś powołała się na Karola Grabowieckiego, twierdząc, iż ten ją zna dobrze, to świadectwo takie więcej znaczyło jak dziś polecenia nie wiadomo jakie urzędowe.

A na wsi, a na miasteczku polskiém, uderzenie dzwonu rano, w południe i wieczorém to chwila bardzo uroczysta, jakiej dziś miasta wielkie i stolice zgoła już nie pojmują.

Owe zjazdy ślachty szczególnie piękne były w święta, w niedziele a szczególnie w dniu odpustu, na świętą Annę. Gdy *Dzwon wielki* w południe na Anioł Pański tak się posumie rozkołysał, że krésami zwracał się aż ku niebu, wtedy wszyscy nasi znajomi śpieszyli do domu naszego, jak to opisaliśmy powyżej na stronie 121.

Chwilka ta wystarczyła, aby rodzina wszystka ślachty okolicznej już się porozumiała i ułożyła porządek odwiedzin, wieczorów, zabaw i przyjęć. Dom Zubrzyckich był ogniskiem, gdzie skupiały się promienie ziemi Czerwonogrodzkiej.

Aż razu jednego rozeszła się nowina piorunująca: panna Ziunia Hańkiewiczówna z Kapuściniec zamąż wychodzi!... Przyjechali rodzice, aby się porozumieć co do ślubu. Wańdzia, siostra nasza, była przyjaciółką najserdeczniejszą Ziuni, a zatem tak wypadło, że družką pierwszą miała być właśnie siostra nasza a narzeczonej powierniczka jedyna. Cóż atoli się stało? Oto Wańdzia przebywała na nauce, w pensjonacie we Lwowie, zatem przyjechać nie mogła, bo kolei wtedy nie było jeszcze. Hańkiewiczówna zgodziła się czekać rok cały na przyjaciółkę. I tak się stało!

Takie to dawniej zasady panowały i przekonania rządziły, że dla przyjaźni umiano poświęcać wiele.

Wesele panny Dziuni *Hańkiewiczówny* godne opisu, a to wedle słów siostry Wandy.

Jakkolwiek wspominaliśmy kilkakrotnie o *Kapuścińcach*, przecie dodamy słów kilka dla objaśnienia, skąd wzięli się tam Hańkiewiczze. Otóż córka Jełowickich, (z opisów wyżej znanych) wyszła za niejakiego p. Kemplicza. Od nich wzięli Kapuścińce w dzierżawę właśnie Hańkiewiczze (ormjanie), z którymi w przyjaźni byli rodzice nasi. Razu jednego zjechał do Tłustego nauczyciel tańców, więc dla nauki pani Hańkiewiczowa dwie córki przysłała do domu naszego na czas tańców i tak przyjaźń się zacieśniła. Nawzajem myśmy często przemieszkiwali w dworze Kapuścińskim, który pamiętam dobrze. Kiedy panna Dziunia zaręczyła się już z p. Ajwasem z Lisowiec, to doniosła przyjaciółce o tém do Lwowa, do pensjonatu Horeszkiewiczowej, lecz zgóry oświadczyła, że czekać będzie ze ślubem na przyjazd jej do domu.

Wesele odbyło się 22 listopada 1870 roku.

W miejscu tém musimy wtrącić uwagę głębszą, konieczną dla zrozumienia, czém było u nas życie dawne po dworach i dworkach ślacheckich w Polsce prawdziwej, to jest téj, która pojmowała obowiązki tylko w imię *bohaterstwa* i pod znakiem *świętości*. Naród nasz stanowczo miał wrodzone poczucie konieczności w dążeniu ku *wyżynom cnót*, ażeby one wnikały z rozkazu boskiego we wszystkie sprawy nasze i działania tak codzienne, jak i okresowe, z uroczystościami jakimiś związane. Chcąc dobrze zrozu-

mieć życie przodków naszych, nie zarażone jeszcze przewrotnością »nowej kultury zachodniej«, potrzeba właśnie przypatrzeć się mu nie po miastach i stolicach, lecz przeciwnie w ustroniach zacisza wiejskiego. Tu dopiero stwierdza się w istocie to, co mędrzec Maeterlinck powiedział słusznie, iż jest *życie małe*, lecz jest i *życie wielkie*, nie tylko dla tego, iż nam się tak wydaje, ale i dla tego, iż tak jest w rzeczywistości.

To wszakże stanowiło podwalinę szczęścia w Polsce dawniej, co podnosiło tak życie małe jak i życie wielkie do godności piękna i dobra. Drogą obyczajów odwiecznych i zwyczajów powszednich umiano żyć prawdziwie, nie wedle słówek czczych, ale czynami i postępkami. Wskazówki i pouczenia nie wypływały z książek obcych, wszak najwyższą ich wartością była potrzeba *serca* i pragnienie *sumienia*. Ze siły podania wiekowego było źródło miłości bratniej i bliźniego i to, co my teraz nazywamy tradycją, było przykazaniem wrodzonem a objawionem.

Życie małe sposobem takim było wielkiem dla dnia każdego a *życie wielkie* przybierało znamiona największe przez podniesienie uczucia i ducha pragnieniem dobra i piękna. Rzeczywiście *piękno wewnętrzne* może w żadnym narodzie tak nie tkwiło głęboko na tle życia duchowego jak w Polsce. Dążenie ku doskonałości takiej, na jaką stać człowieka, opromieniało życie małe, a potęgowało życie wielkie. To, co wieszczowie nasi nazywali Posłannictwem Narodowem, to nie było urojeniem, ponieważ pożądanie *życia wyższego* nakazywało bezwiednie każdemu, tak prostaczki jak światłemu, ażeby kroki jego zmierzały do wrót świętych a sławnych, prowadzących z życia ziemskiego do

nadziemskiego. Wrocław miasto nazwę swoją otrzymało od bramy czyli *wrót sławnych* do Nieba idących. Imię starołęchickie Wróciśław głosi *sławę wrót* takich, jakie wiodą w krainy szczęścia nadzmysłowego.

Dążenie ku ideałom było w Polsce posłuszeństwem dla sławy z cnót wszystkich, tak domowych i rodzinnych, jak społecznych i narodowych. Cnoty owe wypływały z gościnności aż nadmiernéj i z grzeczności ślachtetnie wyzywającéj a zasilaly się dobrodusznoscią pocziwą i serdecznoscią wylaną. Ludzie mogli żyć w gościnności aż do ubóstwienia i w grzeczności aż pokornéj, bo nie znano wtedy ani złośliwości sprytnych, ani zazdrości opętanych. Wszyscy byli równi dobrocią serca i czystością sumienia. Życie opromieniała jasność życzliwości!...

Życie małe wśród zajęć około gospodarstwa w polu i ogrodzie, w przyrodzie i pod niebem, stawało się *wielkiem* dla umiłowania pracy cichéj a wzajemnéj bez szczypty przebiegłości w obec wyzysku i zarobku nieczystego. Życie zaś *wielkie* wtedy, kiedy przychodziły święta lub uroczystości domowe, podnosiło się widocznie w górę, na szczyty, iżby stawało się większém i największém.

Takie życie *wielkie* napełniło okolicę naszą w tym tygodniu, kiedy obchodzono *ośm* dni uroczystości weselnych panny Dziuni Hańkiewiczównéj w Kapuścińcach. Dnia 18-go listopada rankiem rozbrzmiewało miasteczko *Tłuste* dźwiękami muzyki, która przyjechała na dwóch wozach, wysłanych dzień przedtém z Kapuściniec. Prawie wszystkie domy Tłusteckie były jeszcze z czasów polskich przybrane podcieniami na słupach po ciesielsku wyrzeczanych. Na tych podcieniach starego domu zajezdnego zasiadła czeladka

muzykantów, ażeby dać znać wszystkim, że stoi na popasie drużyna, jadąca na wesele w Kapuścińcach. Jaryna, służąca nasza oczywiście przyniosła wiadomość i do domu naszego. Radość była wnet wielka, bo znaczyło to, że zaczyna się uroczystość wesela dla pocieszenia okolicy. Miasteczko mówiło przez dzień cały o przygotowaniach do ślubu panny Hańkiewiczówny. Muzyka miała nakazane, aby wszędzie po drodze na postoju grywała, bo tak żądał zwyczaj stary. I w Ułaskowcach uderzono w bęben i w basy, skrzypce wysoko od ucha cięły i flet zawodził, aż pół wsi się zleciało. To do dworu Kapuścińskiego!

Już 18-go listopada rozpoczął się zjazd krewnych, przyjaciół, znajomych i bliższych. Cztery dni przed ślubem miały być przygotowania, aby uroczystość prawdziwa trwała cztery dni po ślubie, do Ś-tój Katarzyny. Muzyka już od południa 18-go listopada czekała we dworze, bo skoro tylko chłopak dał znać, że goście jadą, wychodziła przed bramę i tam witała przybyłych, odprowadzając ich aż do ganku. Zjazd był ogromny, bo to ludzie owocześni śpieszyli dla okazania miłości gromadnej. Muzyka ciągle była w ruchu. Zaledwie jednych przez dziedziniec wielki uroczyście na ganku oddano gospodarstwu domu, już trzeba się było wracać, bo od wsi znowu inni goście się zbliżali.

Jesień podolska zazwyczaj pogodna, ale w tym roku była istotnie wyjątkowo piękna!

Wszystko sprzyjało okazałości i wystawności, aby na wesele zjechać z paradą, co się zowie. Już z oddali trzaskanie z bicia słychać było donośnie, a gdy konie parskać zaczęły, zbierano się na oczekiwanié. Muzyka rzewnie w tony uderzając, wywoływała wszystkich z wnętrza dworu ogrom-

nego, którego ganek piętrowy miał słupy wysokie, murowane, sięgające od przyziemia do dachu krzyżowego. Zajeżdżających witała drużyna jedna na dole i druga z góry, z piętra, bo dwór przyziemny, miał piętro w krzyż idące od ganku dziedzińcowego, do ganku ogrodowego. Często się zdarzało, że woźnica zaciąwszy konie, nie stawał odrazu przed progiem, lecz objeżdżał *w koło* dziedziniec przestronny i dopiero objazd uczyniwszy z trzaskiem bicia nagle stanął jakby wryty. A służba w stroju krakowskim a konie w uprzęży krakowskiej!..

A gdy przyjechał pan młody, p. Emil Ajwas z Lisowic, co to była za świetność!.. Konie jak malowane. Wszystko cudnie wystawne. A dodać trzeba, że za pojazdem każdym jechały wozy pełne koszów i tłómków skórzanych, w których były stroje i... podarunki. Nikt z rękoma gołymi nie przyjeżdżał. Parę młodą *obsypano* i *obésłano* bez liczby i bez miary!

Choć był to zjazd gości najliczniejszy, jaki sobie ktoś wyobrazić może, mimo to wygody dla wszystkich były obmyślane i zabezpieczone sposobami mnogimi. Najpierw rodzina najbliższa i krewni znaleźli pomieszczenie w dworze wielkim. Po dworach najbliższych (t. zw. oficynach) pełno było także. Prócz tego powynajmowano chaty wiejskie najporządniejsze i zaopatrzone je we wszystko, czego tylko gość potrzebować mógł i pragnął. Co wieczora odprowadzano pieszo do dworów, a końmi odwożono gości do dalszych pomieszczeń. Rano przed śniadaniem służba do łóżka przynosiła dzban krzyżałowy, pełny przeczystej wody źródlanej i podawała na tacach srebrnych konfitury mnogie do wyboru. Talerzyki rznęte we wzory i żywo barwione

razem z łyżeczkami srebrnemi a złoconemi po herbach zapraszały tak ponętnie do zachowania zwyczaju podolskiego, o którym już wspominaliśmy. To pokrzepianie się rano po przebudzeniu wodą najczystszą a zimną niosło ze sobą coś z obrzędu staroświeckiego, przypominającego wiarę w cudowność wody żywej.

Z dworów pobliskich rano udawano się pieszo do dworu — z dworów dalszych i z chat wiejskich goście przyjeżdżali, albowiem konie z pojazdami czekały na zawołanie. Śniadanie w dużym pokoju stołowym oczekiwało. Każdy spożywał co chciał i kiedy chciał...

Objad dopiero gromadził wszystkich wspólnie.

Tak upłynęły pierwsze dni cztery od 18-go listopada do 21-go. Już się wszyscy zebrali, aby razem powitać dzień najbardziej uroczysty, dzień ślubu 22 listopada. Już pokoje wszystkie przepełnione były bogactwem i różnaitością podarków ślubnych, których opisywać nie można, bo toby zajęło wiele miejsca i czasu. Srebra i złota jaśniały blaskami a promienie lśniły z brylantów i kamieni drogich. Najciekawszym okazem zabawnym to kołowrotek prześlicznie rzeźbiony razem z wrzecionem, które przywiozła jedna ze sióstr pani Hańkiewiczowej, zatém jedna z ciotek panny młodej. Był to zabytek godny podziwu, zwłaszcza, gdy w czasie owym po dworach umiano jeszcze prząść wprawnie i siłą udzielania zwyczajowego przyuczano panienki do snucia nitek najcieńszych a najdłuższych. Stwierdza się znowu i w tym szczególe jedność podkładu ideowego tak w stanie kmiecym jak i w stanie ślacheckim. U ludu družba starszy dziś jeszcze gdzieś przynosi kądziel z wrzecionem i śpiewa:

»Oto maszże kądziel i prządz,
Zawždy pilną, ochotną bądź!«

Siostra nasza Wańdzia dziwy nam opowiadała, bo jako pierwsza drużka starsza, była tam we dworze jedną z najwcześniejszych, zatém przypatrywała się wszystkiemu naocznie. Były cztery pary drużyny weselnój, dwie drużki starsze i dwie drużki młodsze, dwóch družbów starszych i dwóch družbów młodszych. Zwyczaje weselne pod wieloma względami były jedne i te same tak po dworach, jako i chatach, bo u ludu do dziś dnia są także cztery pary. A czasem bywa i ośm par na weselach bardzo uroczystych.

Dwaj starostowie, z których pierwszy zwał się *bojarem*, drugi *marszałkiem* domowym i dwie starościны czyli swachy, w dzień weselny 22. listopada, już od rana razem z družbami i druchnami, pełnili obowiązki z namaszczeniem, albowiem były to jeszcze czasy nie zarażone zepsuciem, kiedy wesele i ślub to były obrzędy podwójnie święte, raz w domu przy ognisku domowém nabożnie sprawowane, drugi raz przed ołtarzem w kościele potwierdzane. Dziewosłębowie dopełniali obrzędu najpierw przed rodziną, jakby przy ołtarzu gniazda. W ogólności wyprawa do ślubu to wyprawa do boju w obronie *świętości* wszystkich, jakie tylko łączą się z rodem. Družbowie na koniach, dawniej zbrojnie występujący i bojarowie to zastępy idące w bój święty o dobro i sławę, o prawdę i chwałę.

Co za ból i co za żal serce ścisła, gdy się dziś pomyśli, że wszystkie te zwyczaje, służące do wypełnienia obchodu weselnego zaginęły doszczętnie przez ślepotę naszą i głuchotę, ponieważ nie widzimy nic swojego i nie słyszymy głosów ojczystych. A wiedzieć trzeba o tém, że krok

każdy i ruch każdy na weselu polskiem to był znak wielki myśli podniebnej i uczucia świętego.

Nawet strojenie panny młodej aż do jej *wieńczenia* to był obrzęd pełen godności, oraz wzniosłości. Siostra nasza Wańdzia spełniała tu obowiązki najważniejsze, bo była wedle podania odwiecznego nie tylko *ubieraczką*, pierwszą drużką starszą, ale panienką, która dopiero co powróciła ze Lwowa, gdzie kończyła nauki w zakładzie pani Horoszkiewiczowej, która znała osobiście Mickiewicza. Urok ten coś mówił tam zwłaszcza w zakątku pomiędzy jarami Podola.

Po południu zebrała się drużyna cała w świetlicy wielkiej dworu, w salonie, gdzie rozścielono przedewszystkiem najpiękniejszy kobierzec ogromny, należący do święta. Stroje precudne i bogate wprowadzały oczy w zachwyty coraz to nowe i uderzające. Zbliżała się godzina *Błogosławieństwa*.

Kiedy już grono całe otoczyło pannę młodą jako *królową* i pana młodego jako *króla*, kiedy się zebrano w koło wielkie, w którym nie brakowało nikogo, nawet służby, wtedy rozpoczynał obrzęd mowca jako ofjarnik. Stawał on na środku kobierca i w imieniu panny młodej żegnał dom i rodzinę, dziękował rodzicom za wychowanie, objawiał wdzięczność ze strony córki, która niebawem ma progi rodzinne opuścić i prosił o błogosławieństwo boskie. Była to chwila jedna z najrzewniejszych, która pobudzała wszystkich do łez szczerych, zwłaszcza, gdy mowca w słowach pięknych przeproszał wszystkich za wszystko, co może niedobrze spełniała panna młoda i co może pozostawiłoby jaką skargę u obecnych. To przeproszanie i to błaganie o wybaczenie nastrojało uczestników prawdziwie świątobliwie.

A potem błogosławieństwo dziadka i babki, ojca, potem matki i wszystkich krewnych i dalszych — wszystkich obecnych, jakież to budujące!... Drużki w chwili téj obdziały »weselników« wiązkami z kwiatów, spiętymi szpilkami złotými, prawdziwými, nie złożonými lub udanými. Družba starszy p. Antoni Romaszkan, właściciel wsi rozdawał wszystkim pierścionki złote z turkusami, dobierając oczywiście do palca, bo zapas tychże był ogromny. Pierścionki pary młodej spoczywały na tacy srebrno-złożonej, na której był bochen chleba, sól, wrzeczono srebrne i dukat złoty z Matką Boską, przygotowany pod koronę panny młodej. Dziadek, jako najstarszy z grona, zakładał ten pieniądz nad czołem i znowu żegnał i życzył i płakał...

Tak odbył się jakby ślub pierwszy, domowy, w obecności Domu rodzinnego. Potem wyprawa do cerkwi miejscowej kolejno pod rządem marszałka weselnego! Co za pojazdy przepiękne, co za konie! Drużbowie na koniach po boku pojazdu panny młodej.

W cerkwi ślub drugi, kościelny dawał ksiądz ormiański, który przyjechał z Czerniowiec.

Powrót o godzinie szarzej wśród pochodni gorejących i dymiących, które przypominały pochodnie rzymskie, po weselach nawet w dzień biały używane! To nie rzymskie, to nasze, odwieczne!...

Wieczór był bardzo ciepły i mile pogodny. Podczas ślubu blask złoty słońca zachodzącego uderzył przez okna na ołtarz, który jakby tęczą zakraśniał. Kiedy czwórka koni białych, wioząca Państwo Młodych, dojeżdżała bramy dworskiej i most przed bramą łoskotem głuchym odezwał się po otoczeniu, zajaśniał promieniem ostatniem rąbek czer-

wony po nad widnokręgiem zachodnim a ktoś z gospodarzy zawołał: »O! to Matka Boska Poczajowska jeszcze spogląda!« Rzeczywiście nastrój uroczysty przypominał słowa:

»I nad tém wszystkiém stoję ja *Królowa*,
I patrzę ze skał moich z *Poczajowa!*«

(Słowacki — Beniowski IX.).

Sprzyjała ta Królowa, o koronie z krzyżów, bo wszystko było z wiarą i miłością nadzmysłową wzniośle pojęte i do życia stosowane. Na odgłos tętetu wyszedł dziadek panny młodej na ganek i trzymając tacę srebrną z chlebem a solą i wrzecionem w rękę oczekiwał, kiedy para młoda wysiądzie i po stopniach na ganek wstąpi. Przemówił w otoczeniu wielkiem do pana młodego, aby dbał o urodzaj w polu i ogrodzie i aby pomnażał za łaską Boską dobytki, a do panny młodej się zwracając, przypominał rolę przedzenia nitki, myśli, uczucia i szczęścia.

Wieczór tany i gody weselne, jedno po świetlicach dworu, drugie na łące w ogrodzie dla ludu przy stołach z desek zbitych.

Całe trzy dni t. j. 22-go, 23 i 24-go listopada chodziła panna młoda we wienku z welonem do ziemi długim, bo rodzice i dziadkowie nacieszyć się nie mogli. Tańce, jakby obrzędowe, z powagą godną wielkości powtarzane co wieczora, przeciągały się w noc późną. Podolanki, o warkoczach bujnych, jaśniały pięknnością rumieńca zdrowego i wesołością prawdziwą a niewinną.

Dnia czwartego podług zwyczaju panna młoda zdjęła już wieniec a drużba starszy rozplótl okazały jęj warkocz panieński. Wtedy nastąpił mazur z figurami, przy którym

tańczono z wieńcem panny młodej, który brata na głowę najpierw drużka starsza pierwsza, potem drużka starsza druga, dalej drużka młodsza pierwsza i drużka młodsza druga. Gdy odtaińczono »wieńczenie« z drużkami¹ wszystkimi, wtedy kolejno wszystkie panny wieńczono i znowu tańczono, aż przyszła kolej na ostatnią najmłodszą.

W wieczór ostatni, ósmy, w dzień Ś-tój Katarzyny, (25 listop.), na zakończenie, w rozochoceniu i zapale ogólnym rzucono się do zwyczaju bardzo dawniej kochanego, aby rzucić suknie nowomodne i przystroić się w suknie ludowe. Były jeszcze wtedy na Podolu przepiękne stroje ludowe, jakby z czasów zamierzchłych pochodzące. Młodzież rozbiegła się po dworkach i chatach. Niebawem pokoje dworu Kapuścińskiego napełniły się parami zachwycająco bajecznymi. Wesele ludowe w całej okrasie. I tany dalej, krakowiak, mazur, oberek i »polski« chodzony, po przez wszystkie drzwi dworu ogromnego. Świetlica główna miała cztery drzwi w krzyż założone. Przez te drzwi rozwijał się wąż stubarwny, łącząc stroje pańskie ze strojami chłopskimi!...

Młodziutka Jadwiga, siostra nasza, późniejsza »Jadwiga z Łobzowa« z pękiem paciorków na szyji i piersiach wyglądała uroczo. Drużba starszy Antoni Romaszkan, który prowadził tańce i był przodownikiem stanął przed nią i w uniesieniu zawołał, że gdyby po wsiach takie były »młodzice« (mołodyci), toby ludzie głowy potracili. A były w rzędzie panien piękności prawdziwie boskie. Ojciec nasz przy tańcu polskim w łańcuchu ruchomym gdy wziął za rękę siostrzenicę pani Hańkiewiczowej i obaczył twarz uroczą, krzyknął na całą salę: »jak można być tak piękną!«

Uderzyła 12-ta o północy!

Adwent już nastał. Przerwano tańce a rozpoczęto zabawy towarzyskie. A były to jeszcze czasy takie, że ludzie zadowalniali się czém bądź a kochali to wszystko, co żyło w domu. Stało koło wielkie i zaśpiewano

»Lata ptaszek po ulicy,
Szuka dzióbkiem kłos pszenicy,
powtórnie {Co uzbiera dzióbkiem kole,
{A ja sobie Ciebie wolę!...

a nie brakowało w tém kole ani dzieci ani starców. Wszyscy w łączności jednej a zwartéj, to była siła!...

Aż nareście zakończono uroczystości, które musiały trwać ośm dni pełnych. Zaczęto się rozjeżdżać wśród czułości nieskończonych pożegnań, kielichów przy stole, w progu, na ganku i na stopniu od powozu lub na strzemieniu. Nie puszczono ani jednego powozu, ani jednego wózka, aby nie wypełniono ich struclami łokciowemi, ciastami, tortami i flaszками wina. Tak nakazywał obyczaj »*obsypin*«. Za Państwem Młodymi pojechały wozy pełne słodyczy i złota, do Lisowiec, gdzie małżonek młody objąć miał dzierżawę od K. Orłowskiego i zamieszkał w pałacu jego.

Przepięknie orzekł A. Cieszkowski, że »stan społeczny jest przeznaczeniem życia człowieczego«... (Ojciec Nasz IV. 51.) Mówmy co chcemy o ślachcie polskiej, jednego nie podobna nie uznać u niej, iż umiała istotnie rozwinąć życie rodzinne, jakby wielkie życie społeczne, towarzyskie i przyjacielskie. Jeżeli Polska osiągała kiedy wielkość jakąkolwiek, to przede wszystkim na podwalinie *braterstwa*

zaiście chrześcijańskiego, wprzągającego wszystkich do godności jednej w imię myśli jednej. *Miłość Ojczyzny* była przykazaniem tak wrodzonem jak zakon Boży podniesiony do »*Objawienia*«. — Myśl jedna to ogniwo najpotężniejsze!

Życie proste, szczere, w grzeczności najczulszej najserdeczniejsze a w gościnności pragnące uprzedzeń coraz to gorętszych, oto wartość nigdy się nie umniejszająca, przeciwnie, stale wzrastająca.

Była zagroda pod lasem dębowym pobudowana a *Księżyną* zwana, należąca do probostwa Czerwonogrodzkiego, pomiędzy Tłustem a jarem Czerwonogrodu. Ustroń pełna czarów i wdzięków o każdej roku porze. Na znak dany, skutkiem zaproszenia podczas zjazdu na jarmarku lub w dzień świąteczny, zjeżdżali się po południu z okolicy, z dworów i dworków wszyscy znajomi, aby zacieśnić koło związku serdecznego. Już zdala wesoło odbijały ściany białutkie Księżyny od ciemni lasu starego a dym jasno niebieskawy piał się do góry jak marzenie. Na ganku gospodarstwo domu oczekiwało gości a cisza dookoła przypominała jakby świątynię, pełną pieśni ptasząt rozmaitych. Okna kraśniały kwiatami o kolorach żywo bijących, bo chowanie roślin należało do przyjemności jakby nakazanych poczuciem konieczności, wedle której gdzie kwiaty, tam cnoty.

Zajechała bryczka jedna, druga, psy krzyku narobiły, ruch się obudził i śmiechy radośne napełniły się głęboką i świetlicę na prawo, zawsze *na prawo*, bo tak zwyczaj kazał, nie pisany, lecz we krwi krążący. Belka pod stropem środkiem biegnąca przepoławiała pokój duży w czwartak założony, oświetlony dwoma oknami od przodu domostwa

i dwoma z boku. Wnet odezwał się fortepian z wnętrza. Zagłuszył go odgłos wózka, który znowu zajechał przed ganek. Potém powóz poważny, czasy dawne pamiętający, potém kałamaszka polska, potém skarbniczek lekki, potém wózek dwukolny: »*bieda*« i tak życie zakipiało w kątku cichutkim a gwarno i rojno uczyniło się wewnątrz i zewnątrz.

Najwięcej oczywiście zaraz słyhać było głosy panienek, bo to żywe a ruchliwe, wesołe a szczerbottliwe. Wołał Syrokomla we wierszu znanym: »Nie masz to jak *Sarmatki*«, a dodać można jak *Podolanki* i to te dawne z czasów powstań naszych. Zawsze one mają tak wiele do mówienia, że śpieszyć się muszą okropnie i słówko za słówkiem goni, pędzi, leci, ściga, że druga nie może wyrazu dorzucić, więc naraz obie mówią, urywają, zdań nie kończą, ale sercem się rozumieją doskonale. Zaiście Sarmatki—Podolanki to były kwiaty chodzące, tyle okazujące wdzięków, że do nich można śmiało zastosować słowa Syrokomli:

»Kto w jęj zacne spojrzy oczy
Sam na sercu pozacnieje!«...

Ale bo też wychowane to było w domu ojczystym na zagrodzie macierzyńskiej, nauczycielką było Piękno pól i lasów, kierowniczką objawienie tajemnic boskich z księgi ziemi i świętości ducha. Rozumiano jeszcze wtedy, że *wołanie ducha* kształciło człowieka a nie pożądanie ciała. Dziś zew ciała wziął przewagę. Podolanki a Sarmatki uczyły najgoręcej miłości Polski i z tego słynęły zaprawdę. Były pełne serca gorejącego a miały przekonania li sumieniem wykształcone.

Gdy się zeszyły panienki Podolanki, dom wrzał i otoczenie kipiało serdecznością a wesołością. Panna Kazia,

córka gospodarstwa, państwa Chołoniewskich, zawołała, że poziomki w lesie najurodzajniejsze i najobfitsze. Panna Filcia (Teofila), siérotka, która była na wychowaniu u p. p. Chołoniewskich, znana z ruchliwości i żywości zaczęła unosić się nad wonią i smakiem poziomek, bo co dzień raniutko, po rosie idąc, upaja się ich mnogością. Kiedy tak, to młodzież wszystka wybiegła z domu prosto w las, z koszyczkami, naczyniami. Wieczór cudnie pogodny zachęcił i starszych do przechadzki po lesie. Gronko najstarszych zasiadło na ganku.

Las cały głęboki a tajemniczy napelnił się w okamgnieniu śpiewem i rozmową, śmiechem i wołaniem. Poziomki dojrzałe prosiły się same, aby je zerwać. Do jednej czasem kilka osób się zwróciło a mężczyzna nie znał w téj chwili przyjemności większej, jak schylić się natychmiast, uprzędzić, zerwać i podać towarzysze. Widok to był zaiste wzruszający, gdy towarzystwo całe pomiędzy dębami stuletnimi przemieniło się jakby w widowisko zaczarowane, ale rzeczywiste, nie udane. Ktoś wiersz wzniosły wygłosił z ogniem, ktoś zaśpiewał, schylając się wciąż za gronem rubinowém, tam kółko za ręce się wzięło i w płasach uroczystych radość życia Bogu objawiało, tutaj gromadka słuchała opowiadania i w milczeniu osłupiała. Oto teatr polski, oto popis polski. Nie znano jeszcze u nas operetek głupich i kabaretów rozzmysłowionych, kręcących się w kółko około pożądlivosti i grzechu. Wszystko żyło uniesieniem najczystsze w obec miłości tylko Boga i miłości tylko Ojczyzny. Nic innego bez Boga i bez Polski u nas nie istniało! Jeżeli co najbardziej znieprawilo duszę polską, na wskrósć zacząć i bogobojną, to przedewszystkiem pieśni kabaretowe

i z tinglu-tanglu wprost do teatru przeniesione, w których sama tylko lubieżność się w oczy pcha bezczelnie a zmysłowość ubiera się w sztuki piękne.

Polska sielska nie znała u siebie mamideł takich, obłudnie przystrajanych. Wszystko było szczere i dobre, ciągle dążące ku cnocie a zasłudze, przy osłanianiu ciała i trzymaniu zła na uwięzi, aby się nie krzewiło i nie potęgowało. Jak to porównać owo rozkoszowanie na tle przyrody osłonecznionej i majestatu Piękna z oddaniem dzisiejszym wszystkich uniesień i zapalów naszych na pastwę samego używania w ciemnościach nałogów?...

Cała ta wyprawa towarzyska po poziomki, w czasie której tworzyły się kółka i kółeczka a często i pary sobie wzajemnie pomagały, cała ta rozrywka najwdzięczniej podnosząca serca w górę i prostująca sumienie, przyniosła tę korzyść, że okazał się zapas poziomek nadzwyczajny. O szarą godzinie byli tuż wszyscy w pokojach, które napęłniły się wonią przemiłą, bowiem na stole biało nakrytym leżały półmiski pełne świeżutkich poziomek a wiązanki kwiatów polnych i leśnych stroiły nakrycie ze śrębrem. Gdy wszyscy zasiedli do podwieczorku tak przygotowanego, zdrowie i wesele biło z twarzy rozpromienionych a jaśniejących słońcem i powieirzem. Można powiedzieć o ludziach tak żywot pędzących, że istotnie *»pełni Boga«* byli, wedle słów Cieszkowskiego.

Dworek ubożuchny, po staropolsku strzechą słomianą jeszcze pokryty, w ciszy i w spokoju, zdala od gwaru miejskiego pod lasami od dawna stojący, jakżeż serdecznie uguszczał tych, którzy się zjechali dla potrzeby serca i sumienia, jakby z obowiązku sąsiedzkiego a społecznego.

Nie po karczmach, piwiarniach, kawiarniach i jadłodajniach lecz w domu przytulnym a miłym, w którym panowała myśl jedynie dobra i życzliwość bezgraniczna. Tego potrzebuje dusza polska. Łanów, lasów, strzechy i gościnności pragnie ona wszędzie i zawsze, a jeżeli tego już nie kocha i nie szuka, to przestaje być sobą a przemienia się i wyradza najszkodliwiej.

Po podwieczorku zabawy towarzyskie takie, które w jedno *koło* wielkie sprzęgało jakby łańcuchem wszystkich od dzieci począwszy a na starzyźnie skończywszy. Starość bywała szanowaną bardzo godnie i miłością żywą ją otaczano. Towarzystwo stanęło *kołem* i rozpoczął rozrywki obrzęd tradycyjny: »Lata ptaszek«... O cóż tu chodziło?... o niewinność uczucia w społeczności złączonej jednością żywotną i czynną. Rozbrzmiała piosnka ochoczo, bo nie było w ludziach nudy i zniechęcenia.

Szczęście w Polsce dawniej opierało się o mądrość grecką (stoicką), iżby nie krępować się mnogością potrzeb. Zadowolniano się drobnostkami, bowiem wierzono święcie, iż na ziemi więcej pociechy dają rzeczy zewnątrznie małe a wewnątrznie, duchowo wielkie, aniżeli sztuczność, nadętość, próżność i wystawność, najczęściej właśnie pożądające poklasku zewnętrznego, bez wartości wewnętrznej.

Taki »ptaszek« wprowadzał od razu nastrój, konieczny dla duszy polskiej, objawiający się przede wszystkim wżajemnością i równością. Wszyscy w jednym *kole* wspólnym. Dziadek trzymał wnuczkę za rączkę i tupał nogami, aby ją poweselić. Babcia stała pomiędzy młodzieńcami, którzy umieli okazać jój uszanowanie najgłębsze i czekali na słowo, aby odpowiedzieć uprzejmie i dowcipnie. Paniątka żarłem

wielce ugrzeczniomym przyjmowała uśmiechy sąsiada a chłopczek najmniejszy cieszył się z otoczenia tak swobodnego. Kręcono się w prawo, potem w lewo, aż na znak dany osoba ze środka wybiera sobie kogoś upatrzonego. Dzielią się wszyscy na *pary*. Każdy dobięra sobie wedle upodobania. Ileż wesołości przy tém, ile zadowolenia! Aż zostaje jedna osoba, nie mająca już pary. Lecz za to, że nie zasłużyła sobie na miłość ludzką i w samotności pozostaje musi dać »*fant*« czyli zakład. Znowu koło, znowu ptaszek, znowu pary się układają i znowu zakład nowy. Gdy już dużo tych fantów, wtedy koło się rozwiązuje i następuje szereg długi gier towarzyskich, przy których bohaterem lub bohaterką każda osoba z tych, które dawały zakłady. Niktby nie wyliczył tych gier, taka ich mnogość była wielka. Było to rzeczą wielce pożądaną, gdy ktoś wystąpił z nowością na tém polu i pouczył, jak rozwiązać to lub owo zadanie. Gra towarzyska nie była bowiem samą tylko rozrywką dla zabawienia, gdyż łączyła się jednocześnie z potrzebą okazania przytomności umysłu i poradzenia sobie nagle, bez przygotowania. Postępowiec dzisiejszy wyśmiewa się z takich zwyczajów czasów dawnych, wstydziłby się wyjść na środek pokoju, ale też nie umiałby się znaleźć i dowcipu by nie okazał. Młodzież polska, dawniejsza, szczególnie z czasów powstaniowych, była pod tym względem pięknie i wzniosłe przygotowaną i wychowaną. Młodzieniec umiał się wywiązać z położenia najtrudniejszego a zawsze grzecznie, mądrze, często dowcipnie i budująco. Nikt nie śmie zaprzeczyć, że gry towarzyskie mądre a celowe były czynnikiem wychowawczym, jednym z najlepszych i najważniejszych.

Ponadewszystko zaś było to korzyścią wpośród zebrani towarzyskich nieocenioną, gdy grono osób nie rozdzielało się wcale, lecz przeciwnie stale i ciągle było razem, tak, iż ogół brał udział w wieczorze całym, nikt się nie nudził, a każdy czekał na kolej swoją. Komuś nakazano most budować. Ileż to trzeba było pamięci, aby zebrać materiały i powołać wszystkich do służby dla dobra ogólnego. Czy to nie mądrość życiowa zdobywała się na pomysłowość sprawną? Ktoś miał przedstawiać kartę naczelną dzieła, więc towarzystwo musiało podawać tytuły. I znowu nikt nie uchylał się od tego, ani dziecko, ani staruszka. Łączność w życiu widoczna. Ktoś miał wiązanek z kwiatów złożyć a każda osoba wybrana miała dorzucić kwiat nowy! Ileż tu myśli górnych się podsuwało i jak to świadczyło o tém, że ludzie dawni znali się na kwiatach i właściwości każdego w okamgnieniu określali ładnie a zgrabnie. Ktoś miał zasiąść na sądzie (czyli na cenzurze). Ile tu żartów bardzo grzecznych padało, ile roztropności się objawiało!...

Szkoda wielka, że czasy nowe u nas razem ze wszystkiém porzuciły owe gry towarzyskie w niepamięć bardzo sromotną. Na miejsce ich »*dancingi*« kaza się kręcić bezmyślnie lub trząść wieczór cały na miejscu jedném, aby zabawa polegała jedynie na przyleganiu. O ileż wyżej stały zwyczaje nasze dawne, jeżeli nie dopuszczały z góry rozdzielania towarzystwa, bo nic gorszego, jak to rozpadanie się na gromadki śpiące.

Jak to *koło* ptaszka jednoczyło silnie łańcuchem dłonie, tak wszystkie zabawy po dworach i dworkach podolskich były przeznaczone dla wdrażania łączności pomiędzy jednostkami, aby pokolenie od dzieciństwa wprowadzało się do poj-

mowania, że u nas w Polsce wszystko, a nawet rozrywki nosiły znamiona narodowe. Łańcuch był u nas ozdobą na piersiach najdawniejszą, ale też i najwięcej mówiącą, iżbyśmy trzymali się ogniwami niezniszczalnymi i nierozzerwalnymi. Cieszkowski (Ojciec Nasz III str. 86.) mówi o tém, że Duch święty prowadzi narody i ludzkość do *uspołecznienia*, coraz doskonalszego, stąd Społeczność samego Ducha Świętego (j. w. str. 115) ma nas przybliżać do Królestwa Bożego, o które modlimy się dwukrotnie codziennie, rano i wieczór. Zgadza się owo orzeczenie mędrca ze słowami Reja, który w Żywocie Człowieka pocziwego przypomina wyrażnie, że *ćwiczenia* mają zdobić dzieci cnotami, jak mądrość stroi ratusz wieżyczkami. O ile wzniośle pojmował naród obowiązki stanu, kiedy Rej pięknie określa je słowami: »Miejże ty Pana Boga dziewosłębem a anioły jego swatami«. — I tak jest i tak było. Wszystko z Bogiem a nic bez Boga, ani do proga!

Odwiedziny takie w Księżynie napawały serce otuchą i zdrowiem czérstwą, bo powszechnie panowała radość, dążąca przedewszystkiem do rozkwitu życia towarzyskiego, szczerze życzliwego. My dzisiejsi, najobojętniejsi na wszystko co nasze a rodzime, wzgardziliśmy spuścizną Ojców i odmieniliśmy się już do niepoznania. Nasze takie ćwiczenia życiowe przez stosunki po kołach sąsiedzkich mogły istotnie wydawać kwiaty wielce bujne... lecz nowość oczerniła co domowe a zasiała same nasiona obczyzny. Obczyzna zaś kielkując, zaprawia nas stale do wynoszenia tego, co zagraniczne a do potępienia wszystkiego, co własne.

Z Księżyny goście nie tak rychło mogli się rozjechać, bo gospodarstwo nadzwyczaj serdecznie umiało pobyt uroz-

maicać. Więc zastawiano wieczerzę sutą, a po posiłeniu się następowały tańce. Same tańce *polskie!*...

Około północy zaczęli goście się żegnać...

Po niedzieli takiej nastawał tydzień pracy cichój, domowej, ale jak wyteżonój, jak wytrwałój. Nie po biórach i bankach, ale w kątku cichym zagrody rodzinnej, z igłą i nitką w rękę, przy kołowrotku i nad krosienkami, koło pługa, nad ziarnem, w lesie i w polu. Nic się nie marnowało ani czasu, ani sił, ani darów boskich ani zdolności ludzkich, a wszystko obracało się na przymnożenie dobytku. W pracy siły wzmacniano a nie w próżniactwie. W domu własnym szukano szczęścia i w rodzinie się kochano jak najprzykładniej.

O! jak my Polacy znieść tego nie możemy, gdy słyszymy wychwalanie dobrych stron naszych. Tak już wzrosliśmy w tém, aby idąc za tonem dobrym czasu widzieć u nas same tylko strony najczarniejsze, że lękamy się sami siebie i dlatego uciekamy myślą i uczuciem od miłości naszej przeszłości rodzimój. Kto właca w czasy dawne i podnosi je w górę, jest zacofańcem zdziczałym. Postęp każe otaczać się wzorami ze stron najodleglejszych a o pracy domowej nikt pojęcia już niéma. Wszystko pędzi do urzędów, aby przy maszynie do pisania i do rachowania całą sprawność objawić dla przelewania z próżnego w puste. Dawniej pończochy, koronki, bielizna i suknie to wszystko były wyroby czysto domowe, dziś panienka miesiąc cały pracuje przy pukaniu na maszynie i co zarobi wszystko zanieśie do sklepu żydowskiego.

Na Podolu w czasach owych, które opisujemy, panno-
wała skromność wymagań nadzwyczajna, przypominająca

czasy pierwotne, oraz ludzi przenikała skłonność do umiarkowania przez życie całe, więc było spokojnie ale błogo, prosto ale szczerze.

Zebranie towarzyskie na Księżynie musiało się zakończyć ułożeniem porządku, w jakim nastąpić miały nawiedziny w Niedzielę najbliższą lub w święto wkrótce wypadające. Bez zawiadomień osobnych i bez zapraszań szczególnych, po naradach wspólnych, postanawiano zgodnie, że zjazd miał nastąpić we dworze tym lub owym, zależnie od okoliczności związanych z imieninami lub uroczystościami innemi. Myli się każdy kto sądzi, że przyjęcia takie dawne po dworach i dworkach były kosztowne, bo właściwie wszystko było w domu podostatkiem i niczego kupować nie potrzeba było. Natomiast gdy dziesięć rodzin zjechało się z nawiedzunami do Księżyny, to dziesięć odwiedzin ich wzajemnych ze strony państwa Chołoniewskich, którzy dzierżawili Księżynę, wyrównywało najzupełniej sprawę a zażyłość towarzyska zyskiwała na rozmaitości i na przyjemnościach coraz to innych.

Gdy tak się porozumiano, zjazd następny wypaść mógł na dom Państwa *Słoneckich*, którzy mieli na własność wieś Karolówkę, pomiędzy Tłustém a Zaleszczykami. Pamiętam dobrze dwór wielki a piękny, gątami kryty w dach bardzo strzelisty, o gankach dwóch słupowych, jednym od dziedzińca, drugim od ogrodu prześlicznego a ogromnego, łączącego się z gajem brzozowym. Mój Boże! jakaż to szkoda nie do odżałowania, że nie pozostał w Polsce już ani jeden dwór taki, któryby mógł dać pojęcie najlepsze o siedzibie prawdziwego ślachcica pocziwego. Cośkolwiek było do czasów wojny na Wołyniu i Ukrainie, lecz zdzierstwa i po-

żogi zmiotły wszystko do szczętu ostatniego. Jakżeż to boleśnie pomyśleć, iż z widowni na ziemi znikły te okazy, godne podziwu.

Państwo Słoneccy byli w okolicy prawie najbogatsi, a zatem dwór ich uchodził za wzór gościnności połączonej z wystawnością zaiście wielkopańską. Na dziedziniec kilkumorgowy prowadziły z drogi topolami wysadzonej, dwie bramy a nie jedna i szczegól ten uchodził za właściwość rodu, w którym dla gościnności i przyjaźni musiała żyć miłość do *»domu otwartego«*, aby jedną bramą wjeżdżano, drugą wyjeżdżano. Na trzech potężnych filarach kamiennych stały trzy ładne wazony, zawsze w lecie pełne kwiecia barwnego, bo ogrodnik uważał, aby nie brakowało tu nigdy kolorów żywych.

Dwór w Karolówce był przykładem gospodarstwa najlepszego. Stodoły ogromne, słomą poszyte, strzelały w górę dachami najwyższymi dlatego, ponieważ szerokość ich była olbrzymia. Stodoły podolskie bywały największe, to też zwano je *stodoliskami*. Stajnie, wozownie, chlewy i szopy wszystko bardzo porządne, dostatnie. Dworki małe po bokach dziedzińca, miłe z ganeczkami. Dwór wielki, przyziemny, miał piętro tylko nad częścią złączoną z gankami i dlatego dom taki zwano *krzyżowym*. Zajazd wprost uroczysty w kole od bram dwóch bardzo szerokich. Na środku trawnika stały cztery lipy stare a między niemi stół dębowy z ławkami.

Dom państwa Słoneckich słynął cnotami staropolskiemi i dlatego był cichym, bo unikał rozgłosu najmniejszego. On, pan z rodu, nosił się po polsku, pilnował gospodarstwa od świtu do nocy i kochał się w ziemi, roli, lesie i sadach. Pracował wzorowo. Mówiono o nim, że był dobroci nadzwyczajnej i dlatego nigdy o nikim źle nie mówił. Było

to znamieniem życia społecznego, tam na uboczu Podola w zakątku dalekim od miast wielkich, w którym nie znano jeszcze wówczas tych przywar, jakie głównie zasilają się obmową i ośmieszaniem. Nie!.. ślacha wyższa i niższa żyła w zgodzie i miłości, z której często wypływały tacy »bracia słubni« do śmierci żyjący poświęceniem dla drugich, tylko dla bliźnich. Pan Słonecki mówił zawsze tylko o tém co *dobre*, siał istotnie same ziarna pszenicy, był gościnnym czasami do przesady skutkiem uczczenia gościa, był wesołym i pogodnym, był dobrodziejem w całym słowa znaczeniu, dla okolicy i dla wszystkich. Pani Słonecka, zamięłowana w obyczajach starych i zwyczajach, była wzorem »matrony polskiej«, od której biła powagą a godność majestatyczna. Miała we dworze obyczajem starym lekarnię domową, złożoną ze ziół, na których się rozumiała doskonale i którymi leczyła wieś całą. Oblęgano jęj drzwi dniem i nocą, albowiem zioła cudów dokazywały. Znajomość własności leczniczych roślin naszych była w Polsce uprawianą ze zamięłowaniem nadzwyczajném; gdy atoli rozum zawodowy później nazwał to leczenie »*znachorstwem*« i pogardliwie uważał je za coś ciemnego, wkrótce upadło i dziś niéma już ani matek ani babek u nas, któreby podtrzymywały lekarstwa ziołowe.

1812 Dwór w Karolówce, znany tylko z *cnót staropolskich*, najcichszych a najlepszych, był ogólnie kochany. Gdy w dzień oznaczony mieli się goście zjechać, znać było ożywienie ruchu, bo służba się gorliwiej krzątała pomiędzy pokojami a kuchnią, osobno opodał w budynku stojącą. Córki państwa Słoneckich jaśniały same pięknnością zdrową i rumianą, lecz gdy świetlica wielka we dworze przepełniła się gośćmi, to było co podziwiać, ile tam Podolanek ślicznych zdobiło po-

koje. Jeszcze ozdobą główną były *warkocze* polskie, albo okręcane dookoła głowy na znak korony lub wieńca pańieńskiego, albo w dół spuszczone na plecy. Co to były za kwiaty, ozdobione rumieńcami najzdrowszymi i bijące promieniami ócz czarnobrewych. Skromność i praca domowa rozwijały to zdrowie. Słyszeły głośno z piękności Podlasiarki i owe »*pacunelki*« ze Żmójdzi, które wyniósł Sienkiewicz w »*Potopie*«, lecz *Podolanki* nasze były zawsze najkraśniejsze!..

Białogłowy podolskie w czasie owym cenione były głównie dla pracowitości jedynie domowej, na progu czysto rodzinnym, bez szukania zarobku. Roboty domowe były umiłowane aż do zapalczywości, stąd dwór polski napelniony był okazami prac ręcznych a nie fabrycznych. Hafty, koronki, wyszywanki na jedwabiu lub aksamicie i roboty włóczkowe albo szydełkowe co krok stroiły miejsca i sprzęty po izbach. Krosienka stały w pokoju pańieńskim stale pod oknami, przy nich pełno nici i wzorów dawnych, a kołowrotek z kądzielą i wrzecionem uchodziły za potrzebę wśród zatrudnień życia całego. Ileż to przez to wprowadzało się oszczędności do życia domowego, zwłaszcza gdy przemysł rodzimy dostarczał prawie wszystkiego w miejscu, bez posługiwania się zagranicą. Taką drogą dobrobyt się wzmacniał nie na gadaninie uludnej, lecz na czynach codzienności oparty. Gdzie okiem rzuciłeś, po ścianach, na podłodze, w oknach, po łóżkach, na krzesłach, po stołach, na komódce i na szafie robótki odręczne wdzięczne i do porządku służące.

A wiedzieć trzeba, że drobiazgi owe zapełniały wnętrze i kąty razem ze sprzętami starodawnymi tak pięknymi i tak wytwornymi, że czasy dzisiejsze nie mogłyby się na nic lepszego zdobyć. Szafy i stoły mahoniowe, krzesła i ka-

napy orzechowe — w pokojach innych szafy i stoły dębowe — łóżka palisandrowe, »służba« (czyli kredens) z wiązuciem ciemnego, szafeczki i biórka z czeczotki w Polsce tak umiłowanę — wszystko to zgrabne i bogate, tchnące przeszłością głęboką i zamięłowaniem do okazałości. Nie dla pychy i zarozumiałości otaczano się wytwornością i mnogością urządzenia domowego, lecz z zamożności idącej z czasów świetnych.

My dziś za wiele rozprawiamy o opiece nad zabytkami, lecz ich stanowczo szanować nie umiemy. Każdy dwór ślachecki jeszcze do końca wieku XIX był rzeczywiście »*czci-cielem starożytności*«, jak pan Podstoli Ign. Krasickiego. Sam pamiętam z młodości mojej, gdy bywając po dworach okolicznych zdumiewałem w osłupieniu, kiedy uderzył kurant a dźwięk jego rozlegał się po wszystkich stronach dworu rozległego. I w Karolówce był kurant duży w sieni wielkiej, wstępnej, téj *hali* polskiej, którą my musimy nazywać »holem« angielskim. Kurant ów głosem srebrnym grał pieśń nabożną: »Serdeczna Matko« — a równocześnie hymn narodowy: »Boże coś Polskę«. — Kór na górze, jako orzeł zrywający się do lotu, bił skrzydłami dla oznaczenia godzin. W każdym pokoju był zegar a każdy zachwycający! — Świetlica wielka, biała i pokój stołowy miały jeszcze *szpalery* czyli obicia, idące z pokolenia na pokolenie.

Już kór czyli orzeł na kurancie wybił 6-tą wieczorem i odegrał pieśń pobożną i pieśń zarazem narodową a ciągle goście napływali. Za każdym razem, gdy się trzask bicza rozległ, lub gdy pacholę pilnujące ganku dało znak, że powóz jedzie, śpieszył gospodarz na ganek i schodził do stopnia powozu, aby podać rękę Jójmości wysiadającej.

Gdy się wszyscy już zgromadzili, zasiedli kołem w świetlicy, mającej jeszcze *sosrqb* u góry, poczerniały od starości. I znowu starzy i młodzi, panie i panowie w łańcuchu zwartym szukali przyjemności koniecznie wspólnej, nie po kątach. Rozmowy ożywiały grona pojedyncze, aż gdy zapłonął kominek, buchający płomieniem, wtedy pod wpływem nastroju oczekiwano czegoś, co zdarzyć się musiało, choć nikt nic nie zapowiadał. I w rzeczy samej powoli, znienacka, głos zabrali ci najstarsi, którzy z wieku i z urzędu dzierżyli pierwszeństwo. Nie wiadomo jak się to stało, że cisza zaległa, jakby kto makiem posiał, a p. Komornik, staruszek siwiuteński, począł snuć przedzę złotawą *gawędy*. Wszyscy słuchali z namaszczaniem.

Boże wielki!... gdzie znikł nasz duch *gawędziarstwa*? dlaczego z widowni życia polskiego ustąpili ci *gawędziarze*, którzy przez wieki długie podtrzymywali drogie pogadanki narodowe, nie tyle dla rozrywki, ile dla *nauki* jak najpoważniejszej?... Szkoda przewielka, że w Ojczyźnie naszej razem ze strojami i tańcami, z obyczajami tak mądrymi i zwyczajami najpiękniejszymi, z dawną mową naszą przepadły i te postacie starców białowłosych, którzy umieli po mistrzowsku opowiadać dzieje dawne i zachwycali i porywali i uczyli... Te opowieści dworskie a ślacheckie początkami swoimi tkwiły w starożytności najodleglejszej, dla umilenia życia rodzinnego ślachty kontuszowej.

W. A. Maciejowski słusznie to podniósł, że stały się one ośrodkiem drużyny rozweseloniej dla *koła* Babińskiego i znamieniem życia »*Panie Kochanku*«. Cześnika parnawskiego nazywał on *bajazerem* cudnym, który odtwarzać umiał piękno staroświeckie, »mowę narodową owiał woniejącem powietrzem

przedwiekowej sławjańskości«... (Piśm. pols.: II. str. 634). Prawda to wielka, że w utworach owych widzimy kwiaty o woni i barwach bardzo skromnych, lecz za to zdumiewa nas potęga czci dla miłości Ojczyzny i żywość wiary w Boga. Gawędy nasze żyły wpiérw przez wiele stóleci w uśmiechu narodu, zanim przedostały się do utworów wierszowanych wieku XIX. Nawet lirnicy nasi, po odpustach setki wierszów wyśpiewujący przy słuchaczach załawionych, oni nawet od czasów homerowskich należeli do naszych gawędziarzy narodowych, podobnie jak do dziś żyją tacy w Serbji i Bułgarji.

Zebrania towarzyskie po dworach ślachty podolskiej, tam w ziemi Czerwonogrodzkiej, nic nie zmieniały z czasów dawnych i niczego nie zaniedbywały, co przenosiło się z pokolenia na pokolenie. To téż i w Karolówce tak się złożyło samo przez się, że wieczór przy kominku palającym pobudził gawędziarzy, którzy nawiązując się do słowa zasłyszanego i do rozmowy w okamgnieniu zaczynali snuć powieść ze życia. Jak w Panu Tadeuszu Wojski bawił grono całe opiesem malującym pojedynek Domeyki z Doweyką, tak i tutaj nie brakło takich, co pamiętali Kościuszkę i Księcia Józefa. Zatem pełno cudów i sławy, co to umiały *ułana polskiego* podnieść na czoło wojskowych. Co zdanie to podziw dla wszystkich, aż serce rosło w górę. Co wydarzenie to przykład ślachtetności i wzór dzielności. Słuchali wszyscy razem, młodzi i starzy, mężczyźni i białogłowy. Nikt się nie ważył przerywać sędziwemu, który głos podnosił to znów zniżał, więc czynił wrażenie, a gawędząc udzielał nauki. Szanowano bardzo poważnie starość piękną, zatem przyjmowano do głębi serca słowo każde z ust opowiadaczy i pamiętano je potem przez życie całe.

O! jakżeż to była siła wielka w takim porządku życia przyjacielskiego!...

I nie dziwować się wcale, iż nikomu wówczas nie przychodziło do głowy, ażeby zaraz dla pamięci spisywać te opowiadki lube, zaprawione dowcipem zdrowym a obyczajnym, bez dwuznaczników nowoczesnych, skierowanych ku zmysłowości. Treść zawsze narodowa, jednocząca miłość Boga z miłością Ojczyzny, a w szczęściu rodziny szukająca chwały dla Rzeczypospolitej i odwrotnie. Treścią tych opowiadań były urywki jedne z powstań naszych, zawsze czcigodnych, inne z dnia codziennego, który wydawał się szarym a nudnym, a jednak bywał obfitym w ciekawostki. Wszystkim się zdawało, że to tak być powinno zawsze, zatem niema co spisywać.

Dziad nasz Karol, bawiący w domu naszym w Tłustém, gdy z rodzicami naszymi pojechał razu pewnego do Karolówki, wmięszal się w gawędy takie, które obracały się około opisów konia mądrego a wiernego. Otóż w Czerwogrodzie kupił dziadek raz konia wojkowego, jaki był doskonale wyćwiczony do jazdy wierzchem. W obec tego atoli, że w wojsku często bardzo występował on przy tonach muzyki, nauczył się tańczenia na miejscu jedném, aż dziadzio często dalej ruszyć nie mógł. Zdarzało się nieraz, iż dziadek wsiadał na konia wprost z ganku, na którym stała babka i matka nasza, oczekując odjazdu jego i żegnając. Otóż koń ten uważał to za obowiązek, aby popisować się przed osobami na ganku stojącymi i przebierał nogami i obracał się i pisał naprawdę, jakby dla przyjemności własnej. Przekonano się potém, iż koń nie odjechał tak długo, dopóki nie zauważył, że niema już nikogo na ganku. Kiedy dziadzio zaś chciał prędko odjechać, mu-

siał z góry prosić, aby nikogo nie było na ganku. Najgorzej zaś było wówczas, kiedy wypadało odjechać od ganku, na którym dużo osób stało. Koń wtedy najzgrabniej drobił kopytami i tak się kręcił, obracał, tak w kółko hasał, że końca temu nie było. Musiał go ktoś dopiero za uździenicę schwycić i odprowadzić do bramy. Wtedy ruszył i puścił się biegiem.

Stworzenie to śliczne, było ogromnie wrażliwe i za skinieniem ręki jeźdźca gotowe do każdego kroku a ruchu. Raz dziadzio, siedząc na koniu przed rzędem półkopków ze snopów pszenicy, objaśniał ekonomowi i wskazał coś harapem przed siebie. Na to koń posłuszny popędził naprzód i w okamgnieniu przeskoczył przez półkopki ku żeńcom i stanął nieruchomo jak na baczność przed łanem zboża wysokiego.

Koń w Polsce zajmował stanowisko wyjątkowe, a zatém wiązały się z nim chwile najważniejsze oraz najuroczystsze. *Utaństwo polskie* to dzielność i konia i jeźdźca. Sypały się jak z rękawa wspomnienia wydarzeń rozmaitych, okraszane wymową ozdobną. To też przysłuchiwano się gawędom po dworach naszych z uniesieniem wrodzoném, ponieważ we krwi tętniło zamięłowanie do koni od czasów Światowida. Przypominano zawody czyli gonitwy królewskie na błoniach Prądnika pod Krakowem. Ś-go Marcina na koniu białym sobie wyobrażano. Kulig staropolski bez koni, przystrojonych w dzwonki, kółka mosiężne, serduszka na czole i choraągiewki na karku, byłby niemożliwy! *Koń z rzędem*, ale jak strojnym i jak bogatym, co to była za duma ślachcica polskiego! Marek królewicz w Serbji dokonywał cudów razem z koniem swoim. Koń zresztą w pochodach naszych i przy wjazdach uroczystych niepoślednią odgrywał rolę.

Zwyczaj to bardzo stare, gdy w Piśmie św. czytamy o »wja-
chaniu Chrystusa na królestwo Swoje«. — Nic téż dziwnego,
że rozrywki ślachty polskiej opierały się o stan rycerski,
w którym koń i jeździec to istota jedna.

Otóż takie gawędy narodowe ożywiały każde u nas
zebranie większe. K. W. Wójcicki uważa, że dawały one
naukę najpożyteczniejszą: »Była taka gawęda szkołą i aka-
demją, zwłaszcza przy owém życiu *przyjacielskiém* ziemia-
nów naszych. O! byćć ona i straszną bronią na złe oby-
czaje, zły człowiek się jój kajał, aby imię jego w gawędzie
sąsiadów nie zabrzmiało niesławnie, bo wówczas przepadł
na zawsze, jak znowu dobry sławę zyskiwał...«

Szkoły nasze, za przykładem zagranicy urządzone, wszyst-
ko to wykorzeniły. Mickiewicz w Księgach Narodu powiada:
»ci młodzieńcy byli *cnotliwi* póki siedzieli w domu, a jak
się wyuczyli w *szkole*, źli się stali«. — I jest u nas coraz
gorzej, gdyż nietylko pokolenia dzisiejsze oderwały się od
pnia rodzimego i odłączyły od korzenia ojcowskiego, ale
nadto w szyderstwo wszystko co nasze obróciły, pogardze-
niem zdeptały i na zapomnienie skazały.

Jeżeli dziś co u nas udać się może, to tylko, karyka-
tura i satyra, bo téż droga to najłatwiejsza!...

U Państwa Słoneckich przyjęcie było wystawne, bo
i w pokoju stołowym stała jeszcze »*służba*« (po dzisiejszemu
kredens), otoczona oporęczowaniem czyli balustradą, jak to
opisuje Krasicki w Panu Podstolim. Zastawa stołowa z her-
bami to srebro starożytne, przypominające czasy polskie.
Jakie to wszystko było okazałe, jakie drogie nie dla wątku

samego, lecz dla pamiątki narodowej. Jeszcze mimo upadków i powstań ślacheckich pozostało było wiele po dworach i zaściankach podolskich; jak na Ukrainie i Wołyniu... Były przepiękne cukiernice i puchary, miednice i dzbany, tace i wazy, świeczniki dwuramiennie i szkatuły, roboty wypuklastej i marcypanowej. Pajaki wiszące u stropu mieniły się krzyżtalami tęczowymi. Żwierciadła, od posadzki pod pułap sięgające, dodawały uroku a obrazy liczne umilały wnętrze.

Zabawa ochocza przeciągała się długo. Potém dopiero były tańce, aż gdy świt się poczynął, dawano kawę białą na pożegnanie.

Gdzie wrzało takie życie wśród serdeczności wylaniej, najczęściej dziś pustka martwa zalega, bo spryt nowoczesny zniósł prawie wszystkie dwory, ziemie pokawałkował, rozdrobił i zniszczył własności dziedziców, o których świat dzisiejszy ma wyobrażenie, że to byli barbarzyńcy najnikczemniejsi. Gdzieniegdzie dwór jakiś trwa jeszcze w rękach innowierców, lecz zimno w nim i odludno, ponieważ rozsiała się tam wszędzie jedynie żądza pieniądza i walka o zdobycie jego.

Zniszczenie stanu ślacheckiego i dworskości polskiej to samobójstwo celowo powodowane dla zaprzepaszczenia Ojczyzny Łęchickiej.

Opodal Tłustego po nad rzeczką Dębną, która ciągle tworzy opola *stawowe*, jest wieś *Świdowa* z cérkiewką mурowaną, podobną zupełnie do kościoła. Na probostwie tuż obok mieszkał ksiądz proboszcz obrządku greckiego, który był przyjacielem najserdeczniejszym ojca naszego. Były to jeszcze czasy zgody prawdziwój i jedności nierozzerwalnéj i dlatego ks. ten Załuski mawiał do ojca: »ja jestem Polak obrządku greckiego«. Nikomu się wtedy ani nie śniło o różnicy pomiędzy Rusinem a Polakiem. Miłość szczé-
ra i życzliwość przyjacielska łączyły nas dozgonnie.

Polak i Rusin to dwa bratanki!... Pamiętam z lat najmłodszych, jak szedłem nieraz po pod młyn Świdowski, podobny zupełnie do Tłusteckiego, potem brzegiem stawu pięknie utrzymanego zbliżałem się do probostwa. Ksiądz Załuski witał mnie z radością i przyjmował gościnnie, dał na list odpowiedź i odprowadzał do bramy. Gdy wracając widziałem na groblach młynareczkę krasawicę, zdawało mi się rzeczywiście, iż to ta Kasia, o której bajki nam mówiły, że po moście kalinowym szła w trzewiczkach złoconych, w koronie z barwinka złoconego, ze zausznicami złotými i cała na piersiach paciorkami ustrojona. Klekot młyna Świdowskiego długo miałem w uszach, bo to była gwara, która nas wychowywała w dzieciństwie. Koło młyńskie z krzyżem w środku, ciągle się obracające, jakże ono mnie bawiło ruchem swoim umiарowym, pełnym spokoju żywego.

Koło pod łotokiem, jednostajnie bieg życia malujące, przypominało koło zwyczajów i obyczajów, z roku na rok ze siłą jednakową się powtarzające i na wyobraźnię działające. Gdy na Wielkanoc naszą powietrze okolicy drżało

głosami dzwonów, co znaczyło zwyczaj *rozbijania* ich na chwałę boską, to wkrótce powtarzało się to samo na *We-łykdeń* ruski, kiedy z dzwonnicy drewnianej przy cérkwi rozlegały się dźwięki rozliczne uroczystości »*haiłkami*« zwanój. Lecz te *haiłki* były i przy kościele także w dzień pierwszy świąt Zmartwychwstania. Wiedzieć bowiem należy, że obchody owe tak u Polaków przy kościele, jak i Rusinów przy cérkwi, z jednego wypływają źródła, mianowicie z wiary Światowida, od którego możnaby nawet wyprowadzić nazwę Świdowy, pochodzącą od *Światowidowa*. *Haiłki* w brzmieniu starosławjańskiem to właściwie *gajówki* w dzisiejszym języku polskim. Obrzęd ten wdzięcznie znaczył kojarzenie życia ze śmiercią, albowiem w chwilach radości w obec wiary w Odrodzenie nakazywał pamięć na zmarłych i dlatego zlecał ludziom gromadzić się na smętarzu około kościoła i cérkwi. W czasach dawnych smętarz grzebalny dookoła kościoła i cérkwi się rozlegał. Wiek XIX w Polsce wszystko to przeinaczył i przerzucił smętarze po za wieś i miasta. Na południu u Dalmatyńców, w Krainie, Karyntji i Styrii do dziś są groby z Krzyżami, otaczające świątynie. Grób króla tułacza Bolesława Szczodrego jest przy murze kościelnym, północnym w Osjaku i należy do smętarza, który po nad jeziorem Osjackim cudnie jest przybrany w krzyże, misternie sztuką kowalską wyrobione. *Wielkie z krzyżem* Po takich smętarzach w obecności grobów ojców i matek, przodków i wieszczów naszych odbywały się *gajówki* dla uczczenia zieleni wiosennej, w narzeczu ruskim *haiłki*. Ośrodkiem obrzędu, to *koło* wielkie dziewcz młodych, sprawujących *taniec święty* na znak wdzięczności przed Bogiem. Co za stroje wspaniałe były i co za przepych w kolorach

wstęg mnogich, falujących po nad głowami uczestniczek. Śpiewy podnosiły wszystkich do góry jakby na powitanie gaju i zieleni. Słowa przekrecone dziś wprowadzają jakiegoś zelmaną, lecz to widocznie oznacza ziel-mienia! »*Jedzie Ziel-mień, jedzie*«!

Kiedy płeć żeńska tak się zabawia, wtedy chłopcy po męsku popisują się zręcznością i siłą, bowiem budują bramy święte czyli *wrota*, jako piramidy czyli *wieże ruchome*. Na ramionach starszych i silniejszych stoją młodszy i zgrabniejsi a tak na tych ostatnich pną się w górę jeszcze odważniejsi, aż na wierzchołku samym jeden staje najwyżej, w wysokości *czwartej*. Gdy się piramida waży i pochyła, umiejętnie zeskakują ci najwyżsi i wpadają wewnątrz koła dziewcząt.

Nieszpory zabawy przerywają.

Nam, Polakom nigdy nie wystarcza to, na co my u siebie patrzymy, bo w okamgnieniu porywa nas żądza dziwna przyczepienia wszystkiego każdemu obcemu, tylko nie swojemu. Tak i w przypadku tym, tańce owe i zabawy tam na Podolu przy kościele lub cérkwi usiłują badacze nasi przypisać Bóg wié jakim wpływom, ażeby dopełnić koniecznie obowiązku wynarodowienia, wedle nauki ze szkół po niemiecku urządzonych. To wszystko nieprawda! — »*Koło*« jako taniec należy do ducha ogólnie sławjańskiego, bo dziś żyje ono w Jugosławji, u Serbów, Bułgarów, Dalmatyńców i Kroatów. A piramidy owe jak wieże ruchome, to także właściwość wrodzona szczepowi wedyckiemu. W Wenecji widziałem miedzioryt ciekawy, barwnie malowany z podpisem: »*Feste nel giovedì grasso, nei tempi della Repubblica di Venezia*«. Przedstawiona jakaś świątynia, widocznie z drzewa na uroczystość zbudowana pomiędzy pałacem Dożów

a księżniczą Sansowina. Tłum ludzi w strojach ludowych bajecznie kolorowych. Niewiasty ubrane w spodnice, ogromnie szeroko ufałdowane, jak u nas dziś po stronach dalekich. Na przedzie zapaska całkiem nasza, polska. Stanik czyli kształtnik od przodu gęsto sznurowany. Chusta ogromna, złotem przetykana z głowy i ramion spada aż ku kolanom.

Wymi Koło téj świątyni, w stylu barokowym wzniesionéj, tuż przed słupami granitowymi placyku małego t. j. Piazzetty, chłopcy w spodniach czerwonych ustawiają *piramidę*. Jest ona ciekawą, bo u dołu samego stoją dwa rzędy po 4 młodzieńców, którzy trzymają deski. Na deskach tych najniższych stoi dwóch, którzy trzymają poziomo deski wyższe. Na jednéj stoi chłopak jeden w wysokości trzeciéj, a na drugiéj naprzeciwko stoi chłopak drugi. Ci dwaj dźwigają deskę na ramionach w poprzek do rzędów niższych. Na desce owéj najwyższéj stoi dwóch, na ich ramionach jeden, a ten u szczytu duży unosi jeszcze w górę małego, sięgającego najpodniosléj. Oto wieża żywa na przypomnienie obrazowe dążności ku wyżynom, wedle powołania boskiego. Miedzioryt ma oddawać obraz, który malował Antonius Canal. Razem piramidę ową stanowi aż 18 ludzi!

Choć są podpisy włoskie i choć dziś Wenecja od dawna pod rządami »*Italii*«, mimo wszystko piramidy owe, dla uświetnienia uroczystości są czysto weneckie, należące do Wenetów czyli Henetów, zatém Sławjan. Otóż poznajemy jak podkład głęboko myślowy silnie był zakorzenionym w całym szczepie sławjańskim wedle jednych zasad i ze serca jednego!

Że »*hailki*« były w nazwie ruskiéj tém samém, co nasze majiki, gaiki, kogutki (czyli kórki) lub traczki, to więcéj

jak pewne. *Haitki* w brzmieniu zruszczoném przechowały język starosławjański. Po polsku gajówki po gajach i bóg-gajach, a w czasach ostatnich po smętarzach. Wszystko to razem były wielkie *obrzędy* wiosenne na cześć słońca i nieba, aby podtrzymywać w całym szczepie sławjańskim wiarę w nieśmiertelność pełną wartości duchowej i wyższość dążenia ku cnocie nie jednéj, lecz ku cnotom niezliczonym, wypełniającym życie społeczeństwa i człowieka pojedynczego. Były to tam na Podolu jeszcze takie czasy zacofane i zgoła barbarzyńskie, kiedy matki nasze w dniach niektórych brały z czcią na szyje żałobne krzyżyki czarne na łańcuszkach żelaznych, brały paski czarne z orłami białými na przedzie i nosiły pierścionki czarne z obwódkami białými. Dlaczego?... bo były jeszcze ciągle żywými uniesienia górne i zapaly serdeczne.

Wśród téj dzikości odgraniczenia świata żyły tam na Podolu oznaki jedności narodowej, która dobrze to rozumiała, co przedstawiał obrazek łączący w całość orła z pogonią i aniołem świętym. W rzeczywistości żyło pojednanie prawdziwe i Litwy i Rusi z Polską, takie, które nawet nie przypuszczało, aby świętości Zjednoczenia mogło co naruszyć. Wszystkie obyczaje i zwyczaje jedne były i te same, u nas, jak i u rusinów. Sroje te same. Święta całkiem takie same. Nawet mowa prawie ta sama, bo jeżeli Polak mówi »głowa«, to rusin powiada »hołowa«, ojciec to otec, siostra to sestra, droga to doroha. Gdy wśród obrzędów wiosennych, z czasów pogańskich widocznie początki biorących, wypadły najpiękniejsze i najważniejsze w czasie tygodnia wielkiego i Wielkanocy (po rusku Welykdeń), to i po cérkwiah były groby Chrystusa, które strzegli »*hułani*« polscy, ponieważ wojsko

austryjackie po wsiach wszędzie rozmieszczało konnicę polską. Gdzie nie było ułańów prawdziwych, tam chłopcy sami się przystrajali w ubrania papierowe, aby koniecznie przy grobie Zbawiciela czuwał hułań z kołpakiem na głowie, z piką ułańską w ręce, z bandolerami białymi na piersiach w krzyż założonemi i w rabatach czerwonych o guzikach srebrnych. Nie może w to nikt uwierzyć a jednak M. Czajkowski opisuje, jak z początkiem wieku XIX-go w Kijowie i w okolicy Życimirza (Żytomierza), po Braclaw i Słuczę wszyscy nosili się w kontuszach barwy turkusowej, z guzami złotymi o wyłogach czarnych i w żupanach białych. Młódź kozacza walczyła w imię matki Polski. Lud ukraiński ubierał się także w żupany i miał kontusz bramowany galonem złotym lub srebrnym. Kozak stroił się po polsku. (patrz: Bibl. Warsz. 1852. IV. str. 154). I dlaczego? bo żyła myśl górna i jaśniało uczucie gorące miłości pięknej i ślachtetnej. Tam, gdzie postęp nowoczesny jeszcze nie dotarł, tam z czasów dawnych panowała między ludźmi świętość umiłowania duchowego. Takie to było barbarzyństwo zdziczałe, że naród korzył się przed Bogiem i w Piątek Wielki klękał na oba kolana i krzyżem kładł się u stóp Chrystusa, na ziemi leżącego. W prostocie aż bardzo pierwotnej uczucia panowały nad rozumem i błogo było i spokojnie, wedle braterstwa a przyjaźni. Trzymano się porządku boskiego na ziemi, ale ulatywano w błękity, bo wierzone w prawdę, że;

»Zatrzymasz orła w obłoku

Gdy mu utkwisz oko w oku!«

(Sew. Goszczyński).

Dzisiaj głównie dlatego nikt nie może pojąć Polski dawniej, albowiem ciało możemy wprawdzie unieść na la-

tawcach po nad chmury, lecz duchem pełzamy po błotach i kałużach namiętności najgorszych. Nie tak było za czasów młodości naszej. Życie darzyło wszystkich natchnieniem a wzajemność serdeczna pokrzępiała się przekonaniem, iż człowiek żyje dla dobra bliźnich. Każdy poświęcał się dla wszystkich, a dziś wszyscy muszą padać ofiarą samolubstwa, które dąży tylko do łapania pieniądza bądź jakimi sposobami.

Życie przyjacielskie i braterskie na Podolu jeszcze nie znało wówczas ani rozdziałów stanowych ani różnic narodowościowych. Dążono wedle zawołania jednego i to stwarzało siłę, która dzisiaj rozprysła się w cząsteczki miljonowe. Ludzie dzisiejsi karmieni poglądami z dzienników czysto plotkarskich wyzbyli się wyższości ducha i nie znają niczego innego tylko kupczenie i rachowanie zysku.

W czasach po powstaniowych naród nie myślał o znikomościach, bo miał duszę pełną ideałów!

Przyjaźń domu naszego z domem księdza Załuskiego w Świdowej miała to dobro, że w sąsiedztwie najbliższém najłatwiej było korzystać z gościnności odwiedzin wzajemnych, mogąc w lecie i na wiosnę nawet pieszo odbyć drogę niedaleką. I w rzeczy samej — pamiętam — wiele godzin przyjemnych upłynęło wśród zabaw towarzyskich, na których łączyliśmy się węzłem życzliwości i dobroci!

Jeżeli o tém tu piszemy, to głównie dla celu takiego, aby przypomnąć, jak to inaczej, inaczej bywało, a zawsze lepiej, ponieważ nie było tyle zła między ludźmi, tyle nienawiści, co dzisiaj. Jak długo nie zapanuje między nami zgoda plemienna, aby w życie weszły te zasady, jakie stworzyły *Unje* nasze, czyli »*Zjednoczenia*« w świecie najpiękniejsze, tak długo lepiej u nas nie będzie.

Pożycie Polaków z Rusinami dawniej powodowało jedno znamię bardzo ciekawe: oto wszystkie święta większe naród dwa razy obchodził. Najpierw były zawsze uroczystości polskie, potem ruskie. Zważywszy, iż w czasach owych poczytywano to za konieczność, ażeby inne mieć ubranie na codzień do pracy, a inne strojne bardzo »od dzwonu wielkiego«, łatwo wyobrazić sobie, jaką to podniosłość do życia wprowadzało, gdy wszyscy występowali w sukniach odświętnych, żywo barwnych, jaśniejących i oko zachwycających. Świat cały zdawał się wyglądać inaczej, kiedy po drogach, polach, w domu i w kościele lud stanął »w jasności«, aż serce się radowało i aż dusza potężniała. Szedł zastęp nabożny do Boga, który »uwesela młodość« jego. Ta różnica tak żywo widoczna i tak zmieniająca wygląd zewnętrzny wsi i miasteczka, przyzwyczajała bezwiednie ludzi od dzieciństwa po starość do nadawania świętom podkładu wzniośle nabożnego, nakazującego uszanowanie i nastrój poważnie duchowy. Święto biło z otoczenia całego i z kątów wszystkich, z ogrodu i podwórza.

W dniu wielkie Narodzenia Bożego i Wielkanocy nie brakowało u nas nigdy księdza Załuskiego z żoną i wychowanicą, która przecie w przyjaźni otwartej żyła ze siostrami mojemu. Siostra moja najmłodsza Helenka, szczególnie do niej się garnęła, bo obie miały *warkocze* prześliczne i razem śpiewać lubiały. Gdy wkrótce przyszły święta ruskie, jechał cały dom nasz na probostwo do Świdowy, gdzie było wesoło i serdecznie, ponieważ wszystkich ożywiał duch jeden. Powie ktoś dzisiejszy, że takie świątkowania *podwójne* pochłaniały czasu wiele. To prawda, lecz działanie świąt miało dawniej wpływ znacznie ślachtetniejszy jak te postępowe bez-

robocia nowoczesne, raz po razu odrywające człowieka od pracy dla celów bezbożnych. Niegdyś istotnie było tak, że naród chowany właściwie przez kościół i kierowany nabożeństwami, które wnikały głęboko w życie narodowe i wszystkie obyczaje, dawał wyraz silny na zewnątrz i mógł się nazywać narodem *duchowym a serdecznym*. Była siła, bo łączyła wszystkich jedność i zgoda!...

Ze świąt podwójnych a szczerze obchodzonych wypływała istotnie pobożność w czynach i w pożyciu wzajemném tkwiąca. Nigdy nikt nie słyszał o kradzieży, o sprzeniewierzeniu się przysiędze, o naruszeniu stosunku w rodzinie i o zbrodniach rozmaitych, bo ich nie znano wcale. Dnie i lata upływały w ciszy i pokoju, które są podstawami szczęścia.

Święta ruskie w Świdowej były dla nas równie ważne, jak nasze polskie, gdyż zjeżdżała się wtedy do Żaluskich cała okolica. Po kolędach i po pieśniach Wielkanocnych, niektórych bardzo smętnych, następowały zabawy towarzyskie tém znamienne, że wciągały w koło wszystkich, młodych i starych, aby znowu nie było dzielenia na kółka i kółeczka, nie było nudy i zniechęcenia. Wszyscy się bawili, bo umiano się bawić, zadowalniając się dowcipem, roztropnością, grzecznością bardzo czułą i objawem życzliwości. Znowu rozpoczynano od koła wielkiego, w którym wszyscy, gdy się razem za ręce wzięli, zaśpiewali z głębi piersi: »*Lata ptaszek po ulicy*«, wówczas naprawdę było na co spojrzeć. Co za budujący przykład łańcucha serc i dusz, które znajdowały tyle uroku i szczęścia w życiu domowém, u progu rodzinnego.

Dziś wszystko to jest nieznane, ponieważ cały ruch nowoczesny wychodzi ze założenia błędnego, aby poczynąć

wszystko od rozbicia rodziny i ogniska domowego. Dla Polski cios taki śmiertelny!.. *dobrym* Nie tylko święta same, bo i imieniny każde i wszystkie uroczystości domu każdego, bywały obchodzone wspólnie, nieodzownie wśród liczego grona krewnych i znajomych. Unosiła się widoczna w powietrzu »*przyjaźń ludzka*«. Serdeczność wylana i gościnność jakby *obrzędowa* nakazywały obdarzać każdego zaprosinami bez liku i bez końca. Trzeba znać tę duszę gospodarstwa, które na Podolu rozkoszowało się szczęściem *ugoszczenia*! Tu można się było dopiero naocznie przekonać, z czego to powstało przysłowie nasze: »*Gość w dom — Bóg w dom!*« — Wszystko kładziono na stół biały przed gościem! Zapraszano go po tysiąc razy i modlono się zapalczywie, aby tylko gość był zadowolony i objawił to przyjęciem zaproszenia. Broń Boże odmówienia! Kto nie znał zwyczajów i polskich i ruskich, polegających na uraczeniu gościa jak najobfitszém i najgorętszém, ten mógł gospodarstwu sprawić przykrość niezasłużoną. Można śmiało powiedzieć, że towarzyskość ówczesna na Podolu zasadzała się głównie na przyjęciu gościa przy stole biesiadnym, który przypominał w znaczeniu *dobrém* jakby ołtarz wieczornika. Chodziło o przyjęcie darów Bożych z pola własnego i z ogrodu ręką własną uprawianego. Niech Bóg uchwata, aby kto pogardził darami takimi. Trzeba było umieć wyjść zwycięzko z każdego zaproszenia, wziąć cokolwiek i podziękować od serca, bo tego pożądał duch stary gościnności naszej szczepowej. Ksiądz proboszcz Załuski musiał obejść w *koło* stół cały, aby prosić jak najgrzeczniej, bo tak nakazywał zwyczaj odwieczny. Była to owa »*p.ynuka*« czyli przynuka a właściwie wedle języka polskiego »*przynęka*«,

domagająca się koniecznie podejmowania gościa jak najhojniej, z całego serca, dla zaspokojenia sumienia. I księżdżowa jako gospodyni czyniła to samo raz drugi, aby kołem świętem stół obejść. Na sile proszenia i zachęcenia polegała cała uprzejmość domu. Tak samo czynił Wierzynek, ów skarbnik królewski, który »podejmował« królów 5-ciu i mnóstwo gości i tak samo obdarzał i »przynęki« czynił. Tego domagało się przykazanie staro-sławjańskie, aby dopełniło się prawo gościnności najświętsze i najsilniej obowiązujące.

1165 Dopiero na końcu i tutaj następowały tańce, ale tańce narodowe i poważne, skromne i prawdziwie piękne. Przyszła wnet kolej na *mazura*, w którym przodownik dzielił koło wielkie na cztery kółka małe. Bawił raz jednego na Świdowie brat mój Józef, już jako porucznik ułanów, świeżo dopiero co obdarzony tą godnością. Jak ojciec nasz niegdyś tak i on teraz słynął z tego, że mazura najpiękniej tańczył. Gdy przyszła kolej na kółko jego, wszyscy uczynili koło w pokoju dużym i przypatrywali się figurom rozmaitym, jak krzyż mazurski, kogucik, młynek (Moulinet à cinq), łańcuch i t. d. Téj przyjemności czasy dzisiejsze nie znają, bo już zapomniano całkiem, na czém to polegał prawdziwy taniec *polski*, w którym ruchy były przepiękne, płynące, dziarskie i zgrabne. Sam strój ułana, chociaż z wojska austriackiego, ale zawsze polskiego, przyczyniał się do malowniczości popisu. Swoją drogą prócz tego nie można nie dodać w tém miejscu, że bywali wówczas wszędzie i zawsze tacy, którzy umieli wystąpić z »kołomyjką«, także bardzo wdzięczną i ulubioną. Prawie porządek był ustalony taki, że po mazurze musiała następować kołomyjka. Tanecznicą jak w mazurze tak i w kołomyjce ma sposobność zachwycenia widzów

ruchami przewdzięcznymi, gdy w stroju ludowym ręką lewą ujmie zapaskę barwnie przystrojoną i unosi ją w górę wśród przechylania się i przeginania falującego. Żadne tańce zagraniczne a obce nie znają umilenia tak nadobnego!... *msl*

plow Z tej serdeczności i gościnności a nie z pychy i zarozumiałości powstała ta sława, głośna czasu swojego po okolicy dalekiej, że gdy ksiądz proboszcz Załuski sprawiał wesele dla sieroty p. Hani, którą przyjęli za wychowanicę, to na uroczystości tej było aż 100 osób... Opowiadano długo o tém, jak para młodych stanęła do ślubu przed ołtarzem a ksiądz proboszcz dla zwyczaju odwiecznego włożył i panu młodemu i pannie młodej korony na głowie, bo po cerkwiach przechowywano korony takie obrzędowe. Przypomina się pieśń stara, jaka mówi o *kniaziiu* młodym, jak napadał na dwór *kniahini* młodej, którą wyznaczył marszałek królewski na nagrodę za czyn wielki. Były to czasy, kiedy jeszcze w pieśniach żyły wołania: »oj! wielom Łado! oj! wielom Łado!« Na bramie gospody wywieszano koła z krzyżem (kołomir), zwane *słoneczka*. Pannę młodą prowadzono w pochodzie pod białodachem, bo to było święto pełne radości i w niebie nawet, gdzie wtedy łyzy ze wzruszenia, wedle przyśpiewki, aniołkowie ocierają ręcznikami złotymi. *on*

rus I istotnie nazywano pana młodego księciem a p. młodą księżną i dlatego wkładano im na głowę korony, czasami u szlachty polskiej wielce kosztowne, złote i kamieniami i dżamentami nabijane. *now* *zako* *ów* *ilaw* *ęd* *si* *częjsim* *mbr* *w*

gib Panna Hania z panem młodym dostali świece do rąk po ślubie a ona krocząc z nim w parze za księdzem, obeszła trzy razy ołtarz wielki. Był to zwyczaj w całej Polsce długo zachowywany wszędzie. I dziś jeszcze po kościółkach ubo-

żuchnych, daleko od miast i świata, przypomni się czasem na skroniach pały młodej wianek na głowie, jako korona i świeca w ręku dla obejścia ołtarza pod wodzą Ducha świętego, Pocieszyciela!

Stale się to powtarza, że pokolenia młodsze, nigdy nie chcą wierzyć starszym. Jeżeli mówi się, że dawniej było lepiej, nie ma to nic innego oznaczać, tylko tę prawdę, która odnosi się do *prostoty* z Porządku Bożego pochodzącej. Czytajmy książki stare, opiewające dzieje początkowe Grecji i cóż tam znajdujemy?... Przedewszystkiem zasadę, że tylko *prostota* dawna była murem obyczajów starych, bo już mędrcy greccy orzekli, iż to, co jest wrodzone człowiekowi darem boskim to prowadzi do siły, a to co pochodzi z rozumu ludzkiego, ma znamiona słabości i ułomności. A więc sztuczność z próżni nie może równać się z tą pełnią mądrości, jaka tkwi w prostocie życia, o zakresie potrzeb najmniejszych, najskromniejszych. Grecy początkowo byli najpotężniejsi przez miłość cnót oraz miłość chwały. Na tych podwalinach mogła rzeczpospolita Ateńska stać się najpierwszą w świecie. Mądrość narodu nie polega na tém, aby czynić to, co się chce i może, ale czynić to, co jest potrzebą dla przyszłości, zatem co jest stałą powinnością najwyższą.

Prostota obyczajów i życia na niej się opierającego stwarzała w Polsce warunki, jakie musiały krzewić cnoty i domowe i społeczne i podtrzymywały bezwiednie miłość sławy, li do dobra się odnoszącej. Miłość cnoty w imię Boga oraz miłość sławy dla Boga, to powinność Narodowa i to zasługa, która stała się Powołaniem a Posłannictwem.

Do jak wysokiego stopnia wykształconą była u ludu i narodu potrzeba *świętości*, świadczy zwyczaj, na który już Kolberg zwrócił uwagę, że gdy wieśniak we dworze pańskim co mówił, to powoływał się na cześć wszystkiego, co było dla niego najgodniejszém i zaczynał: »Uczciwszy słoneczko boże, dzionek niniejszy, obrazy święte, zaszczyt pański i was, gospodarze grzeczni!«

Ludzie prości szanowali i miłowali wszystko, co z Boga bezpośrednio pochodziło i z przyczyny téj musieli kochać się w cnotach i bezwiednie sprawowali sławę dla uprawiania *dobra* samego. Zwyczaj przestary, o którym mówiliśmy, nakazujący uraczenia gościa zaraz na wstępie wodą źródlaną ze słodyczami owoców smażonych, to nauka z mądrości głębokiej idąca. Słodycze owe lud nazywa »*darosy*«. (Kolberg, Pokucie I. str. 53). Otóż ma tu objawiać się przykazanie boże, że mądrość prawdziwa tylko u krynicy przeczystej, nie zamaconej przewrotnością człowieka, oraz że słodyczami życia tylko uczynki dobre, cnoty, będące owocami najposilniejszymi z kwiatów myśli i uczucia. Prostota od przodków odziedziczona utrzymywała zwyczaj wzniosły, że panna młoda jako księżna (kniehinia po rusku) z panem młodym (knieziem czyli księciem) po weselu prowadzą w pochodzie dróżynę weselną do kiernicy, (krynicy, źródła, lub w braku tych do studni). Muzyka przygrywa obrzędowi. Utrzymywał się nawet zwyczaj powtarzania po raz drugi pochodu takiego. Co to za nauka, aby ci młodzi w życie dalsze wstępujący rozumieli, jak wielkie ma znaczenie mądrość ze źródła Boskiego. Potém siada para młoda, książ i kniehinia w świetlicy, pod obrazami, które rzędem biegań górą ściany tuż pod stropem, pod »*swołokiem*«, co znaczy

sosrąbem. Jakie to wszystko tchnące mądrością ksiąg najświętszych, jakie to przepiękne. I możnaż to się dziwować temu rozbudzeniu, któremu pokolenia się poddawały?... Widziała to i umysłem wchłaniała ta, która później jako »Jadwiga z Łobzowa« rozsiewała ziarna z miłości cnoty i sławy na cześć i chwałę Boga i Ojczyzny.

Ta prostota obyczajów była nauką najzdrowszą, która zasilala dzieci, że wzrastały po bożemu. Wszystkie obrzędy domowe związane ze życiem, jak chrzest, wesele, pogrzeb, nawet łórzece i święto kąpieli (kupały!), kryje w sobie takie bogactwa myśli najpodnioslejszych i uczuć najtkliwszych, że nikt dziwić się nie może, dlaczego wystarczało to narodowi na szczęście tak długie, przez tyle, tyle wieków. Družka n. p. główna zwana *świetylką* (t. zn. święciłką), miała przekazane występować ze świecą woskową — aby przypominać oświecenie jasnością boską. Drzewko weselne, na Podolu stosowane, jest odmianą *różgi* w Polsce, czyli maika lub gaika. Jak świeca obrzędowa staje się nauką, tak i to drzewko ustrojone kraśnie i ozłoczone ma być obrazem życia bujnego, zbożnego.

Nikt nie uwierzy słowom tu kréślonym, bo każdemu dzisiejszemu, nowocześnie postępowemu, wyda się to, cośmy opisali, przesadą i naciąganiem. Nie! nie jest to urojeniem, albowiem życie ogólne przyjaźnią dobrą kierowane i towarzyskością społeczną podtrzymywane musiało zdobywać się samoczynnie na rzuty wielkie a zacień skuteczne, które okazywały, czém żyła Rzeczpospolita Polska! Nie chlebem obczyzny, lecz pokarmem serca własnego i sumienia narodowego.

Gdy dziś każdy stał się zamkniętym w sobie i najskąpszym w obec miłości ludzkiej, to przeciwnie dawniej Polak

był otwartym w szczerości bez granic i wszystko żywiołowo poświęcał dla społeczności. Zima zdawała się zamykać człowieka śniegiem zasypanego — a jednak nie było nic tak sercem dobrem zaprawionego jak *kulig* staropolski. Wpadał *goniec* z nowiną dobrą, najlepszą, że zjedzie kółko rozbawione, a dworek zaciszny cichaczem wnet poczynął przygotowania dla ugoszczenia. I czy było co miłszego i bardziej serdecznego jak to powitanie gospodarza przed progiem domu, aby w ręce gości oddać klucze ze spiżarni i klucze z piwnicy!?!... Zanim popadło to w przesadę błędną, było jednak przez czas długi dowodem otwartości domu i serca bez granic i bez tajemnic. Pomiedzy dworami, licznymi jeszcze w czasach owych w stronach tamtych, istniał zwyczaj ciekawy urządzania najazdów tanecznych co niedzielę i co święto, aby po pracy tygodnia całego rozbawienie społeczeństwem stało się zachętą i powabem życia. Jakież to były niespodzianki rozmaite, gdy dwór każdy po swojemu w warunkach rozmaitych starał się o umilenie rozrywki.

Siostra Wańdzia opowiadała, że zabawy taneczne najżywsze wypadały oczywiście w zimie. Kolejno dwór każdy spraszał wszystkich a tak nie było ani niedzieli ani święta, aby nie zbierano się gromadnie i nie bawiono się aż do mazura białego, po śniadaniu. »*Mazur biały*« bywał powitaniem radośnem brzasku rozwidniającego się po oknach a najczęściej stawał się obrzędem uświęconym dla uczczenia pierwszych promieni słońca, tęczowo uderzającego o szyby dworu, o serca okiennic! Właściwie po prawdzie wynikał zwyczaj kończenia tanów aż o świcie, dlatego, ponieważ o podróżowaniu nocą na Podolu w śniegach mowy nie było.

Zdarzyło się raz pewnego, że bawiono się na *Księżynie* pod lasem i zaraz po północy brzmiał mazur najpierwszy. Ormianin Zerygiewicz, wesoły i dowcipny zarządził figurę kółka, w której tanecznicą każda po kolei rzucała w górę chusteczkę a kto złapał, musiał do słowa rzuconego rymem odpowiedzieć. Siostra moja zawołała: »*girlanda*«, na to Zerygiewicz w okamgnieniu dodaje: »*ze mną tańczy panna Wanda*«. Po mazurze niestety powiada p. Zerygiewicz, że musi jechać do domu dla przyczyny ważnej bardzo. Nie chciano słyszeć o tém, lecz nie pomogły żadne prośby i przestrogi, zwłaszcza, gdy chodziło tu o matkę chorą, którą w domu pozostawił. Więc odjechał. A na polu zawierucha, co się zowie, prawdziwie podolska. Był potem mazur drugi, trzeci, już do czwartego *białego* się przygotowywano, gdy ktoś puka do okna. Co się stało? Patrzą, a to Zerygiewicz we futrze zaśnieżony, jak bałwan ze śniegu. Wybiegli wszyscy i rozebrali go i ledwie rozgrzać potrafili. Oto dowiedziano się, że saniami krążył on i nie mógł drogi żadnej znaleźć, aż zwabić się dali światełku z dala błyszczącemu. Gdy do okien zapukali, przekonali się, że to był domek gajowego na Księżynie. Podjechali i oto Zerygiewicz po kilku godzinach błędzenia bez śladów stanął pod oknem świetlicy, z której się śpieszył tak gorączkowo. Nie było rady, jak dla rozgrzania rzucić się w płasy mazura białego i dopiero po kawie białej pojechał do domu. — »A widzi pan, taka to kara, gdy kto wraca bez mazura białego!«

Zawieruchy podolskie mają swoje dzieje osobne. Niktby nie spisał tego, ile przypadków i wesołych i nieszczęśliwych skutkiem kręcenia się w koło opowiadano sobie po okolicy.

Zamówił raz sobie gospodarz mszę świętą do Lisowiec, gdzie wój mój Piotr Zubrzycki wybudował kościółek nowy, choć Lisowce należały wówczas do parafji Tłusteckiej. Ks. wikary *Jasiński* wyjechał z Tłustego bardzo rano, jeszcze w nocy, bo chciał wrócić do szkoły na naukę religji. Zawierucha się właśnie rozszalała i nie mogli żadną miarą trafić na drogę. Stał tam przy drodze do Lisowiec krzyż drewniany, bardzo wysoki, jeden z tych czterech dookoła Tłustego, o których pisaliśmy. Gospodarz z Lisowiec, który po księdza przyjechał końmi swoimi, znał dobrze okolicę, a jednak nic nie poradził. Ani daj Boże, nie mogli znaleźć krzyża tego. Ksiądz wikary pokazuje ot tam, jadą i jadą aż tu staje przed nimi bodiak wysoki na półtora chłopca. I ktoby uwierzył?... nie dojechali, dzień cały włóczyli się, aż pod wieczór zawitali do obejścia księży Bazylianów w Ułasz-kowcach. Nie było rady, wysiedli i przenocowali, dopiero na dzień drugi przy pogodzie zdążyli do Lisowiec.

Szczęściem jedyném, gdy kto w drodze dalekiej podczas zawieruchy nocą trafił na karczmę. Raz dziadek nasz Karol Zubrzycki tak się wyratował i zajechał pod dach, lecz tak było już wewnątrz nabito, iż ledwie w kącie dało się konie postawić a dziadzio siadł na krajuszku ławki, na której spał stróż czuwający. Zaledwie ten ostatni ułożył się jako tako, aż tu znowu ktoś wali w bramę i wrzeszczy. Wstał i wrócił zaśnięzony, cały trzęsący się i kaszlący. Gdy się położył zawołał: »Ot! co to takie spanie, kiedy ciągle wsta- wać trzeba! Żeby ja tak legnął, a nie wstał wcale, tobym sobie przespał!« Wszyscy śmiechem parsknęli a on biada- czysko westchnął głęboko.

Właściciel Torskiego, gdzie matka nasza w młodości swęj mieszkała, jak wspominaliśmy, Pan Siemiginowski wracając ze Lwowa stracił drogę podczas zadymki gęstęj. Już przeczuwał, że przyjdzie mu w polu nocować, zatem, z woźnicą uradzili, aby nie kręcić się daremno, lecz przeczekać do rana. Nadarzyła się stęrtą ogromna zboża w polu otwartém. Ukryli się cokolwiek, ale bez ruchu zimno dolegało straszliwie. Nie było rady innęj jak zdjąć kilka snóp-ków i ognisko opodał zapalić! Trudno — szkodę wynagrodzi dziedzic temu, do kogo stęrtą należy, ale zdrowie i życie uratuje. Przez noc spalili ogromnie wiele snopów i ze stęrtę uczynili schronisko. Nad ranem przekonali się, że to stęrtą własna p. Siemiginowskiego. Rządca zaraz doniósł do dworu, że ktoś rozwalil stęrtę i część czwartą spalił.

Kiedy zaś noce były ciche, pogodne, niebardzo mroźne i księżycowe, jazda saniami prostemi, (bez okócia), należała istotnie do przyjemności bajecznych. Konie kuligiem (koli-kiem) za końmi łańcuchem biegły i głośno parskwały, a wtedy mówiono: *»Jedźmy! będą nam radzi!«* Tak gnano raz sznurem do dworu a raczěj mieszkania letniego wpośród dąbrowy zbudowanego, gdzie była świetlica wielce przestronna. Bal tu urządzał Torosiewicz młody z matką mieszkający w Hołowczyńcach (Główczyńcach), koło Tłustego. Noc była ciemna a śniegu mało. Przez las stary i wysoki łatwo można było zbłądzić. Sposobem staro-świeckim zaradzono złemu, oto z drzew leżących a mar niejących poukładano stosy wysokie i pozapalano je wszystkie. Droga, jakby pochodniami wyznaczona, sprawiała widok wspa-niały, bo zdawało się wszystkim, że to dla podniesienia ducha stworzono *»drogę światłem nabijaną«*... (Przedświt).

Umiano sobie dawniej życie umilać i upiększać! A wszystko takie swojskie, domowe było!... Przy weselach i uroczystościach wielkich często wyznaczano drogi o zmroku stosami drzew płonących, aby w oczy biła ta »górnwzroczność«, o której wspomina Orzeszkowa. Może ktoś w okamgnieniu posądzić nas tutaj o przesadę z powietrza wziętą, a jednak godzi się przypomnąć, że zwyczaj podobny *oświecania drogi płomieniami* sztuczny mi, był w Polsce bardzo często powtarzany. Dość na razie powołać się na uroczystość goszczenia przyjaciół na zamku w *Kiejdanach*, wtedy, kiedy Książę Janusz Radziwiłł kazał *sto beczek* smolnych pozapalać na drodze do zamku prowadzącej i na dziedzińcu. (Potop — tom II-gi).

A kiedy marszałek koronny, Jerzy Lubomirski, dla uświetnienia pobytu króla Jana Kaźmirza w Lubowli, chciał widowisko na dziedzińcu zamkowym okazać, wtedy luna potężna uderzyła o okna siedziby wielkopańskiej. Zapłonęło mnóstwo beczek ze smołą, które rzucały blaski jasnożółte na okół. Co więc, nie żałowano wówczas »okowity«, bo zamiast nią się upijać, wlewano ją do kotłów, aby się paliła ślicznym płomieniem błękitnym. Do niektórych naczyń wsypanyo sól, celem otrzymania znowu płomieni czerwonych. (Potop — tom III-ci).

I tu na Podolu umilenie drogi stosami płonącymi było szczątkiem umiłowania piękna, aby »oświecenie jasne« przypominało zawsze drogę ku doskonałości, a nie do próżności i zarozumiałości, do grzechów i upadków.

Stosami, buchającymi w niebo i iskrami siejącymi, wytyczano drogi w dnie ostatnie zapust. Za szczęście to uwa-

żano, jeżeli tak się składało, że na dwór który wypadła kolęja urzędnika »ostatków«. Bawiono się najochotniej, albowiem z poczuciem świętości zbliżano się do kresu, do północy wtorku tłustego. Tak podążano do Słonego, gdzie gospodarowali państwo Mroczkowscy. Syn ich doszedł do pełnoletności właśnie i obyczajem starym dostał na własność swoją wyłączną parę koni przepięknych, sanki zdobne, uprzęż lśniącą i krakowiaka z piórem pawiem na rogatywce. Przyjechał do nas do Tłustego i zabrał rodziców ze siostrami do Słonego. Spotkano się właśnie na drodze z saniami pp. Choloniewskich z Księżyny. Zjazd był wielki. Dwór w Słonym zdawał się być za ciasny, ale ściany się rozszerzały w domu polskim. O północy muzyka cichła, tańce ustawały. Szanowano przepisy i nakazy. Bawiono się bez tańców do dnia białego. Tłumem ruszono do kościoła na Popielec, a ksiądz proboszcz w Tłustém nie rozpoczął nabożeństwa, dopóki nie zasiadł w ławce p. Marceli Zubrzycki.

Zajechały sanki przed kościół i dzwonki liczne ucichły za wstrzymaniem koni. Tłumem wkroczyli wszyscy w próg świątyni, a ks. proboszcz zawołał: »czekamy, Panie Zubrzycki!«

Kiedy cię o tym się dowiedział, wrócił do kościoła. Czekał ksiądz, bo wiedział na pewno, że Popielec nie odbędzie się bez udziału szlachty okolicznej i że Zubrzyckiego nie może brakować, wszak pobożność jego znaną była. Domyślił się, że z zapust zjadą wszyscy. O! jak to inaczej jeszcze wtedy było, gdy do ławek zasiedli wszyscy w strojach polskich a twarze wąsate korzyły się w uniżeniu.

Ojciec nasz kochał przyrodę i ptactwo, to też uprawiał ogród sam własnoręcznie i pielęgnował kwiaty. Na zimę

lubiał przechowywać moc ptaszków, jak szczygłów, gilów, sikorek i kosów. Wybierał się w jesieni często w okolice ze samotrzaskami. Ptaki żywił przez mrozy a potem na wiosnę z uciechą wypuszczał wszystkie na wolność. To była przyjemność niezrównana.

Pewnego roku tak jakoś wypadło, że przez słoty i zimna długo nie dało się wyjechać nigdzie i choć koniec listopada się zbliżał, ojciec nie miał jeszcze ani jednego ptaszęcia śpiewającego.

Tymczasem w jeden z dni ostatnich listopada w pogodzie jesienniej przychodzi służąca z Księżyny do panienek od panny Filci i Kazi. Staje w kuchni i opowiadać zaczyna i zachodzi i okraża, ale nikt dowiedzieć się nic nie może, o co tu chodzi. Dlaczego? bo śmieje się i śmieje, cała w pasach lic rumianych zdrowa i rozweselona. Więc pytają się siostry: »na co panienka zaprasza?«... Służąca chce odpowiedzieć, ale znowu bierze ją śmiech szczery i zanosi się i obraca, ale wymówić nie zdoła. »Więc na kiedy proszą?«... Sługa się śmieje i wszyscy się śmieją — aż nareście woła głosem srebrnym: »*Na Andrija!*«

Kiedy ojciec o tém się dowiedział, wnet postanowił skorzystać ze sposobności, aby zabrać ze sobą samotrzaski. Zaraz z południa wybrał się ojciec z matką i siostrami, ale na przedzie w nogach woźnicy dwa samotrzaski i na nogach ojca znowu samotrzask.

Zajechali na Księżynę przez bramę otwartą w dziedzińcu duży i biczem dwukrotnie woźnica trzasnął, jak to było koniecznem. Wnet gospodarstwo wyszli na ganek i młodzieży dużo, a panienki nasamprzód rzuciły się na powitanie przyjaciółek. Lecz o dziwo! Samotrzaski i tutaj i tam także. Pod-

niesiono okrzyk, że państwo Zubrzyccy przyjechali na Ś-go Jędrzeja ze *samołówkami*, więc znak to najlepszy wśród wróżb wieczoru przepowiadającego. Śmiechu było dużo... ale i połów przyniósł w dni kilka nieco okazów tych śpiewaków, co zimą całą napełniały pokoje nasze wdziękami tonów!...

Wiele chwil pamiętnych wiąże nas ze wsią *Tuławą*, która należała do stryja naszego Kanonika Ks. Romana Zubrzyckiego, jako własność probostwa. Razu jednego zawiózł ojciec nasz z Tłustego bratu swemu na imieniny fuksję tak ogromną, że sięgała od podłogi do sufitu. Tutaj to w Tuławie był piękny dwór staropolski z ganikiem obszernym. Przed dworem podwórze i trawnik w koło, a na środku jego dąb przestary tém sławny, że był *czterokonarowy*. Gdy Jadzia (późniejsza Jadwiga z Łobzowa) dostała raz szpinaku na talerz, zaczęła łyżeczką wyczyniać góreczki i ścieżeczki. Aż Mama ją wyprowadziła za karę do sieni. Slugi wzięły ją na magiel i wozily i tak się skończyło przestępstwo wielkie.

W Tuławach mama nasza nie chciała pozwolić chłopcom, aby się w Prucie kąpali i powiadała: »dziś się nie kąpcie, bo za chłodno i wietrzno.« — A chłopcy powiadają: »ta my dziś dopiero dziewięć razy się kąpali!«

Kiedy już zaczęliśmy do szkół wyjeżdżać do Stanisławowa, wtedy po drodze corocznie wstępowaliśmy do Hostowa (Gościów) koło Otynji. Mieszkał tam w czasy owe

Mikołaj Zubrzycki, gospodarując na dziedzictwie nie wielkiem, lecz stanowiącém gniazdo Zubrzyckich. Oprócz pól i ogrodów sławnym był w Hostowie sad *ośmiomorgowy*. Dobroć i gościnność Stryja Mikołaja rozczulała nas nadmiernie, bo nie mogliśmy się nadziwować nigdy téj obfitości darów, którymi nas obsypywał. Święte były słowa jego: *»A niech dzieci poznają i zapamiętają gniazdo Żąbrów!«*

Siostra Wania wspominała często, jakie to wrażenie silne sprawiała ta świetlica duża stryjcia Mikołaja, w której były zwierciadła od podłogi aż do powały. Raz dziewczyna idąca przez sień, gdy przy drzwiach otwartych obaczyła w zwierciadle dziewczynę z poziomkami, zawróciła się i chciała odejść, dopiero ją zatrzymano i pokazano, że to obraz ułudny a nie prawdziwy. Dziewczyna osłupiała, bo nigdy zwierciadła takiego nie widziała. Stryj Mikołaj jeszcze tém się szczycił, że wszystko, co miał i czego potrzebował, sam sobie sporządzał w domu własnym, na gospodarstwie, bo miał tkacza, stolarza, krawca, cieślę, kowala i t. d. Ubranie polskie nosił koloru kawowego, ze sukna ciemnego, także wyrobu własnego. Pętlice piękne a bogate przy żupanie były nawet pomysłu jego!...

Miał kucharkę staruszkę, która garbatą była, ale ruchliwie się krzątała. O nią mawiał, że to *»z pracy! z pracy! tak się pochylała«*. A stryjanka Mikołajowa wzięła na wychowanie sierotkę, która jako sześćioletnia miała umyć garnek ogromny, gładyszczę (hlądysze). Było to naczynie tak wielkie, że cała ona weszła do wnętrza i skryła się bez śladu!

Gdy matka nasza wróciła raz z Hostowa, sługi jak zaczęły rozpakowywać z bryczki i wozu strucle, słoiki, owoce i jarzyny, końca temu nie było!...

I płótno i przedzę i sukno i pudła z drobiazgami. I mąkę i kaszę i grzyby i orzechy. Były to prawdziwe *ob-sypiny* staropolskie od serca!...

Upływały tak lata wśród anielstwa, pokoju i miłości ludzkiej. Rozkosz, kościelny, co niedzieli i w święto każde pędził z kościoła *»po ogień«* dla kadzielnicy do kuchni domu naszego, co ogólnie uważano za szczęście i błogosławieństwo. Co niedzieli i co święto podczas nieszpórów rozlegał się śpiew uroczysty psalmów natchnionych, aż brzmiały wzgórza dookolne a od stawu odbijały te głosy z chórem żab, smętnie zawodzących. Na Boże Ciało podwórce przed dworkiem naszym cudnie bywało umajone, jakby gaj święty szumiało mnogością liści. Ołtarz ustawiony pod oknem szkolném stawał się zaszczytem dla miejsca, że opowiadano sobie, jaki to był przepiękny on tam ustrojony kobiercami i jaśniejący morzem światła. W poranki letnie, ciche, słychać było z kościoła śpiewy żony Rozkosza, która miała sławę, że znała wszystkie pieśni kościelne na pamięć i prowadziła śpiewy, zwłaszcza wtedy, gdy nie było organisty.

Wieczorami jesieni obijały się o ciche kąty domku naszego t. zw. *tłoki*, które przy gędźbie i śpiewaniu w noc późną się przeciągały a znaczyły pracę społeczną, gromadną w imię dobra ludzkiego. Łudek pocziwy a dobroduszny, życzliwy a łagodny jakże garnął się zawsze do progu naszego z prośbą o radę i po lekarstwo. Przyszedł w lecie kmiotek ustrojony siermieżką białą z pojasem czerwonym, włóczkowym i szukał ulgi duchowej. O, jakże były to pię-

kne te postacie w tych kolorach polskich! Ileż wyrazu ślacheckiego żyło w twarzach pięknie sławjańskich. A dziewice w zapaskach kolorowych, z paciorkami bujnie zawieszonemi nad piersiami, w koszulach kraśno wyszywanych włóczką i o warkoczach bujnych jak snopy podolskie, jakże dostrajały się do okolicy!... Wszystko żyło *dobrem* wzajemności, bo téż z domku naszego każdy wynosił ukojenie i nadzieję. Kołowrotek warczał a nieć cienia snuła szczęście tam w kącie »nieświatowości« zacoфанej i pogardzonej barbarzyństwem w obec miast wielkich. Człowiek przy robocie swojej *pocziwiał* istotnie, jakby szedł każdy za duchem anioła świętego.

Co dzień rankami o pół do 8-jej dźwięczał duży dzwon szkolny, który słychać było aż do Świdowej i do Hołowczyniec, taka była cisza w powietrzu! Wołał i wołał dzia-
twę do szkoły, która czytała nad drzwiami izby szkolnej napis wydrukowany ręką wójca naszego Piotra Zubrzyckiego:

*»Ucz się, pracuj, zacię młodzi!
Wiosna życia wnet uchodzi:
A gdy wiosnę przemarnujesz,
Całe życie pożałujesz:
Że dla próżnych chwil młodości,
Się wyrzekłeś szczęśliwości! —*

*Dziatki lubie! starszym wiercie,
Z cnych książeczek prawdę bierzcie,
Że się z umu cnota rodzi,
Li z nią szczęście w parze chodzi!*

Maćko stary, tam nad stawem mieszkający, ten nasz pomocnik wierny, który rąbał latem i zimą drzewo i był pod ręką ojca, on właściwie był dzwonnikiem szkolnym! Dzwonił długo, aby okolica cała zasłyszała wołanie nauczy-

ciela. Gdy czasami był Maciek chory, ojciec sam nie wzbraniał się, brał sznur do ręki i dzwonił z zapalem, bo czuł, że to głos powinności świętej w obec Ojczyzny! Ksiądz proboszcz pochwalał bardzo czyn taki. Ale wszystko się zbliżało do końca. Umarł w styczniu 1880 roku proboszcz Sofczak, rodem Słowak, a w miesiąc potem zachorował ciężko i ojciec nasz kochany. Zima była srogą nadzwyczajnie. Mrozy ścisnęły tak wielkie, iż mléko w kuchni przez noc zamarzło. Ptaszka po klatkach i sojka i sikorka umilkły, bo snąć przeczuwały nieszczęście. Dnia 19 lutego zamknął oczy na wieki ten *mąż, o duszy większej jak serce jego przewielkie!* Ach! pogrzeb wspaniały i głośny był wyrazem tej miłości u ludu, na którą on pracował życie całe i którą w spadku dzieciom nam pozostawił.

Gniazdo nasze rodzinne miało jedną wartość przewielką, oto było ośrodkiem spójni społecznej, łączącej domy łańcuchem takim, jakim wiązano drzewko na Gody przy koleśdach. Życie płynęło w cichości i w pokoju, w pracy przy kołowrotku i przy otwartych wrotkach stodół bogatych. Obracała się wartałka wrzeciona a świerszcz strzykał od komina. Turkotał młyn pracowity i obracał się wciąż wiatrak, kręśląc na niebie *mir boży*. Płynęły dumki ciche a tęskne, wśród których najsilniej w duszę wpajały się słowa: »Gdyby orłem być... unosić się nad Podolem!« Gdy się lud zbierał w wieczornice »na oprzęd«, sama *dobrość* serca sprzęgała, od zórz gaśnięcia aż po zarumienienie się jutrzni porankowej. To było czuwanie dla oczekiwania »cudowności«.

Świat baśniowy malował tęcze i wydobywał świętości ze życia, że wycinankami z opłatków strojono świetlice jak świątynie. Te *strzyżki* zdobiły powały i ramy obrazów świętych, które ciągnęły się rzędami długimi.

Dusza, na podobieństwo gwiazd opromieniona, szukała ulgi wśród tęsknot w malowaniu »pisanek«, aby niemi podnosić uroczystości, w których przesadzano się wzajemnie na tle obrzędu gościnności.

Nic dziwnego, że w krainie takiej budziły się wcześnie popędy szukające bezwiednie piękna. W ogrodzie naszym, w malinach, rękami dzieci zajaśniała wieś cała z gościńcem, przy którym stał kościół i dwór, szkoła i gospoda. Wszystko pobudowane misternie. Do dziś pamiątka pozostała z tablicy przy wjeździe, na której napis głosił, że to »Ustronie«...

Ojciec często prowadził gości tam do tego Ustronia, aby podziwiali urządzenie szczęścia domowego!...

IV.

Z KÓŁKA RODZINNEGO — HEN W ŚWIAT

„Nadzwyczajnie jest ten człowiek podobny do Tatka naszego... Mój Boże! czy ci ludzie *duśkę jedną mieli?*...”

(Z pamiętników „Jadwigi z Łobzowa”,
w *Korczówce pisanych*).



i posiadłość przyprowadził do zamku. Błagał go, aby
staćli wszystko, tak drugi wydział. Wówczas
działka. Nie im nie pomógł, uległ i pogroził, a
zaś Maciuś głupi ożenił się bogato i dwójka
zamieszkał, wyszedł na świat.

W dawnych opowiadaniach często się spotyka
głupoka, że najczęściej ten, który ma serce
Bajki nasze polskie, jakież one mądrości zbawienne
zawierają, oraz ileż nauk dobrych podają! Myślą
wszyscy, że to krotchwile tylko dla dziatwy zmy-
ślone. A jednak i stary może z baśni naszych wiele
skorzystać.

Rzecz ciekawa, że ten Jaś głuptaś, choć był wyśmie-
wany i popychany, przecie był najlepszym, bo śpieszył na
śmętarz, aby pomodlić się nad grobem ojca, a bracia jego,
ci mądrzy, zapomnieli o ojcu najsromotniej. Powiastka do-
brze mówi, iż Jaś choć był głupi »tylko nie głupotą zamorską
lub pańską, ale prawdziwą chłopską, lepszą niż rozum nie-
miecki«, (Bajarz polski — A. J. Gliński, tom I. str. 32.) —
przecie doczekał się nagrody, bowiem król dał mu za żonę
królowną Różolicę.

Podobnie J. Kraszewski w Bajeczkach przedstawił Ma-
ciusia głupiutkiego, który wygnany z domu rodzinnego
znalazł szczęście w siermiędze stariej po ojcu i kiedy dwaj
bracia jego, owi mądrzy »mądrością zamorską« zmarnowali
ojcowiznę całą, on, ten Maciuś, dorobił się majątku większego
od spadku po rodzicu. Gdy zaś bracia mu pozazdrościli
wszystkiego, odstąpił im gospodarstwo swoje a sam osiadł
znowu na ziemi ojcowskiej. Niespodzianie znalazł talary

srebrne po matkę nieboszczkę, więc znowu wzbogacił się i posiadłość przyprowadził do zamożności. Bracia powtórnie stracili wszystko, raz drugi wygnali *»przywłaściciela«* z dziedzictwa. Nic im nie pomogło, upadli i poginęli w biedzie — zaś Maciuś głupi ożenił się bogato i przy dworze pańskim zamieszkał, wyszedłszy na człowieka.

W gawędach obydwóch kryje się przypowieść wielce głęboka, że najczęściej ten, który ma serce dobre, a zatem cnotliwe, serce czułe na cierpienia i *»wspomogliwe«*, ten nie może się nigdy doczekać czego innego, jak tylko przewiska: *»głupi!«*. Wyśmiewają się z Jasia dlatego, bo chodził na smętarz i modlił się i wierzył w to, co ojciec i matka mówili i trzymał się domu rodzinnego, a to przecie nie zgadza się z rozumem *»zamorskim«*, jaki idzie do nas pod postaciami dwóch braci mądrych. Ci ostatni są wychowani wedle nauki ze świata, a więc pozbyli się przyzwyczajęń domorostłych i uchodzą za postępowych. Wedle zaś nauki Jasia głuptasia *»jaśnie oświeceni«* byli to ci wielcy panowie, którzy kroczyli po drodze słonecznie nauką Objawienia boskiego wytkniętą, zatem mieli prawo do Przewodnictwa w narodzie, ponieważ trzymali się zakonu prawego, od przed-ojców wszczepionego. Ci bracia mądrzy obrócili to w śmiech i pogardę i powiedzieli, że nie tu u nas oświecenie jasne, tylko tam za górami i za lasami, gdzie jest obyczaj cudzy i rozum *»niemiecki«*. Na Jasia głuptasia wyszedł naród cały, któremu ta wiedza okropnie mądra udowodniła po swojemu najjaśniej, jak głupi był szczepek cały od czasów najdawniejszych, kiedy dał się tak otumanić, iż za opiekuna swego obrał sobie Ś-go Stanisława, którego przecież *»mądrość nowoczesna«* zdracza

nazwała. Z jakim to politowaniem patrzą ci wielcy uczeni na pokolenia długie, które *podnosiły* na ołtarze swoje najpiękniejsze a najbogatsze takiego niegodnego, ponieważ chodziło mądrym wedle zachodu, aby panowała u nas ciemność na miejsce jasności. Umiejętność najwyższa togą wszechnicy ustrojona tak orzekła i musi to być już prawda najmędrsza i my głupcy modlimy się do zdrajcy, o zgrozo! do św. Stanisława!

Na Jasia głuptasia pokazują ci mądrzy tego świata nowocześnie, kiedy w chwili proczystości najpodnioślejszych, jakie obchodzi Częstochowa w 550-letnią rocznicę sprowadzenia obrazu Jasnogórskiego, rzucają oni w oczy pośmiewisko, orzekające, jakoby czar podań świętych czyli legenda, mówiąca o dziele Ś-go Łukasza była w sprzeczności rażącej z dociekaniem badań najgłębszych. Wedle orzeczenia książki niemieckiej jest to niemożliwe, aby lud polski w pokorze czółgający się u stóp Królowej Korony Polskiej widział przed oczyma cud przeszłości. Nie mogli wrogowie najgorsi zbezczścić miejsca świętego, nie mógł Müller zjadliwy dobyć skarbów Polski — aż mądrość tych braci przemądrzałych czyni to dzisiaj najlepší, gdy narodowi ogłupiałemu odbiera wiarę, duszę, serce i sumienie.

Do Jasia głuptasia podobny jest naród polski, bo pozwala, aby Piotra Skargę Złotoustym zwanego, niektórzy uczeni nasi zrobili wicherzycielem i krzykaczem. Rodacy »mądrzy« czynią to niby z poczucia obowiązku bardzo wielkiego, aby pouczać biednych i ciemnych, jak są wyzykiwani i okłamywani.

Do Jasia głuptasia wręście przyrównują nas wszystkich, którzy daliśmy się za nos wodzić i myśleliśmy, że my dobrze

czynili, kiedy stawialiśmy posągi brązowe wieszczowi narodowemu. Pokazuje się tymczasem, jako rodak po zamorsku oświecony dopiero teraz odkrył, w jakich to błędach żył duch pieśniarza i jak on mylnie a obłudnie przewodniczył Polsce nieszczęśliwej, skoro był tchórzem tak wielkim, iż nawet nie zgłosił się do powstania w szeregach Obronicieli. I takiemu wygodnisiowi brązownicy mieli prawo wznosić pomniki?...

Całkiem jak w bajce »porwali się *bracia mądrzy* za włosy« na widok, jak to ci nasi »światłem zachodu« oświeceni wyzyskiwali łatwowierność Polski nieszczęsnej, jak to nowości zagraniczne i nauki trzeźwe wyzbyte z idealizmu starają się w cień zapomnienia i pogardy usunąć cnoty stare i wszystko to, co stanowi »ojcowiznę« naszą rodziną. Bracia mądrzy zapóźno zrozumieli, że nowości zamorskie nie dały im szczęścia. Przyznali się przed Maćkiem, że im gospodarstwo to nowe nic dobrego nie niesie, bo w biędzie ostatniej aż krowę do pługą połamanego zaprzęgać muszą. Maciuś zaś, który zadowolnił się siermięgą starą po ojcu i który uszanował próg rodzinny, dorobił się majątku i dobrze mu się powodziło. *Ojcowizna* stała się podstawą jego dobrobytu najlepszego!...

— — — — —
 Czeladka Boża z domku rodzinnego w Tłustém, gdy na świat wyszła, poznała od razu w okamgnieniu, jaka to różnica szalona zachodziła pomiędzy tém wszystkiém, co dawał ojciec i przekazywała matka a co przyjmował świat obcy a wrog. Zdawało się wnet, jakoby zaraz do walki stawały dwa bieguny, największemi różnicami uzbrojone. Zamiast ciepła i serdeczności, zimno lodowate z kłamstwem. Na miej-

sce porywów z ducha jasności, w oczy walił smok ciemności tém straszniejszej, ile nieznaniej i nieoczekiwanej. Wszędzie wyśmiewanie i szydzenie.

Rzecz najgorsza ta była, że gdy wyjechałem do szkół, do Śniatyna, ojciec ubrał mnie w czamarkę popielatą z potrzebami czarnými, jedwabnými, dał mi pas rzemienny z kłamrą, na której była głowa żubra z pierścieniem w paszczy, sprawił mi bóty polskie z cholewami w organki i kazał wziąć rogatywkę granatową. Gdy tak zjawiłem się w szkole, głos pierwszy jaki mnie uderzył, to głos szyderstwa.

Targnął mną ból przeogromny. Uczułem grozę przed pazurami zła, chichoczącego się pogardliwie, aby mnie zepchnąć od razu w dół i trzymać pod nogami. Jako malec nieprzygotowany na to, doznawałem wrażenia dotychczas nieznanego, które w tém tylko pocieszenia szukało, że bezwiednie płacz powodowało. Ale płacz nie dziecinny, bo płacz przejrzenia dobrego. Poznałem natychmiast, co świat niesie. Znalazłem się wnet w położeniu brata najgłupszego, aby mądrzejsi wzięli mnie zaraz z góry.

Nie było już rady — cierpieć musiałem!

Bywało tak, że w dzień jasno słoneczny jesieni téj, która bywa na Podolu najpiękniejszą, musiałem się wyrwać z domu i goniłem po błoni dalekiem, aby być jak najdalej po za obcymi. Pamiętam dobrze, jak daleko potém w polu znalazłem kosznicę wyniosłą, pięknie z chróstu uplecioną. Wspiąłem się wysoko na nią i usiadłem na górze, bo zdawało mi się, że tam zaraz za lasami, jakie pasmem błękitnym malowały się na widnokręgu, tam niedaleko nasz dom rodzinny i stamtąd dym w górę się unosił. Wówczas w samotności będąc, mogłem płakać do woli. I płakałem

rzeczywiście długo, bo mi to sprawiało ulgę nadzwyczajną. Nie rozumiałem właściwie, co to oznacza ten mój żal żywiołowy, tylko czułem tajemniczo, jak zamykał się okres szczęśliwości wyjątkowej w domku ojczystym, a poczynął się okres drugi, łamania duszy i ciała w świecie wrogim. Doznawałem lęku niewytlómaczonego z powodu tego, że wszystko, na co patrzyłem i co biło na mnie, to było inne — ach! okropnie inne od tego, co z domu wyniosłem.

Najgroźniej wszakże rozumieć poczynalem, że nic niema tak złego i zakazanego, jak to, co objawiało polskość zewnętrzną. Mój strój polski był przedmiotem urągania — to mnie gryzło najbardziej.

Choć płakałem tam na tej kosznicy wiele razy i długo bardzo, nic nie zmieniałem w ubiorze moim i w postępowaniu mojem. Szedłem otwarcie i dumnie. Przeszedłem szkoły w Stanisławowie i już wstąpiłem na Politechnikę Lwowską a nosiłem się ciągle jeszcze po polsku.

Aż przyszła zima jedna z najsroższych w r. 1880.

Po śmierci ojca matka dobrze to rozumiała, że dla wykształcenia i wychowania dzieci koniecznem się stało, abyśmy przenieśli się do Lwowa. Minęła wiosna i przyszło lato. Raz ostatni zebraliśmy kłosa podolskie z pola naszego tam na wzgórzu, naprzeciw Ś-go Jana, raz ostatni z ogrodu naszego przy domku rwaliśmy kwiaty i spożywali owoce. Raz ostatni byliśmy na odpuscie Ś-tój Anny w Tłustém. Aż przyszła niedziela ostatnia, w sierpniu, przed odjazdem naszym do Kołomyji, ażeby stamtąd koleją dostać się do Lwowa. Już po raz ostatni dzwony zagrały na sumę, potem kościelny Roskosz raz ostatni przyszedł po ogień do kadzielnicy. Siostra Helenka (Luńcia) ze łzami zawsze i ciągle

wspominała, jak to ludzie dobrzy często mawiali, że błogosławieństwo Boskie u nas mieszka, bo jest to łaska wielka, gdy z ogniska domowego biorą ogień do kościoła. Raz ostatni poszliśmy wieczorem do kiernicy i do krzyżyka. Raz ostatni byliśmy na grobie ojca i babki. I odjechaliśmy z Tłustego!...

1. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 2. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 3. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 4. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 5. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 6. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 7. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 8. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 9. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy
 10. Wzrost - wzrost fizyczny, wzrost psychiczny, wzrost duchowy

Z lat moich dziecińczych pamiętam dobrze, jak często o oczy nasze uderzał widok rozdoby po chatach wiejskich stosowanój, która przedstawiała donicę, ustrojoną w górze różgą t. j. drzewkiem ułiścioném i okwiecioném. Baba małowała je od ręki, albo wapném albo lazurem, z farbki niebieskawój, na ścianie żółtawój, powleczonej gliną. Zachwycają się dzisiaj znawcy i miłośnicy wzorami przepięknymi po wycinankach *łowickich*, na jakich ręka dziewczęcia bez szkół i bez nauki stale przypomina doniczkę, pełną gałęzi i kwiatów. Nauka to wielka, nakazująca poglądowo szanowanie przykazań odwiecznych, ażeby człowiek pamiętał i rozumiał to wiecznie, że celem życia ludzkiego są cnoty i same uczynki dobre a najlepsze, podobne do różdżki świętój, z naczynia duchownego i wybranego w niebo strzelającej.

Wychowanie staropolskie w ogóle przygotowywało pokolenia do pojmowania życia tak, aby w nim dusza była w rzeczy samém *naczyniem duchowném*, wydającym drzewo owoców dobrych, przynajlepszych i kwiaty najrozkoszniejsze pod błogosławieństwem słońca się rozwijające.

Była to nauka zdrowa i nieomylna. Objawiała ona prawdę nieśmiertelną, wedle której człowiek powinien dbać tylko o to *naczynie cudowne a poważne*, wypełnione cnotami i zasługami, bo tylko ono ostoi się wśród wieczności. Wszystko inne, co człowiek posiada na własność, musi podlegać zniszczeniu lub zagubie. Jedno zabierze złodziej lub wróg uniesie, drugie pochłonie żywioł jak ogień i woda, trzecie zniszczy rdza żrąca, a czwarte w proch obróci mól malutki. Nic się nie uchroni przed znikomością wartości przemijających. Wszystko znika, przepada, zmienia istotę bytowania i ból pozostawia.

Jedno tylko serce dobrotliwe i jedno sumienie najczulsze może okazać *naczynie wybrane*, o gałęziach wiecznie zielonych i kwiatach nieśmiertelnie wdzięcznych. Takie to *donice* maluje białogłowa po ścianach świetlic, aby uczyć ludzi. Myśmy z dzieciństwa wynieśli pamięć na *naczynie duchowne*. Świat atoli rzucił nam w twarz urągowskiem!... Zauważyć się jednak godzi, że przywołanie pamięci na »*naczynie duchowne*« pod postacią doniczki z kwieciem i liśćmi, nietylko żyło i żyje jeszcze w sztuce ludowej, albowiem i po miasteczkach naszych dawniej co krok uderzał w oczy nasze obraz doniczki z różdżką uświęconą. W Łowiczu do dziś dnia na Rynku Nowym ocalał domek muryrowany »*pod doniczką*«, która na szczytnicy z gipsu pomalowana woła do przechodnia głosami przeszłości. W Ludźmirzu, koło Nowotargu, przy drzwiach organistówki są wyrobione podobne szczegóły, całkiem takie same, jakie stosowano po tkalniach pasów *słuckich*, na których bywały ozdobne wazoniki parami zestawiane tak, aby na końcu każdym pasa były dwa naczynia, zatem 4. ze strony jednej

a 4. ze strony drugiej, więc razem *ośm* pęków roślinnych i kwiecistych. Po pałacach i siedzibach wielkopańskich często jeszcze dziś spotykamy pasy rzeźbione nad drzwiami lub pod oknami, wyobrażające wielkie donice bardzo ozdobne, jako wazony starożytne, po bokach których stoi gryf uskrzydłony, z łapą prawą po boku jednym i na przeciw gryf drugi z łapą lewą, obie podniesione do góry na znak straży i czuwania. Gryf ma łapy i tułów lwa, a skrzydła i głowę orła, zatem jest to po połowie *kórolew!* Takiemi siłami broniono świętości sarmackich, ażeby żyły one przez wieki w szczepie całym i przechodziły z ojca na syna, z dziada na wnuka.

We Florencji w podwórzu zakładu dzieci opuszczonych (Spedale degli Innocenti) jest precudna rzeźba Andrzeja della Robia z wieku XV, wyobrażająca *Zwiastowanie* w sposób taki, że między Aniołem a Matką B. stoi w pośrodku doniczka z różdżką taka sama, jakich pełno u nas wszędzie.

Donica z różdżką bardzo wymowna!!...

Takimi sposobami władzy tajemnej przeszłość nasza podawała uniesienia swoje i zapaly, a lud i naród czcił je i pielęgnował tak samo, jak różdżki kościelne.

Aż przyszły nauki i błędy pod osłoną »*kultury zachodniej*« i miasto jako piekło uderzyło na wieś zbliżoną do nieba. Wszystko co nasze i dawne już powalone i do błota strącone! Miasta na wywrót przeniećowały pojęcia nasze narodowe, z których nic a nic już nie ocalało. Polacy ustąpili z widowni, a Europejczycy i »Amerykany« głowy podnoszą...

Z widowni zagrody ślacheckiej czeladka Boża w świat taki poszła z myślami i uczuciami »*naczynia duchownego*«, ale... świat nie zrozumiał już ducha tego.

Porzuciliśmy już na zawsze strony rodzinne, te jary podolskie i widoki dalekie kręgu ziemskiego, przeprawiliśmy się promem przez Dniestr pod Uścieczkiem, gdzie Dżuryn z Czerwonogrodu uchodzi i pożegnaliśmy niebo wyraju, do którego tylko żal i tęsknota wciąż powracały. Zamieszkaliśmy we Lwowie przy ul. Zimorowicza l. 10. na Chorążczyźnie. Porwał nas prąd silny ruchu wielkomiejskiego, że już wnet i czasu nie było; aby przypomnieniem umysł bawić... Tymczasem dookoła nas wszystko się raz po raz odmieniało nie do poznania, bo ciągle się nazywało i w szkole i wśród towarzystwa, że musi koniecznie ustępować z drogi to Jasio głuptaş, to Maciuś ograniczony, albowiem z bajki zawsze ci bracia mądrzy prowadzą nas teraz najlepší. Słowa pieśni starój:

»Niech każdy z nas w przyszłości, zbroję wdzieje światłości«...

działy z pełnią nadziei, że istotnie musi być tak najlepší, aby przeszłość zanikała, a nam postęp obiecywał góry dobra! — Niewiasta owa wiejska wapnem malująca nad oknem lub po bokach drzwi wchodowych do chaty doniczkę zgrabną, z której urasta różdżka, pełna liści, gałęzi, kwiatu i owocu, stawiała nam ciągle przed oczyma. — Otóż to jest wezwanie narodowe, to jest *zew górny*, który wyobrażał naczynie duchowne i wybrane, naczynie poważne i Nabożeństwa osobliwszego. Przypominał on nam często zwrotkę kolędy naszój najstarszój:

*»Już się ono spełniło,
Co pod figurą było:*

*Aaronowa różdżka zielona
Stała się nam kwitnąca
I owoc rodząca«.*

W powieści »*Chłopi*« czytamy, że Nastka okazała Jagnie różgę, która zakwitła. »A tom ją ucięła w *Jędrzejki*, zasadziłam w piasek, trzymałam na piecu i zakwitła. Zaglądałam wczoraj, nie było jeszcze ani jednego kwiatuszka, a przez noc całkiem zakwitnęła«. Była to spora gałąź wiśniowa.

»Trześnia, kwiatuszki różowe i pachnące!«

Znajdzie się niebawem jakiś postępowiec dzisiejszy, który wnet głosem ochryplym od krzykactwa rzuci potwarz, jako to wszystko czułościowości zastanowienia nie godne. A jednak przypomniemy takiemu zgorzkniałemu, że mistrzowie rzeźby i pędzla czasu swojego tworzyli arcydzieła na tle zdobności naczynia duchownego i różdżki wdzięcznie stylizowanej. Kiedy przed laty staliśmy przed drzwiami wschodniemi chrzcielnicy sławniej, przed katedrą Florencką i podziwialiśmy brązy, wówczas uderzyły nas w obramieniu ich właśnie dwa wazony u dołu oddane, z których strzela ku górze pas złożony z wiązanek kwiecistych i liściastych, przeplatanych owocami i zwierzątkami. Przypomniały się nam mimowoli te doniczki z różdżkami św. Jędrzeja, u nas w Polsce tak umiłowane. One to służyły za wzór takiemu genjuszowi, jak Wawrzyniec *Ghiberti*, który stworzył na tej podstawie rzecz najpiękniejszą w świecie, wśród ludzkości całej. Wszak nie kto inny, ale sam Michał Anioł na widok tych piękności miał zawołać, że do rajy chyba tylko takie drzwi prowadzić mogą.

Otóż naród polski pielęgnował gorąco takie obrazy, w życiu prawdziwie wołające do duszy, aby na podobieństwo różdżki trześni wzrastały uczynki dobre w sercu i w sumieniu ludzkim. Kiedy przyszedł odpust tam na Podolu, rozlegało się dzwonienie wielkie, wystrzały nasycaly

powietrze Świętém bożém, chorągwie okazałe podnosiły się wysoko a wieniec ogromny w koło spleciony miał u góry dwa półkola w krzyż umocowane: *to kołomir* staroświecki!... Wieniec takim zdobią obrazy święte:

»Ach! Święty Wawrzeniec
Z pola niesie wieniec!«

Tak wołała jeszcze do niedawna przeszłość nasza swojska, głosami hejnałów jutrzni i pieśnią modlitw pobożnych.

A kiedy ksiądz proboszcz obrócił się od ołtarza z Monstrancją Przenajświętszą i lud cały w Imię Boże błogosławił nócąc trzykrotnie słowa wzniosłe:

»Błogosław lud Twój Panie!
Błogosław Dziedzictwu Twemu!«

wtedy wypadało to najuroczyściej przy gromach organów i ich bębnieniu, wśród uderzeń w kotły miedziane, ażeby znaczyła się zawsze gotowość nasza do obrony i walki za Ojczyznę, za Wiarę!

Hymn ów wspaniały: »Ciebie Boże chwalimy«... dzielił się tak na dwie części i po Błogosławieństwie znowu śpiew ludu jak z piersi jednej olbrzyma bił w Niebo...

Zdawało się istotnie, jakoby ciągle dusza polska czuwała po prawdzie nad zbroją światłości i przed oczy podsuwała znaki naczyńia duchownego z różdżką czarodziejską...

Ale czasy, w których ludzie wszystko »na rozum biorą«... nie ocaliły głuptasia z bajki, strzegącego sukmany ojcowskiej i dzierzącego skarb matczyzny. Dziś właśnie mu-

siało przyjść do tego, że z bajki dwaj bracia starsi i mądrzejsi, wydziedziczyli najmłodszego, ponieważ mądrość nowoczesna nakazała wszystko co dawne a nasze obrócić w poniewierkę i wyrzucić na śmieć.

Kiedy ksiądz przeor Kordecki w Częstochowie szedł w pochodzie uroczystym niosąc Sakrament Przenajświętszy, prowadzili go pod ręce miecznik sieradzki, Różyc Zamoy-ski i Piotr Czarniecki. Za nimi lud w strojach narodowych a wystrzały i dzwony wołały głosami z nieba. Tak samo było jeszcze w dzieciństwie naszém tam na Podolu, że wśród ciszy największej przypominano rozkaz boski grzmiący basem organów i tętniący uderzeniami w *kotły* wojenne. Zdawało się, że naród tak przyuczony do szanowania praw i dziedzictwa pójdzie drogą niezmyloną i będzie ciągle posłuszny przykazaniom objawionym.

Lecz niestety! o! niestety! jakżeż inaczej okazał się nam świat ten, do którego my jako dzieci weszli, dziwując się co krok odmianom, spowodowanym raz niewolą a raz odstępstwem naszém własném po drodze postępu nowoczesnego. Nie mogliśmy oczywiście pojąć tego, co się dookoła nas działo, ale czuliśmy doskonale, jak zapada się pod nogami świat ten miniony, a jaka zachodziła konieczność przystosowania się do tego, co było wszystkiém, tylko nie polskością tą wrodzoną, w spadku idącą z siłą przyrodzoną.

Wszystko to, cośmy z dzieciństwa naszego cichego a serdecznego wynieśli, stanęło od razu przeciw prądom wielkomięjskim i pokryło się żałobą przeczucia trwożnego.

nikt nie umie już objąć

Jak strasznie i samobójczo zamilkła wnet narodowość nasza, łatwo osądzić można z porównania stosunków i pojęć, przechowywanych cudem po wsiach zapadłych, z postępem rozwielnionym po miastach a szczególnie stolicach. Ze strony jednej urojenia wielkomiejskie chciałyby sobie wyobrazić, jakoby wtedy — dopiero miało być u nas niby dobrze, kiedy chłop polski będzie miał fortepian i próżnować będzie przy słuchaniu operetki najgłupszej z radja — zaś ze strony drugiej nędza dzisiejsza, cielesna i duchowa, przeżera naród po wszystkich stanach tak sromotnie, iż chyba tylko przypominać sobie można bajki stare, w których głośne już były *samograjki i samobijki*.

Jednym z największych nieszczęść czasów ostatnich to zanik *sielskości* takiej, o jakiej mówiliśmy na początku a wzrost miast i miasteczek z żywiołem obcym i złym, który staje się ogniskiem wszystkiego, tylko nie *polskości*.

Rzecz dziwna bardzo, iż duch polski w ogóle zatracił już zdolność rozsądzania na widok tego, co się u nas dzieje. Każdy nowotwór wielkomiejski, ze siedlisk postępowych bijący rozgwarem, staje się atoli przez to najszkodliwszym, że nie uwzględnia wcale żadnego *dziedzictwa* naszego rodowego i nie poczuwa się do szanowania *spuścizny* czysto swojskiej. Stanowisko nieprzyjazne wiedzy i nauki do wiary i Kościoła przeistoczyło wszystkie zasady i przekonania do tego stopnia, że każdy osobnik, ze wsi do tłumu ulicznego przybyły, uchodzić musi za zacofańca i głupca. Wywyższenie wynalazków i zdobyczy postępowych mimo to nanosi daleko więcej zła, nikczemności, namiętności i przestępstw, aniżeli dobra prawdziwego, którego nikt nie umie już objawić.

Kultura zatém i cywilizacja razem znaczą pogardzenie przeszłości i zdeptanie swojskości. Dla Polski są to ciosy w skutkach najnieszcześniejsze.

Otóż stąd to pochodzi, iż wychowanie takie, jakie odebraliśmy tam na Podolu na uboczu, spotkać się musiało po miastach naszych z poniżeniem pełném urągania. Świat cały marzeń i wspomnień dziecinnych przepadł dla nas na wieki i pozostał za nami daleko. Świat nowy, który wszystko bierze tylko na rozum, chłostał nas wszystkich i zmuszał haniebnie do tego, byśmy bezwiednie wyrzekali się polskości za cenę zdobywania warunków bytowania i powodzenia znikomego. W ukryciu tylko, w samotności, czasami dobywał się jęk boleści z piersi przytłoczonych i wołał: *»Boże Łaskawy przyjmij płacz krwawy upadających ludzi...«*

O, jak srogie katusze ciągle gniotły nas ku ziemi, jak ciężkie przejścia codzienne ścierały okraszy tęczowe ze skrzydełek wyobrażeń młodocianych, jak wielkie boleści duszne odsłaniały przed nami grozę niewoli i wręczcie jak to wszystko mimo wszystko podsycalo w nas tęsknotę do Ojczyzny Wolnej a Zmartwychwstałej — przebija to doskonale z utworów *»Jadwigi z Łobzowa«*.

Lecz niestety!... za mało rozpowszechniane nie mogą się doczekać wydania nowego, bowiem na ich miejsce pchają się wydawnictwa cudaczne ze siłą smoka *»wszystkożercy«*, aby wynosić pod niebiosa same tylko kraje zamorskie i mądrości amerykańskie. Po książkach roją się nazwiska angielskie — których wymówić nikt nie umie. Tysiące opisów z końca świata bałamucą myśli i uczucia, aby rodak nic nie wiedział o sobie a żył samą obcością.

Dla zrozumienia lepszego tych kolei, na jakie narażone były dusze młode rzucone w świat »kulturalny«, po opuszczeniu zakątka Podolskiego, z którego wyszły one pełne uniesień najgórnieszych i porywów najczystszych, trzeba dodać koniecznie uwag kilka celem przypomnienia, jak to już wtedy u nas zachód coraz silniej uderzał trzeźwością swoją i przewrotnością o wszystkie nasze narodowe marzenia, najwyżej ulatujące i dążności, wyłącznie oparte o cudowności nadprzyrodzone. Miłość Ojczyzny, dopiero co Powstaniem Styczniowem przed światem całym objawiona, była istotnie jeszcze całkiem podobna do naczynia duchownego a wybranego takiego, jakie uwiecznił arcymistrz na drzwiach do Raju prowadzących (we Florencji, jak wyżej nadmieniliśmy) — lecz rozczarowania zaprawione jadem zwątpienia poczęły już wówczas wypleniać zarodki wzniosłości wszelakich, a zatém idealizmu naszego szczepowego. Już nie duch obcy a wrogi, ale duch rodaków własnych począł otwarcie głosić potrzebę leczenia narodu z wrażliwości i czułościowości, ponieważ chodziło o ostudzenie a nawet zmrożenie zapalów narodowych najmniejszych i największych, aby nic z nich już nie ocalało. Kraków niestety poraz pierwszy wystąpił ze strażą pożarną gwoli gaszenia płomieni uczuciowych — gdyż wszystko miało być już wówczas niczem w obec rozumu!...

Uczniowie szkół, w czasach owych przepojeni czynnie ideałami powstań narodowych, żyli bezwiednie miłością Ojczyzny, jakby uczucie to było w ich kościach, mięśniach, we krwi całej i w oddechu każdym. W Stanisławowie,

gdzieśmy do szkół chodzili, każde popołudniu wolne, wiązało nas w kółko serdeczne, które szło za miasto, w ulicę Lipową i tam oddawało się rozkoszy⁵¹ wyśpiewywania wszystkich pieśni polskich, od początku do końca. Nie znałimy Jeszcze operetek i nie unosiły nas niecne śpiewki kabaretowe, brudne a chucią zaprawione. Nie! Idealizm żywiołowo porywał nas młodzieńców górnolotnością, jakby to istotnie u ramion naszych były jeszcze w niebo skrzydła orle takie same, jakie husarzy polscy od wieków nosili na obraz polotu nam wrodzonego.⁵² Wiersze pisane krążyły nam z rąk do rąk i nie było między nami ani jednego towarzysza, któryby nie nosił ze sobą zeszytów grubych, zapisanych pięknie i starannie utworami, przeważnie łączącymi miłość Ojczyzny i Boga, z miłością kwiatka i kochanki.

Ja sam malcem będąc, z tęsknoty za rodziną i stronami ojczystymi, wstawałem z wiosną wczesną o świcie i przepisywałem te wiersze płomienne po kilka razy, aby koniecznie po skończonym roku szkolnym, — gdy na wywczasy letnie do domu zjechać miałem — ofiarować siostrze każdej zeszyt spory cały wypełniony treścią wedle uczucia i ducha. A wiersze ozdobne na początku czcionkami malowanymi, a wszystkie na końcu zawsze zamknięte rysunkiem »*wiązania*« z linii lub kwiatów. Miałem zamiłowanie ogromne do nót przepisywania, ale także tylko dla pieśni narodowych i dumek tęsknych. Każda z trzech sióstr moich musiała otrzymać zeszyt wierszów pisanych i kilka nót ozdobnie a starannie wykonanych. Nikt mnie do tego nie nakłaniał, nikt nie podsuwał myśli podobnych, a jednak poczucie wrodzone kazało mi objawiać w sposób taki, zwyczaj »*obsypin*« staropolskich!...

-siv Takiemi to ogniami świętymi przepelnione były serca młodzieży, która ze wsi dalekich garnęła się do szkół miejskich — lecz po szkołach tych o duchu niemieckim jakież twardy żył *rozum*, pożądamy tego właśnie, aby naród polski leczyl on z uczuciowości i wrażliwości, tudzież aby gasił w nim płomienie natchnień wszelakich, sięgających nieba!...

Tak było przed pół wiekiem, kiedy srogość wrogów szponami rozdzierała całość Ojczyzny, która nic złego nikomu nie wyrządziła, przeciwnie położyła zasługi w obronie Europy przed nawałami, ale grzeszyła w obec rozumu chciwego samą tylko potęgą serca i sumienia, ażeby uczucie spełniało Powołanie a duch szedł drogą Posłannictwa!

Nie było jeszcze wtedy »sportów«, które odwróciły do góry nogami wychowanie pokoleń, nie było jeszcze »Mistrzostwa Polski«, polegającego na kopaniu nogami, na ciskaniu przed nosem, na kułakowaniu i naigrzaniu. Nie było jeszcze wtedy takich wynalazków, które przemieniły całe u nas życie narodowe na walki z maszynami zabójczymi, które wydarły człowiekowi rzecz najzacniejszą i najlepszą, a mianowicie: »pracę«!...

Bezrobocie z próżniactwem stokroć prędzej i dosadniej sprowadzi teraz zwyrodnienie, którego wszyscy wrogowie nasi osiągnąć nie mogli!... Myśleli oni o tém, aby Polskę przemienić na sługę, spełniającą posłusznie to wszystko, co się Jój nakazywało. Pod pozorem leczenia nas z wad i ułomności miało nastąpić zdrowie najlepsze, a pod płaszczem opieki miało rozwinąć się dobro bytu, zadowalniającego się szukaniem zarobku i gromadzeniem grosza.

Precz z marzeniami!... Precz z górnolotnością!...

Wszystko, co tylko by przypominało żywotność uczucia jako kwiatu, musiało zamrzeć i zaniknąć. Wszystko, co tylko by tchnęło myślą wyższą, niebiańską, musiało doczekać się oczernienia i sponiewierania. Taką oto troską o zdrowie darzyło miasto każdego zacofańca ze wsi polskiej przybyłego i takie to leczenie miało jeszcze za cesarzów stać się zbawieniem niezawodnym.

Jednym z najlepszych przykładów dla oddania różnicy pomiędzy miastami a kątami zamiasteczkowymi to zdarzenie, że gdy w Krakowie stanął dom i nad drzwiami wejścia, w nadprożu z ulicy wykuto w kamieniu napis: *»Pokój temu domowi!«* to mieszkaniec nowoczesny nie zrozumiał już tego brzmienia i naśmiewał się głośno a szyderczo, bo to rzecz najłatwiejsza. Widocznie, że wiedza dzisiejsza poucza wiele ale nie zaznajamia ludzi ze słowami, które Pan Jezus wypowiedział: *»Do któregokolwiek domu wnikdziecie, naprzód mówcie: Pokój temu domowi!«* (Ś-ty Łukasz X. 5.).

Niestety!... życie miast, pełne maszyn, prochem znikomości pokryło dawno wszystkie porywy najwznioślejsze, ze wsi polskiej wyniesione. W bólu niemym każdy z ciszy sielskiej nieprzyjęty do miasta może powtórzyć słowa Pisma świętego: *»I proch, który przylgnał do nas z miasta waszego ocieramy na was!«* (Ś-ty Łukasz X. 11.)

Pierwszy, co poszedł hen w świat z gniazdka nieznanego, to był brat najstarszy Józef, marzący od dzieciństwa

o koniu i wzdychający do stroju ułana polskiego. Héj! było to wojsko z wejrzenia całkiem jeszcze polskie, wojsko cudnie malowane, aż się serce z radości śmiało. Ale tylko powłokę zewnętrzną wzięli zaborcy łakomi, bo ułan zresztą nie mógł nic a nic objawić polskości. Brat nasz przechodził stopnie i zdawał egzamina, lecz czuł się zawsze złamanym. Dusza polska nie mogła się uczuciem własnym kierować, ani nie było wolno jej okazywać czego innego, jak tylko to, co było przepisami austriackimi nakazane jak najostrzej.

Mimo wszystko ten ułan ze szopki polskiej, pełen rozmarzenia z lat najmłodszych, wyszedłszy z domu rodzinnego natknął się w życiu na przeszkody i trudności niebywałe. Pamiętam dobrze, jakie to roił sobie widoki ten młodzik, któremu przyświecała nadzieja odegrania w przyszłości najbliższej roli żołnierza-kapłana, niosącego przed sobą sztandar wiary Chrystusa. Niestety! niestety!... i cóż z tego do życia wniknęło? — Oto nic zgoła. Służba w wojsku austriackim ujęła tego zapaleńca w szpony tak twarde, że musiał być tylko żołnierzem... cesarskim.

Całe szczęście jego zeszło do tego, że gdy służył w półku 4-tym ułanów a wracał ze szwadronem swoim z pola ćwiczeń do koszar swoich, wtedy pragnął bodaj czasami, gdy był sam jeden, odezwać się po polsku do ułanów swoich. Oto z przyjemnością wołał: »*popregi popuścić!*« (zamiast »Gurten nachlassen!«). Innym razem pełen dumy przed szeregami rozkazywał po polsku: »*siodłać*« (zamiast *satteln*) i przypominał sobie, jak to ojciec nasz, często gawędząc wieczorami o przygodach z czasów jenerała Bema, tak samo głosem gromkim wołał w domu na-

szym: »siodłać«, aż po pokojach echo się rozlegało. »Strzeżmiona podnieść! (zamiast Steigbiegelriemen heben), czasami odzywało się mową naszą wśród ścian podwórza koszarowego, a wtedy chłopcy nasi żołnierze cieszyli się, że pan rotmistrz przypomina czasy polskie...

Lecz... wybryki takie ukrywać się nie dawały i występkę owe doszły z czasem do wiadomości generała. Ściągnęły uwagi cierpkie i zastrzeżenia bardzo surowe.

W ogólności biedno i nieszczęśliwie pobiegły koleje życia brata, bo opłacić musiał cierpieniami wszelkie próby stosowania pragnień swoich do obowiązków. W warunkach dobrych a pomyślnych miałby być wszystkie dane, aby osiągnął godność taką, jaką wyobrażał w Polsce »rotmistrz królewski« i mógł rzeczywiście chorągiew swoją zawieźć do sławy, mógłby z rogu słonecznego obfitości najślachtetniejszych dać szczęście i swoim i Ojczyźnie — bo otrzymał w domu wychowanie, dające mu warunki najlepsze i za prawdę z daru boskiego objawiał *wzrok orli* — lecz przeciwnieństwa, z niewoli saméj wypływające, potargały skrzydła uniesień i pogruchoły wszystkie jego marzenia.

Wy dzisiejsi, zaprawieni wyłącznie niewiarą i uprzedzeniami dla Ojczyzny własnej najgorszemi, pojąć tego nie możecie i w to nie uwierzycie jakoby pragnienia tak wysokie mogły istotnie wnikać w życie. Musicie wszakże pamiętać, że pokolenia wówczas patrzyły miłośnie na ułana szopki polskiej i że strój jego cudnie malowany z rabatami czerwonemi na piersiach, z kołpakiem rogatym na głowie, z bandolerami w krzyż przez ramiona i z proporczykiem na włóczni działał zachwycająco a nawet porywająco. Jeden kołédnik tańcząc zaczynał:

»Być ułanem aże miło,
 Bogdaj się w życiu święciło,
 Bo ułana wszędzie znają,
 Za ozdobę kraju mają!«

Wnet kołédnik drugi mu odpowiadał, tak samo tańcząc dziarsko z szablą przy ramieniu:

»Ułan służy honorowi,
 Swój Ojczyźnie i królowi,
 Gdzie ułańska błysnie pika,
 Zaraz nieprzyjaciół znikają!«

Zatém to nie urojenia i nie zmyślenia, lecz to prawda ze siłą w oczy bijąca, że być ułanem znaczyło szczęście największe, oraz, że marzeń szczyt to dzierzenie w dłoni piki ułańskiej. Kiedy po latach służby wojskowej brata i po ukończeniu szkoły kadeckiej ojciec nasz z trudem zdobył się na sprawienie mu stroju ułańskiego na porucznika, wtedy rodzice z płaczem radości mawiali do syna: »pamiętaj, ułan to *kraju ozdoba*!«

Widać jak te zwyczaje, z przeszłości najdalszej żyjące u nas w narodzie, działały doskonale jako czynnik wychowawczy, którego dziś żadną miarą zastąpić nie mogą wymysły, przy suknie zieloném urzędowania śledzienniczego z mozołem a ślepo narzucane.

Kiedy chłopak dawniej brał sobie w myśli za przewodnika ułana jak księżę Józef sławnego lub jak Henryk Dąbrowski głośnego, to nic dziwnego, że wtedy »*rotmistrz królewski*« stawał się krésem marzeń, aby ułan *ozdoba kraju* będący walczył w imię Boga i króla, tak jak w jaselskich polskich tam na Podolu. Lecz »*Rotmistrz królewski*«

nie znalazł ani jednej drogi dla szczęścia swojego i Ojczyzny. Dosłużył się wprawdzie stopnia pod-półkownika, ale gdy zamknięto go w trumnie i na wieku jej położono mu kołpak ułański i krzyż ze szabli i pochwy, widać było, jak ostatni ułan polski z Podola poszedł drogą wielce nieszczęśliwą... Umarł w Krakowie 23 grudnia 1913 r.

Ten »urodzony rotmistrz królewski«, jak go nazywano w kole znajomych naszych, w niewoli srogięj urodzony i w okowach ciężkich wojska nieprzyjacielskiego łamiący się twardo przez życie całe, pochował w grobie wszystkie marzenia swoje na lat wiele przed śmiercią. Piołuny i burzany pokryły zapomnieniem serce ułańskie.

Siostra Wanda wcześniej również wyjechała z domu i kształciła się we Lwowie, gdzie miała za przyjaciółkę W. Pierożyńską. Mieszkała wtedy u wójca naszego Alexandra Żmudzińskiego, zaś żyła w stosunkach bardzo gorących z domem Pierożyńskich, ponieważ ci byli krewnymi naszymi, najbliższymi. Matka Ludwika Pierożyńskiego, z domu Zubrzycka, była siostrą dziadzia naszego Karola Zubrzyckiego, o którym na początku obszernie wspominaliśmy. Ludwik Pierożyński, urzędnik wysoki ówczesnego »Wydziału Krajowego«, nosił się życie całe po polsku i znany był z pięknych strojów polskich, z pasów wielorakich, spinek ozdobnych i t.d. Synowie jego chodzili za młodu w czamarkach powstańczych, potem zarzucili wszystko pod działaniem mody przekłetej. Wój zaś Alexander Żmudziński był bratankiem babki naszej Franciszki ze Żmudzińskich.

W środowisku tak serdecznie kochaném siostra Wanda mogła szczęśliwie rozwijać się w ciągu dalszym wedle tych

samych »*zasad świętych Narodowości Polskiej*«, o których mówiliśmy wyżej. Na czasy owe korzyścią wielką wychowania dziewcząt polskich było to, że rozwijało się ono raczej wśród życia domowego i pracy rodzinnej, jak w ławach szkolnych. Siostra Wanda z przyczyny téj wzmocniła ogromnie miłość swoją do całej »*świątyni podań i obyczajów*«, wedle słów Lamartina. Nie można żadną miarą lepszego dać określenia na oddanie wielkości téj duszy, jak nazwać ją uosobieniem celów prześwieitych a słonecznych. Była piękną, czarnobrewą, wedle sielskości podolskiej i dlatego jaśniała w stolicy urodą nie tyle wedle pojęć sztuki postępowej, ile z wdzięków przyrodzonych. Ta właśnie siostra jój Wandzia Pierożyńska była pięknością Lwowa w całym słowa znaczeniu, zaś nasza Wandzia była kwiatuszkiem polnym, jaśniejącym promieniami wprost z łąnow podolskich. Są osoby, które pamiętają dobrze, jak razu pewnego obie Wandy znalazły się na balu we Lwowie, na którym Wandę Zubrzycką ogłoszono *królową jedną*, a Wandę Pierożyńską *królową drugą*, bowiem pierwsza była świeżością i okrasą czysto wiejską, domową, druga była ozdobą świetną stolicy.

Wanda Zubrzycka miała wiele ubiegających się o jój rękę — a jednak wśród zabiegów licznych a długich przewyciężyła jój siła poświęcenia się dla dobra rodziny. Życie całe wzniosłe złożyła w ofierze przed uczynkami dobrymi. Miała zamiłowanie nadzwyczajne do kwiatów w ogóle i dlatego z lubością najmilszą oddawała się sztuce robienia kwiatów z papiérków i bibulek. Była to zdolność dziwnie uroczu w jój dłoniach rozwijana na każdym kroku i w chwili każdej. Miała zawsze pod ręką te druciki i te

papiérki kolorowe, z których umiała cudnie wydobywać kształty liści i kwiatów. Całe pęki różdżki uświęconej jaśniały bujnością barw i linji. Osadzała je w doniczki ustrojone wycinankami i niosła wszystko do kościoła, na ołtarze. Miała ten dar udzielania drugim zamięłowania swojego do kwiatów, który zachęcał innych, aby istotnie żyła potężnie miłość czynna do różdżki z doniczką na zobrazowanie życia pełnego cnót najlepszych i zasług najdroższych. To co mistrzowie sztuki oddawali w rzeźbie i malarstwie, co żyło wśród ludu i narodu naszego wszędzie i zawsze, to właśnie siostra Wanda przez życie swoje całe spełniała, raz robiąc kwiaty sztuczne, drugi raz myśląc ustawicznie tylko o poświęceniu się dla drugich. Jeżeli Rafael w malarstwie swoim »groteskowém« umieszczał często donice ozdobne, z których strzelają w górę gałązki pełne liści i kwiatów, owoców i ptaszków, to oddawał zaiscie to mistrzostwem swoim, co żyło w piersiach Polski całej!

Siostra Wanda zaprawdę tę miała wartość największą, iż życiem całém i pracą nieustanną stwierdzała gorliwość swoją, w okazywaniu zawsze i wszędzie tego do kwiatów i cnót zamięłowania, które wynikało z uczynności dobrej bez spoczynku i bez wytchnienia. Ciągłe się śpieszyła, bo chciała jak najwięcej spełnić. Ciągłe się skarżyła, że nie może więcej zdziałać dobrego, bo nie stać ję na siły!... Siostra Luńcia, która była bardzo dowcipną, dobrze mówiła, iż Wańdzia niema nawet tyle czasu, aby powiedziała, że niema czasu. Gdy razu pewnego »Jadwiga z Łobzowa« przywiozła z Jarosławia dla Wańdzi krzesło plecione, wtedy Luńcia doskonale orzekła: »na cóż Wańdzi krzesło, kiedy ona nigdy a nigdy nie usiedzie!?»

»*Ciocia Wania*«, jak ją powszechnie nazywano, był to ostatni »*duch dobry*«, który troszczył się, aż do życia końca, o zachowanie zwyczajów i obyczajów dawnych, wyniesionych z domu rodzinnego, z Podola. Za jęj to staraniem działo się tak, że stół obrusem białym nakryty, z opłatkami na strucli świątecznej, był od wieczora świętego aż do Nowego Roku — zatém przez dni ośm — gotów dla powitania gości opłatkiem świętym. Jęj to zasługą, że jak ostatni »*anioł domowy*« dbała również o to, aby stół śnieżnobiały ze »*Święconém*« czekał okazale od Niedzieli Wielkanocy aż do Niedzieli Przewodnięj — zatém przez ośm dni — na powitanie *jajkiem święconém* gościa każdego. Rozumiała bowiem dobrze, że światło boskie w noc przenaświętszą Narodzenia Bożego, oraz Zmartwychwstania Pańskiego, rozwidniające padół nasz płaczu, nakazuje nam pamiętanie o uczynkach dobrych, najskwapliwiej chętnych wśród objawów życzliwości. To też w uczynności Jęj uprzedzającej a obowiązującej, zarazem słodkiej a usłużnej, było coś napewno z Łaski Bożej, pełnej prawości i królewkości uczuciowęj.

Ona to, Ciocia Wania, pierwszą była na Matkę Boską Gromniczną, że zdołała przynieść gromnicę jeszcze płonąca z kościoła, jak to czyniła w Tłustém, wedle słów św. Pawła: »*Bóg uczynił sługami swymi płomienie ognia!*«. Ona to pamiętała we Czwartek wielki wieczór o zasłanianiu w domu naszym żwierciadeł i krzyżów z Bożomęką chustami dla żałoby przez Piątek wielki i Sobotę wielką do Rezurekcji. Ona to, gdy widziała na obrazie procesję Księżaków Łowickich z chorągwią dużą, którą niesie dziewica, a przy nięj cztery dziewczynki trzymające końce czterech wstęg z góry cho-

ragwi spadających, wtedy ze łzami wołała: »to całkiem tak samo, jak u nas było w Tłustém i w Czerwonogrodzie!« — Ona to wręście co krok i co chwila rzucała słowa, tchnące przeszłością kochaną a swojską.

Dla rodziców naszych niéma świadectwa piękniejszego nad ten przykład, który bije z życia Wandy, ponieważ poświęcenie jój dla rodziny i dla ludzi, to obraz żywy słodczy i wdzięczności.

Al. Spoczęła w Bogu po życiu długiem a w trumnie ubrano ją w piękny strój białej Dominikanek polskich. Była to dla niój tu na ziemi nagroda, z którą stanęła u progu wieczności, aby cieszyć się w Niebie nagrodą drugą, niebieską. Umarła w Krakowie 6. listopada 1930 r.

— — — — —
A »Jadwiga z Łobzowa«?...

Ta poszła znowu swoją drogą własną. Odebrawszy bezpośrednio od matki wychowanie i naukę, złożyła egzamin w seminarjum żeńskim we Lwowie, zadziwiając wszystkich bystrością umysłu swojego i roztropnością. Po wieczorkach uroczystych występowała często w kontusiku polskim i w trzewiczkach czerwonych i wiersze wygłaszała z zachwytem niebywałym!... Dusza ognista i zapalna!... Od razu zabłysła miłością Boga i Ojczyzny.

Zaraz po skończeniu nauk z postęпами celującymi w seminarjum nauczycielskiem, jakie stanowiło wtedy wykształcenie najwyższe dla młodzieży żeńskiej, polecono ją do domu ślacheckiego Państwa Korczyńskich w Korczówce koło Żórawna, gdzie spędziła lato w r. 1881. Z czasu tego ocalał pamiętnik ważny, ręką jój własną kręślony, niestety! całkowicie nie znany, bo nigdy nigdzie nie był ogłoszony. Jest

on wprowadzie urywkiem bardzo krótkim, ale zawiera myśli więcéj, jak niejedna książka bardzo długa. Szkoda to nieoceniona, że rzecz podobna w narodzie polskim na czasy dzisiejsze taka obojętna i pozornie nie godna uwagi.

Dom p. p. Korczyńskich uderzył o umysł *»Jadwigi z Łobzowa«* najpotężniej dlatego, że w rok po śmierci ojca naszego, zaraz po rozbiciu naszego ogniska rodzinnego w Tłustém, znalazła ona w nim niebawem obraz ściśle podobny, dla okazania prawdy, że nasze życie polskie, ślacheckie, nie zamykało się bynajmniej w ścianach dworku obranego, lecz w rzeczywistości było rozwinięte i rozkwitłe po szerokich ziemiach naszych. Zaprawdę każdemu, ktoby tylko przypuszczał, że to wszystko, co my zapisaliśmy powyżej, zmyśleniem i urojeniem, zwrócić chcemy uwagę, aby przeczytał zdania pamiętnika *Jadwigi z Łobzowa*. Nazwała ona jeszcze dom w Korczówce *»iście patryarchalnym«*, ponieważ kwitło tu życie ciche a zbożne. Zachwycona przypomnieniem *Żórawna* oddała się natchnieniom myśli, które nazwała ptakiem: *»orłem orłów i królem królów«*.

Jadwigę po staropolsku na ganku przywitał pandomu ubrany po polsku w żupan i bóty robóty wiejskiej, z pasem skórzanym czarnym, który odbijał od płótna szarego spodni i żupana.

Zachwycona otoczeniem woła ona: *»Ci ludzie, to ideały gościnności, prostoty i szczérości:!*«* Pan Korczyński wykształcony bardzo ją zajmował, to téż pisze dnia pewnego: *»zdaje mi się czasem, że Kremer do mnie słowem żywém przemawia. Chociaż czasem bać się go można, entuzyasta«*... Co wszakże domaga się podniesienia szczególnego, oto ta prawda, że ślachcic polski był typem bardzo wyrazistym, bo na widok p. Korczyńskiego Jadwiga pisze zdanie ważne:*

»Pan Korczyński jest tak ogromnie z usposobienia, ze sposobu zapatrywania się, z obejścia się, z humorów do Tatka podobny, że mi często łzy w oczach stają, gdy patrzę na niego.« (11 lipca).

Znowu powtarza Jadwiga dalej: »Żywo mi to całkiem przypomniało Tatka naszego!«... Na miejscu inném woła rzewnie: *»i u nas kiedyś tak było... lecz było«*... (15 lipca)

We Wtorek 26. Lipca Świętej Anny pisze ona tak: »Dlaczego to los zrządził właśnie tak, by tu był odpust na św. Annę? Dlaczego tak trafiłam, by mi w duszy powstały całe szeregi wspomnień tak słodkich, tak świętych? O! pamiętam dobrze, bardzo dobrze tę uroczystość, pamiętam i słyszę jeszcze tę grę uroczystą dzwonów naszych, słyszę te śpiewy, widzę lud tłumnie zebrany i widzę *kogoś* jeszcze z odkrytą głową siwą, patrzącego na to z rozrzewnieniem«...

Jeszcze jedno zdanie ciekawe:

»Nadzwyczajnie jest ten człowiek podobny do Tatka naszego. Ten złoty luby humor czasami, a czasami znowu ta zaduma tęskna, ta chmura na czole, ta łagodność największa, a czasem znowu ta surowość i ostrość! Mój Boże! czy Ci ludzie jedną duszę mieli?... czy to dla mnie na karę czy na słodki sen ułudy dano mi zdybać człowieka tego?«

Oto dowody aż nadto wymowne dla upewnienia nas, że byliśmy narodem swoistym, jedną duszę polską, własną posiadającym!... Urobiono nas za pomocą pojęć narzuconych na dziwołagów wiecznie tylko o »cudźem« myślących.

Wkrótce potem dostała się Jadwiga, już jako nauczycielka ludowa, do Łanowic, pod Samborem. Mnie powołano do Krakowa, zatem Matka i siostry pojechały wszyst-

kie razem do téj wioski, za tym lasem dębowym, za tą dąbrową, która na wzgórzu dość wyraźnie panuje nad okolicą. W Łanowicach rozwinęła ta krzewicielka światła działalność swoją, w okamgnieniu pełną samodzielności i doskonałości. Pan dyrektor Pierzchała sam mnie opowiadał, jak inspektor Baranowski z zachwytem czytywał przed nim wiersze i utwory, rozprawki i uwagi, które nadsyłała z Łanowic nauczycielka młodziutka.

Gdy dostała Jadwiga mianowanie tam do wioski, gdzie przerobiono chatę na szkołę, zaraz ona pod wpływem miłości płomiennéj sama, bez wskazówek żadnych, wprowadziła do szkoły sposób nauczania przy pomocy rysunków własnych, dorywczo a odręcznie malowanych wedle potrzeby dla objaśnienia nauki, dziejów polskich, opowiestek lub bajek. Gdy to raz pierwszy obaczył Baranowski, był zachwycony do tego stopnia, że wnet począł wszystkim pokazywać na wzór *szkółkę Łanowicką*. Takie były początki t. zw. *nauki poglądowej*, którą nasamprzód stosowała Jadwiga. Inspektor Baranowski widząc w Łanowicach mnogość tablic i rysunków, unosił się nad ich sposobem ujęcia i wykonania. Siostra wszystkie ściany sali szkolnéj pokrywała dookoła wzorami barwnie kolorowanymi, a dzieci patrzyły na nie z osłupieniem. I na to zdobyła się ta nauczycielka skromna, z zakęcia Podola pochodząca, która otrzymała wychowanie i wykształcenie w gniazdku lepianki dalekiej w Tłustém, którą uczyła matka nasza Wiktorja obdarzona sercem i sumieniem, a nie posiadająca ani dyplomów i świadectw, ani tytułów ani stopni!...

W Łanowicach umarła 15. paźdz. 1890 r. nasza siostra najmłodsza Luńcia (Helenka) a kiedy zwłoki jéj wynoszono

z domu, wedle zwyczaju starego, uderzono na ganku dwukrotnie trumną o próg drzwi wchodowych. Czterech chłopów wiejskich na chustach białych, w płótniankach śnieżno-białych, niosło ją do kościoła a potem na smętarz opodal dąbrowy. Stał grób z krzyżem drewnianym tam na górze a szum dębów starych gra ciągle nad mogiłą zieloną taką pieśnią, która często z wichrami niesie odgłosy Podola i w te strony.

Z Łanowic Jadwiga przeniosła się do Łobzowa, pod Kraków i tu opodal dawnego zamku królewskiego, przeistoczonego na austryjacką szkołę kadecką, uczyła dziatwę i wlewała w serca jój zdroje przeczyste.

Działalność Jadwigi tutaj się znacznie wzmogła i wnet rozwinęła tak głośno, że wzięła sobie imię przybrane »*Jadwiga z Łobzowa*«. Jakkolwiek wkrótce dla matki i dla sióstr wybudowałem domek w Nowej — Wsi — Narodowej, tuż opodal, gdzie ona zamieszkała, mimo to podpisywała się odtąd najczęściej a stale »*Jadwigą z Łobzowa*«.

Tu znowu po życiu pełnem walk i ciosów dnia 21. stycznia 1896 r. zasnęła na wieki matka nasza, której cześć i pamięć wiąże się z uwielbieniem naszym przez wzgląd na Jój duszę przewielką a dającą obraz prawdziwej matrony polskiej.

Jadwiga z Łobzowa oddała się niebawem pracy największej dla stworzenia sławnej »*Biblioteczki Jadwigi z Łobzowa*«. Nikt pojęcia niema z jakimi trudnościami walczyła na tém polu i ile przeszkód musiała ona pokonywać wśród udręczeń i upokorzeń. Ustawiała bardzo często i upadała, łkając w płaczu i zanosząc się od żalu — ale podtrzymywaliśmy ją jak umieliśmy i mogliśmy. Wydawnictwo-

przepiękne pod godłem »*Lud polski*« ileż siało ziarna zdrowego, ale nie mogąc doczekać się poparcia skutecznego, niedomagało, więc upadło ze szkodą wielką. Gdyby nie weksle, którymi pomagaliśmy siostrze, nie byłyby się okazywały owe książeczki z »*Biblijoteczki Jadwigi z Łobzowa*«.

W miejscu tém nie można nie przypomnieć pracy Jój niezmordowanej dla dobra *Tow. Szkół Ludowej* w Krakowie. Udział brała czynny i skrzętny we wszystkich przedsięwzięciach, wśród których przyjmowała na siebie obowiązki najcięższe, aby służyć Polsce. Uroczystości narodowe przejmowały Kraków i naród świętością sprawy, w obec której porywy i uczucia nastrojone były najwyżej. W czyn żywy przeistaczała swą miłość Ojczyzny, a to co nas przyuczono nazywać »romantyzmem« to było w istocie płomieniem narodowości naszej, w której jaśniało naprawdę Posłannictwo górne, oraz Powołanie pełne ofjary. Założyła sama wkrótce Koło IX imienia Królowej Jadwigi i prowadziła je aż do końca życia swego. Koło to do dzisiaj żyje.

Ruchliwość Jój wprzęgła starania równie wielkie w łonie *Stow. Rękodzielników polskich*: »*Gwiazda*«, gdzie była duszą zaiscie płomieniejącą. Rozwój »*Gwiazdy*« Krakowskiej był u szczytu życia i pracy wtedy właśnie, kiedy poświęcała się dla niej »*Jadwiga z Łobzowa*« dniem i nocą. Przedstawienia z uroczystości w »*Gwieździe*« bywały głośnie w Krakowie.

Czy na zebraniach najpoważniejszych, czy po wieczorach rozmaitych często obdarzano Ją prośbami, aby przemawiała. Słowa Jój miały urok nadzwyczajny, ponieważ od serca szczerego trażały wprost do sumienia a wzlot górny wprowadzał obecność jakichś *duchów świetlnych*, które słu-

chaczom udzielały zapалу i radości. Mowa Jój padała dlatego jak ogień, który rozpałał, więc oklaski wciąż zdania przerywały.

Zupełnie zgodnie z warunkami tak znamienymi dla narodu upadającego, same przeciwności najsprzeczniesze, jak kłody, padały pod jój nogami. Praca Jój choć najcichsza była przecie najowocniejszą, a działalność cała choć najzasłużeńsza była najmniej doceniana. Trudy Jój największe musiały pokonywać obojętność ogółu i walczyć wprost z rozleniwieniem ducha ospałego, a wysiłki najślachetniejsze musiały często iść całkiem na marne, ponieważ nie tylko nie cieszyły się współpracą szerszą, ale przeciwnie były prawie zawsze deptane i poniewierane. Zapał i ogień obracał się na troskę usuwania przeszkód. Martwiło Ją to do żywego i podkopywało Jój zdrowie tak, że w ustroni cichój w Rabce lekko zasnęła 29. sierpnia 1916 roku.

Nie doczekała się już Zmartwychwstania a Odrodzenia Ojczyzny kochanój.

Prawda to smężna, że i myśli »Jadwigi z Łobzowa« i wołania Jój przezacne a górne, niegdyś bardzo głośno znane, są niestety dziś słabo rozpowszechnione, bo zapanowały czasy, które krzyczą o wszystkim, co dotyczy ciała i mięśni, a po-grzebały ducha i uczucia serdeczne — mimo to wszakże, kosztowności i skarby przechowane w utworach téj pieśniarki nazwać można paciorkami najcenniejszemi z różańca tych wspomnień, jakie tu spisaliśmy głównie dla wydobycia z zapomnienia tła dziejów. Prawda i to gorzka, że dziś więcej znaczy kopanie nogami jak wysiłek duszy, więcej umiłowania ma jedno mrugnięcie królowej *kina*, jak pobudzenie sumienia narodowego, więcej ceniony jest ruch

tancerki, jak polot twórczy i więcej działa warczenie maszyny jak pieśń pobożna — lecz nadzieja może nas napa-
wać otuchą, że upadek ten skończy się przecież kiedyś
jeszcze i nastaną świty nowego spotężnienia serca i su-
mienia.

Kiedyś może pieśni i utwory »Jadwigi z Łobzowa«
uderzą jak trąby, od których zatrząsą się w posadach twier-
dze zmysłowości i cielesności.

»Różaniec Wspomnień«, przypominający modlitwy na-
sze wspólne wieczorami, gdy tarcza księżycowa blaskiem
napępiała świetlice domku rodzinnego, tam na Podolu,
niechże będzie liściem wawrzynu na mogiłach tych, którzy
po mazołach życiowych w walkach o Ojczyznę dla odpo-
czynku potrzebują światłości aż wiekuistej!

Jeszcze w roku 1881. ze Lwowa napisała Jadwiga z Ło-
bzowa wiersze o téj Ojczyźnie:

— Czy wy słyszycie wśród prac odgłosu,
Gdy o byt własny każdy walczyć musi,
Gdy każdy rzeźbi posąg swego losu
I znaleźć szczęście, choć go nie ma — kusi,
Gdy troską życia wszyscy przygnębieni
Szukają roli, co najbardziej żyzna,
W gonitwie o chleb całkiem zatopieni, —
Czy wy słyszycie to słowo:

»OJCZYŻNA?« —

KONIEC.



P R A C E
Pr. Dr. JANA SAS ZUBRZYCKIEGO

SPIS ROZDZIAŁÓW:

- I. Podolski ród ślachecki od str. 7 do str. 85.
II. Lepianka — gniazdem domo-
wém od str. 89 do 160.
III. Życie przyjacielskie po dworkach
okolicznych od str. 163 do str. 234.
IV. Z kółka rodzinnego — hen
w świat! od str. 237 do str. 270.

skiego" do nabycia Jazdowa w Kri-
garni Gubrynowicza we Lwowie, Plac
Katedralny, za * * * zinychi.

*

II. Dział architektoniczny.

Styl wzniosłości, z 25 lat. 1894.
Styl średniowieczny, z 85 lat. 1896.
Cerkiew wofoska we Lwowie, zdjęcie za-
bytku belski architektoniczny. 1898.
Wystawa architektoniczna w Turynie. 1891.
Styl średniowieczny. 1891.

P R A C E

Pr. Dr. JANA SAS ZUBRZYCKIEGO

I. Dzieła Rękodzielnictwa polskiego.

„Cieśla Polski“ — na 40 tablicach z objaśnieniami.

„Murarz Polski“ — na 40 tablicach z objaśnieniami.

„Kaflarstwo Polskie“ (wydawnictwo Muzeum Lubelskiego) na 22 tabl.

„Kowalstwo Polskie“ wzory na 12 tablicach i z 24 rysunkami wśród objaśnień a wywodów.

(UWAGA: 5 zeszytów „Murarza Polskiego“ do nabycia jeszcze w Księgarni Gubrynowicza we Lwowie, Plac Katedralny, za 12 złotych).

II. Dzieła architektoniczne.

Styl starochrześcijański, z 25 tabl. 1884.

Sztuka średniowieczna, z 85 tabl. 1886.

Cérkiew wołoska we Lwowie, zdjęcia zabytku ściśle architektoniczne. 1886.

Wystawa architektoniczna w Turynie. 1891.

Bazyliki średniowieczne. 1891.

Rozwój Gotycyzmu w Polsce —
wykład habilitacyjny — 1895.

Dwie właściwości kościołów gotyckich
w Polsce.

Siedm lamp architektury — Ruskina. 1902.

JAROSŁAW i jego zabytki. 1903.

Krakowska Szkoła Architektoniczna XIV-
go wieku — praca i rozprawa doktor-
ska. 1902.

Architektura kościołów Marjackich. 1904.

Kościół warowny w Bóbrce, koło Lwowa.
1905.

Architektura placu Dominikańskiego
w Krakowie. 1908.

Architektura rynku Krakowskiego. 1909.

Rohatyn miasto królewskie. 1914.

{ STYL NADWIŚLAŃSKI. 1910.

{ STYL ZYGMUNTOWSKI. 1914.

{ POLSKIE BUDOWNICTWO DREWNI-
NE. 1916.

{ CIEŚLICTWO POLSKIE — 304 rys. 1930.

SKARB ARCHITEKTURY w POLSCE —
cztery tomy, 400 tablic. 1907—1916.

Wawel przeddziejowy z rysunkami,
w związku z Kaplicą Cztérownękową.
Sklepienia Polskie (124 rysunków). 1926.

III. Dzieła z zakresu Sztuki i Oświecenia:

Książka p. t. OBSYPINY — OBSYŁANIA —
jest ważną dla każdego Polaka, ze względu
na obronę Narodu Polskiego przed
oszczerstwem barbarzyństwa, nam
narzuconego. Opisy zwyczajów i oby-
czajów staropolskich dają obraz świet-
ności i ludzkości!

Dzieło p. t. „SŁAWA“ wyprowadza praw-
dziwy Rodowód Sławjan.

„Z podań Krynicy“ z 2 obrazami,
rzuca światło na przeszłość Ojczyzny
naszej.

Filozofja architektury. 1894.

Kurtyny Siemiradzkiego. 1900.

Tragedje Michała Anioła 1900.

„Moc Ducha“ — Malowanki z dziedziny
estetyki. (Modest.)

Amiens - Kolonja, porównanie za-
bytków sztuki gotyckiej. 1900.

ŻÓŁKIEW — opis zabytków. 1901.

TŁUSTE w ziemi Czerwonogrodzkiej,
wspomnienia i pamiątki. 1923.

Pisanki wojenne. 1916.

Sposób zakopański w architekturze. 1906.

Zwzięła Historia Sztuki. Wyd. I. 1894.

Zwzięła Historia Sztuki. Wyd. II. 1914—16.

KATEDRY POLSKIE (Po Ziemi Ojczyściej—
Dział I.) 1909—1918. (razem z „Jadwigą
z Łobzowa“).

„**UTWÓR KSZTAŁTU**“. Trzy części z 800
rysunkami. 1912—16.

„**ARCYDZIEŁA WITA STWOSZA**“. Dzieło
dla obrony polskości sztuki polskiej.
1924.

Znaczenie Piramid egipskich, z rysunka-
mi. 1928.

Dwa zamki polskie w MALBORKU, z ry-
sunkami. 1930.

MISTRZ TWARDOWSKI (96 rysunków).
1928.

Dwa podania Lubelskie, z rysunkami 1928.

IV. Cztery dzieła, obejmujące pierwiastki sztuki polskiej. M.

1. „**Wiązania polskie**“ z rysunkami
1916.

2. „**Serce**“ jako pierwiastek zdobniczy,
z rysunkami. 1921.

3. **Styl Polski—Styl Narodowy**. 1922.

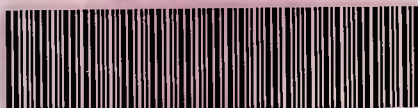
4. **Mir-Sława—Znak Krzyżowy**,
z rysunkami. 1922.

W przygotowaniu praca najnowsza:

Wit Stwosz w Norymberdze.



75, — 41
Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000501475



I 252935

DZI

Prof. Dr ZUBRZYCKIEGO

SKLEPIENIA POLSKIE
(124 rysunków)

DWA ZAMKI POLSKIE
W MAŁBORKU
(40 rysunków)

MISTRZ TWARDOWSKI
(94 rysunków)

CIEŚLICTWO POLSKIE
(304 rysunków)

